



Zakotłowało się nagle, czyjaś dłoń dotknęła jego twarzy i przeraźliwy wrzask rozdarł nocną ciszę. Fidybus skoczył tam, gdzie powinien być ten, kto wrzeszczał, sunął na niego całym ciałem i przygotowany na większy opór, przeleciał własnym rozpędem aż pod przeciwległą ścianę. Odbił się jak piłka, podciął tamtemu nogi.



Jeremi

Bożkowski

**zbrodnia
na eksport**



CZYTELNIK

JEREMI BOŹKOWSKI

**ZBRODNIA NA
EKSPORT**



Nazywała się Zenobia Sarnawiecka, miała lat 57, oczy szare, włosy blond, znaków szczególnych brak. Zmarła około godziny dwudziestej pierwszej uderzona w skroń syfonem wody sodowej.

Podporucznik Karbolek, młody, obiecujący oficer, pełniący od jedenastu dni swoje pierwsze obowiązki służbowe w komendzie wojewódzkiej, siedział sztywno na krześle w pokoju denatki i myślał, że ma wyjątkowego pecha albo wyjątkowe szczęście. I że od niego samego zależy, co to będzie.

Dziś o godzinie 21.27 zadzwonił w komendzie telefon i jękający się męski głos zawiadomił dyżurnego oficera, że „sąsiadka leży zamordowana”. Dyżurny kapitan Sołdak wstał zza biurka, by wydać dyspozycje, potknął się na pestce od śliwki, wywinął pirueta i padł ze złamaną nogą. Zanim padł, zdążył jeszcze zatelefonować do podporucznika Karbolka i rześkim głosem oznajmił:

– No, kolego, macie prawdziwe morderstwo! Możecie ze mną pojechać, jeśli biegiem przylecicie do komendy. Biegiem!

Kapitan nie był jeszcze starym rutyniarzem, lecz lubiącym swój zawód trzydziestolatkiem, więc gorliwość i ciekawość Karbolka, a nawet jego naiwność usposabiały go pozytywnie do najmłodszego kolegi. Ten zaś, kiedy usłyszał, o co chodzi, wypadł z domu, jakby się paliło, wciągając w biegu mundurową kurtkę i poprawiając na schodach sznurowadła. Kiedy zdyszany wbiegł na schody, Sołdaka wynoszono właśnie do karetki.

– Dobrze, że jesteście – powiedział skrzywiony z bólu kapitan. – Pojedziecie z ekipą na tę ulicę Pratchawca 2. Są zawiadomieni, już tu jadą. Doktor też zawiadomiony. Mieszka na Mucholówce, to go zabierzecie po drodze.

– Ale... Tak jest, obywatelu kapitanie! Ale...

– Co jeszcze? – syknął zniecierpliwiony Sołdak i poprawił się na noszach. – Idźcie już, nie traćcie czasu! Potem się ustali, kto przejmie śledztwo. Do was należą tylko czynności wstępne. Wiecie, co macie robić?

– Tak jest, obywatelu kapitanie! – trzasnęła obcasami Karbolek, ale naprawdę to pamiętał tylko, że trzeba zabezpieczyć. Zabezpieczyć ślady! I nic więcej! Trema! Jak na egzaminie! Ludzie z noszami ominęli Karbolka obojętnie. Soldak zajęty swoją bolącą nogą już nawet nie spojrzał, a on został. Sam, w korytarzu, czekający na ekipę, którą miał dowodzić.

Na szczęście ekipa nie potrzebowała żadnego dowodzenia. Każdy z nich znał doskonale zakres swoich obowiązków i nie zwracał uwagi na młodego kolegę, który siedział z boczku, przeżywał męki i czekał, kiedy ci, przeważnie nie znani mu, ludzie przestaną się szastać z ważnymi minami po mieszkaniu. Widział pod łóżkiem jakiś mały, biały, okrągły przedmiot, ale ponieważ wydawało mu się niepoważne, żeby oficer śledczy, człowiek na stanowisku przecież, włożył publicznie pod łóżko, zaglądał w zakurzone kąty i w ogóle zachowywał się groteskowo, czekał więc na moment, kiedy zostanie sam. Tracił czas i świadom, że go traci, zwijał się w mękach, nadal paraliżowany strachem przed śmieszością.

Kiedy wreszcie fachowcy poszli umyć ręce, Karbolek dał nura pod łóżko. Wtedy otworzyły się drzwi i soczysty bas zadudnił:

– Może tymczasem dać tych z górki?...

W drzwiach stał wąsaty sierżant, którego Karbolek niewątpliwie musiał już widzieć, tylko nie pamiętał, w jakich okolicznościach. Sierżant nosił wąsy tak absurdalnej długości, że każdy normalny człowiek musiał na nie zwrócić uwagę. Mundur wisiał na nim jak na wieszaku, a czarne oczka patrzyły sceptycznie na młodego podporucznika klęczącego przy łóżku z guzikiem w ręku.

– Naturalnie – powiedział speszony Karbolek. – Tylko nie wiem, czy ten pokój już jest wolny, a w ogóle to jeszcze są tu pewne szczegóły, które należy przedtem wyjaśnić. Jak będę was potrzebował – odzyskał pewność siebie – to was wezwę.

Guzik, to było widać od razu, pochodził z sukni denatki. Tej, którą miała obecnie na sobie.

– Trzeba to zabezpieczyć. Zbadać, w jakich okolicznościach ten guzik się urwał. Tu mogła być jakaś walka. Morderca

mógł...

– Z tym guzikiem to on nic nie mógł, obywatelu poruczniku – powiedział flegmatycznie wąsaty i Karbolek zrozumiał w lot, że sierżant chyba go nie szanuje. – Ten guzik odpadł sam. I to nie dziś. Flejtuch była nieboszczka, to i nie przyszyła...

– Dlaczego?... Skąd wy... znaczy... – zacukał się znów podporucznik.

– Bo ona ma te guziki na żyłce. A sukienka stara, materiał słaby. Jakby ją kto za ten guzik ciągnął, toby z mięsem wyrwał. Znaczy z materiałem. A tu o, widzi porucznik? – podeszli razem do zamordowanej i Karbolek niemal wdzięczny był sierżantowi w tym momencie za jego obecność. – Nawet żyłki nie ma już w dziurce. Ani żadnego śladu.

Stali przez chwilę obok tapczanu, na którym spoczywały starannie ułożone zwłoki.

– Ciekawe, kto ją tu wciągnął. Chyba nie morderca? A jeżeli?... To by znaczyło, że...

– Ci z górki wciągnęli – sierżant miał na wszystko gotową odpowiedź. – On emeryt, ona dama. Zaprzyjaźnieni z nieboszczką. Janina i Rafał Solnicy. Pod nimi mieszkają Wojackowie z dwojgiem dzieci. Są na urlopie za granicą. Telefon na półpiętrze. Dla wszystkich lokatorów.

– No to poproście tych... Solnickich – zdecydował podporucznik. – Najpierw ją, oczywiście.

Podporucznik zaledwie zdążył się przy stole i przygotować się psychicznie do pierwszego w życiu przesłuchania, kiedy drzwi otworzyły się szeroko, a do pokoju weszła królewskim krokiem wyniosła osoba około sześćdziesiątki ze śladami przebrzmiałej, ale niewątpliwej urody. Usiadła, niestety nie naprzeciwko, tak jak zaplanował podporucznik, ale z boku, tyłem do zmarłej. Bez pytania sięgnęła po leżące na stole papierosy Karbolka i odginając dystygowanie mały paluszek, osadziła papierosa w długiej, szklanej lufce.

– No, gdzie zapalki? – spytała z pretensją. Karbolek automatycznie podsunął jej ogień. Zrobił to na pewno zbyt pośpiesznie, więc skarcił się natychmiast za ten pośpiech. Odchylony na oparcie krzesła usiłował przeniknąć ostrym

wzrokiem duszę świadka Solnickiej, zbić ją tym z pantafyku i nadrobić pierwsze zaniedbanie. Ale dama nie pozwoliła mu na żadne efekty specjalne.

– Pan tu jest najgłówniejszy? Nie za młody pan, żeby prowadzić tak poważną sprawę? – zagadnęła bez pardonu. – Ile pan ma lat?

– Przepraszam, ale ja tu jestem od zadawania pytań – oprzytomniał Karbolek po tak jawnym afrontcie.

– No chyba że pan – zrejterowała starsza pani. – Ja za wiele przeżyłam, żeby mi się jeszcze chciało pytać. Do tego przesłuchanie po nocy. Jak ja nie zasnę o swojej porze, to potem mam taki ból głowy! O, już się zaczyna! O! – delikatnie dotknęła wymanikiowanym paluszkiem skroni. – Nie ma pan proszka z kogutkiem?

– Nie mam. Pozwoli pani, że przystąpimy do rzeczy.

– No jasne! Dla pana to tylko „do rzeczy”! Pana nic nie obchodzi, że kobieta po prostu omdlewa z bólu! Dla pana to jest tylko świadek i nic więcej. A mnie, jak już zacznę boleć, to po prostu rozsadza czaszkę! Ale niech pan pyta, proszę bardzo! Może ja nie potrafię się skupić przez ten ból, ale proszę, niech pan pyta! Dla pana to zwykła rzecz...

– Ja pani dam proszek – przerwał tę tyradę sierżant – ale to bardzo mocny, amerykański. Działa natychmiastowo.

– Niech pan rozpuści w łyżce wody. Ja za nic nie przełknę! Jak to się nazywa?

– Symulantofil.

– Nie znam.

– Bo to nowy środek. Bardzo dobry. Tyle wody wystarczy?

– Starczy, starczy! A dlaczego on taki pieniący?

– Bo nasza woda jest niewłaściwie chlorowana. W amerykańskiej się nie pieni. To trzeba wypić duszkiem. O tak!... Lepiej?

– Nooo... – przymknęła oczy i zastygła w tej pełnej cierpienia pozie, a Karbolek zastanawiał się, po co ona odgrywa całą tę komedię. – No, można wytrzymać. Tylko jeszcze tak trochę wyczuwam za uszami, ale tu, koło czoła, jak ręką odjął. Bo wie pan – zwróciła się teraz wyłącznie do sierżanta – mnie, jak już

zacznie boleć, to...

– Obywatelko! – chciał powiedzieć groźnie Karbolek, ale wyszedł mu rozpaczliwy jęk, na który obywatelka Solnicka odpowiedziała karcąco.

– Zaraz! Co pan taki niecierpliwy?! Doprawdy, świetny środek! Ale panowie chcieli o tej biednej Zeni! Taki wstrząs! Myślałam, że runę na ziemię koło niej, jak zobaczyłam. Słabo mi się zrobiło i tu w gardle, coś jakby ość...

– Leżała na ziemi?

– Naturalnie!

– Jakie było położenie ciała?

– No przecież poziome! – pani Solnicka spojrzała na podporucznika jak na niedorozwinięte dziecko.

– Dlaczego pani ruszała ciało?

– Ja? Ja bym nigdy nie dała rady! Ja siatki z zakupami udźwignąć nie mogę! Takie mam delikatne ręce.

– Gdzie leżała?

– Tu, koło stołu. Nogami w stronę drzwi. Więc ja zawołałam męża, bo myślałam, że zasłabła, i wzięliśmy Zenię na tapczan, żeby porozpinać i w ogóle. A jej głowa na dół leci! Mąż wziął podtrzymać i mówi: Jasia, tu jest krę w... A mnie jakby kto nogi wtedy podciął...

– Przedtem krwi nie było widać?

– Nic a nic! Leżała jakby zemdlona.

– To czego pani się przestraszyła?

– Ja?

– Tak, przed chwilą zeznała pani, że omal nie runęła pani obok niej, kiedy pani zobaczyła ją leżącą. Czy omdlenie robi na pani takie piorunujące wrażenie? Zawsze? – wreszcie zdobył przewagę. Pani Solnicka wyraźnie się straciła. Ale nie na długo.

– A co pan sobie myśli! W starszym wieku to i zemdlenie może mieć skutki. Ale młodzi to nie rozumieją! Młodemu to się zda...

– Proszę mi opowiedzieć dokładnie przebieg dzisiejszego wieczoru – przerwał kategorycznie podporucznik. – Powiedzmy od godziny siódmej trzydzieści.

– Trzydzieści! Może było i trzydzieści, jak zesłam do Zeni po

marchewkę, bo miałam wstawić koguta. Patrę, a ona statki zmywa, jakby nigdy nic. Zenia – mówię – ty zapomniałaś, że dzisiaj „Kobra”. A ona mówi, że zapomniała i że ciasto tylko co do pieca wsadziła. Ale jej piec wolno piecze, to zaraz po ósmej przyszła i mówi, że musi dopilnować. Żeby pamiętać. Bo ona, biedna, nawet własnego telewizora nie miała. Nie stać jej było, a synowie ani mąż nawet nie pomyśleli, żeby kupić. Zawsze korzystała z naszego.

– Oglądaliście, państwo, razem telewizję do końca? Nikt nie wychodził?

– Zenia wyszła. Widać było jej sędzone. Już tak dobrze po połowie, ten gruby chciał jechać, a ta blondyna jego nie puszczała, jak Zenia się zerwała i krzyczy: Ach jej, ach jej, moje ciasto! Pobiegła na dół i już jej nigdy więcej nie zobaczyłam... – zakończyła efektownie sąsiadka.

– Co państwo robili po skończeniu filmu?

– Mąż oglądał jakiś mecz, a ja najpierw zeszłam do klozetu – tam koło telefonu – a potem do Zeni.

– Czy to pani wyłączyła piecyk sąsiadki? – zadudnił ze swego kąta sierżant.

– A gdzie ja bym wtedy miała głowę do piecyka!

Podporucznik Karbolek stwierdził z satysfakcją, że pani Solnicka, mimo wspaniałego, amerykańskiego proszka, nie traktuje sierżanta lepiej niż jego samego.

– Czy drzwi były zamknięte? – Karbolek jednak postanowił nie dopuścić wąsatego do zbyt samodzielnego udziału w przesłuchaniu. Szczęściem sierżant natychmiast przestał się interesować obywatelką Solnicka i wsadził nos w jakieś papiery wyciągnięte z szufladki zmarłej. Podporucznik był nieco zdziwiony, że podoficer wykazuje tyle inicjatywy, ale doszedł do wniosku, że widocznie w każdym mieście i w każdej komendzie są inne obyczaje i że, jakiegokolwiek by one były, należy się z nimi pogodzić.

– Otwarte były, ale ja nie wiedziałam. Pukam, Zenia nie odpowiada. Wołam, że to ja – bo ona zawsze się zamykała na jale i na zasuwę – biorę za klamkę, a drzwi się otwierają. To już mnie tknęło! No i prawda! To prawdziwa tragedia! My z Zenią

od panińskich czasów tak się kochałyśmy jak dwie siostry. Ona nikogo bliższego nie miała ode mnie.

– Jak to? A rodzina, dzieci?

– Rodzina? Oni by ją w łyżce wody utopili! Tylko czekali, żeby wszystko zagarnąć! Zaraz się tu zlecą jak sępy! Pan wspomni moje słowa!

– Przed chwilą – Karbolek zadowolony z własnej spostrzegawczości poprawił się na krześle – mówiła pani, że denatka nie była zamożna, nie mogła sobie kupić telewizora. Więc co oni tu mają nadzieję zagarnąć? Sądzi pani, że ktoś z rodziny mógł zamordować sąsiadkę? – przypomniał sobie, że nie należy zadawać dwóch pytań równocześnie, ale było już za późno. Pani Solnicka ominęła pierwsze pytanie i z impetem odpowiedziała na drugie.

– A kto? Tylko z rodziny! Ona by obcego na próg nie wpuściła! Nikomu nie otwierała. Nawet jak listonosz przyszedł, to wyszła do niego do sionki, podpisała...

– Co podpisywała?

– No... różnie. Czasem paczka z Anglii, czasem parę funtów... Bo ona miała syna i męża za granicą. Znaczy pierwszego męża – Rosiaka, bo Sarnawiecki, łobuz, to tutaj mieszka. W puszczy, koło Alpagowa.

– Może pani zechce mnie zorientować w stosunkach rodzinnych sąsiadki? Pierwszy mąż, Rosiak, przebywa obecnie w Anglii...

– Tak. Z Tomaszkiem. Znaczy z najstarszym. Bo ona z Rosiakiem miała dwóch: Tomcia i Marka, z Sarnawieckim Lolka i Krystynę. Rosiak nie wrócił z wojny, na chłopców obiecywał łożyc, ale tyle z tego było, że zwabił najstarszego i przestał biedaczce pomagać.

– A te przesyłki z Anglii, o których pani wspomniała?

– Takie tam przesyłki! Od czasu do czasu, co z nosa spadnie. Niby dlatego przestał słać, że Zenia drugi raz za mąż wyszła. Ale co to był za mąż, ten Sarnawiecki! Nie minęło dziesięć lat, jak ją rzucił i do tego lasu swojego uciekł. Dwoje dzieci miał, a rzucił, jakby nie jego. Najgorzej, że takiego dobrego udawał, dzieci na wakacje brał, Kryśka co roku do niego jeździła. A tam

była rozpusta! Jak Zenia się dowiedziała, to zabroniła. Stary sobie babę ze wsi wziął i żył z nią jak z żoną. W jednym łóżku spali! A dziewczynka na to patrzała! Może dlatego tak się zmarnowała?

– Kto?

– Krystyna. Oj, nie miała Zenia pociechy z tych dzieci, nie miała, choć czwórkę wychowała. U nas tylko jeden syn, ale za to inżynier i ciągle po zagranicach, a oni... Choćby Marek! Póki był malutki, to taki słodki dzieciaczek, najlepszy ze wszystkich, a jak wyjechał na studia, to całkiem mu się w głowie przewróciło. Niby doktor, ale wie pan od czego? Od psów! No a potem jeszcze takie małżeństwo! Zenia całymi nocami płakała! Bo on się, proszę pana, ożenił z... hotelarką!

– To przecież bardzo dobry zawód.

– Dobry co?... Panie oficerze, ja sobie wypraszam takie żarty.

– Jak to? Nie rozumiem...

– Pan by się wstydził! Pan jest na służbie!

– Ale...

– Obywatelka świadek chciała powiedzieć – wtrącił flegmatycznie sierżant – że się ożenił z kurwą, obywatelu porucznika. Tylko że obywatelka się wytwornie wyraża, to obywatel porucznik nie rozumie.

– Sierżancie! – ryknął Karbolek – Proszę opuścić pomieszczenie! Zawolałam was, jak będziecie potrzebni!

Sierżant cicho zamknął za sobą drzwi. Może wreszcie doszło do niego, że przeholował? Lepiej późno niż wcale! A może się obraził! Bądź co bądź człowiek starszy wiekiem, choć podwładny... Podporucznika Karbolka, który otrzymał staranne wychowanie i głęboko wpojony szacunek dla kobiet i osób starszych, zaczęła ogarniać niepotrzebna skrucha. Odpędził ją od siebie i zwrócił się uprzejmie do pani Solnickiej.

– No więc, czy istotnie... czy miała pani na myśli, że żona Marka Rosiaka jest osobą... hm, lekkich obyczajów?

– Przecież ją wziął z panińskim dzieckiem! Nie wiadomo po kim, ilu ojców miało, bo nazwisko nosi jej panińskie. Ale to jeszcze nic! Tylko się poznała z Markiem a już za parę dni razem wyjechali na urlop. I od tej pory żyli na kocią łapę cały

rok. Aż zmusiła Marka do ślubu! To chytra kobieta jest! Chytra i wredna! Już trzy lata są po ślubie. Marek schudł, zmarniał, już by chciał z tego małżeństwa się wywinąć, ale ona jego krótko trzyma!

– Skarżył się matce?

– On? Skąd?! Marek to ma taki charakter, że nigdy się nie poskarży, żeby tam nie wiem co! Ale serce matki czuło, co tam się wyrabia. Marek, jak przyjeżdżał Zenkę odwiedzić, to posiedział pół godziny i zaczynał się kręcić. Że to niby robota w domu, że pora wracać. Wiadomo! Jak żona ma takie skłonności, to jej z oka spuścić nie można. Ale czy to mąż upilnuje? We czwartek tu ją widziałam, w naszym mieście. Szła koło dworca, z dwoma chłopami, roześmiana, wesola. Poszłam za nią kawaleczek. No i co? Gdzie polazła? Do hotelu! Pan mi teraz powie, panie oficerze, czy porządna kobieta, mając tu matkę, szłaby do hotelu? Po co?

Karbolek postanowił nie wyjaśniać oburzonej damie, po co porządne kobiety chodzą do hotelu. Zapisał na karteczce „sprawdzić, kiedy wyjechała Rosiakowa”.

– Nie orientuje się pani, czy Rosiakowa odwiedziła teściową?

– Sama się zaciekawiałam, spytałam Zeni, czy dzieci nie przyjeżdżają, a ona mówi, że nie. Markowie pracują, Loluś ma egzaminy... Akurat! On zda te egzaminy! Jemu poezje w głowie, a nie medycyna.

– Czy pani zna miejsca zamieszkania poszczególnych członków tej rodziny? Adresy?

– Adresy to mnie nie były potrzebne. Wiem, że Markowie mieszkają w Wagonowie koło Zoologu, Lolek w Białoboku, u takiej jednej Zajączkowskiej, na stacji, a Krystyna tu, razem z matką. Ale jej nie ma. Od maja. Jak tylko zdała maturę, to zwinęła manatki i pojechała nie wiadomo gdzie. Awanturę przedtem zrobiła matce, że ta trzy dni do siebie przyjść nie mogła. O pieniądze na wakacje. Żeby z chłopakami się włóczyć autostopem! Po to jej były potrzebne pieniądze!

– Otrzymała je?

– Co pan! Zenia nie dała ani grosza. Jeszcze czego!

Karbolek westchnął. Oczywiście, ani grosza, bo jedzie z

chłopakami. Więc w imię moralności matka nie da ani grosza, a potem milicja w atrakcyjnych letnich miejscowościach wyławia grupki młodocianych złodziejasków, chwilowych prostytutek, które idą z „dobrym wujciem”, bo nie mają gdzie spać. Ale rodzice są w porządku.

– To byłoby na razie wszystko. Dziękuję, bardzo nam pani pomogła. Oczywiście będziemy panią musieli jeszcze prosić o złożenie oficjalnych zeznań w komendzie, ale to nieco później. Prosiłbym jeszcze, żeby nam pani zechciała pokazać dokładnie, w jakiej pozycji leżało ciało, kiedy pani weszła. Może zechce się pani położyć na podłodze tu, gdzie...

– Położyć na podłodze!?! – dama obdarzyła Karbolka tak wyniosłym spojrzeniem, że ten poczuł się jak mała, pełzająca po podłodze pluskwa. – Owszem, mogę panu pokazać. Niech pan wezwie tego z wąsami, to ja go wymodeluję.

Sierżant wyrósł jak spod ziemi, co nasunęło podporucznikowi myśl, że podsłuchiwał pod drzwiami.

– Kładźcie się, sierżancie. Gdzie? – zwrócił się do pani Solnickiej, która przyglądała się Fidybusowi z głęboką zadumą.

– Tutaj, tutaj, ale nogi musi pan podkurczyć, bo jej nogi sięgały tylko do szafy.

– Miała podkurczone?

– Nie, ale ten pański milicjant ma za długie.

– To niech pani weźmie z łaski swojej siekierkę i przytnie do właściwej długości, bo wszystko musi być dokładnie – poprosił pokornie sierżant.

– Zabroniłem wam się odzywać! – syknął wściekły Karbolek i nagle doszedł do wniosku, że wścieka się nie na tę osobę, na którą powinien. Stracił cierpliwość i szacunek dla obywatelki Solnickiej. – Mówiłem, żeby się pani sama położyła! – huknął. – Jak ją pani musiała ruszać i śledztwo gmatwać, to teraz niech pani swój błąd odrobi, jeśli nie chce pani być oskarżona o zacieranie śladów!

Dama spojrzała na niego spłoszona, ze zbolałą miną wyciągnęła z szafy koc, rozłożyła na podłodze i zaczęła się mościć. Wreszcie znieruchomiała i zamknęła oczy. Tak ją zastał małżonek. Trzeba przyznać, że zachował się dzielnie. Zbladł

tylko, oparł się o ścianę, ale jak przystało na prawdziwego mężczyznę, głosu z siebie nie wydał.

– Tak leżała? Dokładnie tak? Proszę się przyjrzeć.

Solnicki w milczeniu pokiwał głową. Podporucznik Karbolek miał więc przed sobą względnie przejrzysty obraz sytuacji. Denatka leżała między drzwiami, wychodzącymi na korytarz, i stołem, na którym znaleziono narzędzie zbrodni. Syfon stał obok tacy pełnej okruchów szkła, zapewne ze szklanki, którą morderca musiał stłuc, celowo lub przypadkiem, a której okruchy zaścierały chodnik obok stołu, stół i tackę. Wyglądało, jakby ktoś tę szklankę stłukł, a potem szkło z rozmachem zgarnął na podłogę. Nogi pani Solnickiej wprawdzie nie sięgały aż do szafy, ale za to były ułożone we właściwej pozycji – jedna wyprostowana, druga lekko zagięta w kolanie, głowa odchylna do tyłu, ręce rozrzucone. Podporucznik zauważył, że gdyby denatka – kobieta duża i ciężka – padła bezwiednie w takiej pozycji na te okruchy szkła, musiałyby się pokaleczyć. Tymczasem na jej gołych nogach i odsłoniętych rękach nie było najmniejszego zadrapania. Solnicka także zeznawała, że krew zobaczyli dopiero, kiedy przenieśli sąsiadkę na tapczan. I to tylko krew na skroni. Więc... czy to wszystko znaczy, że szklanka została stłuczona potem? Po morderstwie?

– Czy państwo pamiętają, co tu stało obok syfonu?

– Szklanka – odpowiedzieli chórem Solnicy.

– Stała wtedy, kiedy państwo tu weszli ratować sąsiadkę?

– Stała.

– Nie stała – chór stracił zgodność.

– No więc jak?

– W ogóle to stała. Taka ze złotym szlaczkiem – zabrała autorytatywnie głos pani Solnicka. – Ale wtedy to kto miał czas patrzeć. Panie, myśmy człowieka ratowali! – rzekła dumnie i nie pytając o pozwolenie, wstała z podłogi. Podporucznik nie zaprotestował. Dama opuściła pokój, małżonek został.

– Ja chciałem po papierosy... Czy można?

– Za chwileczkę, na razie porozmawiamy. Dlaczego pan zawiadomił milicję, a nie pogotowie?

– Żona kazała.

– Kazała nie zawiadamiac pogotowia? – Karbolek nabierał rutyny albo też łatwiej mu było przesłuchiwać kogoś, kto nie był damą, nie miał karcącego spojrzenia i nie odmieniał w nieskończoność zaimka „ja”, a nawet okazywał nieco strachu i niepewności, które podporucznikowi dawały poczucie spokoju i podbudowywały jego autorytet.

– Kazała milicję.

– Proszę od początku! Zawołała pana czy przybiegła na górę?

– Wołała z podwórka. Podobno długo wołała, ale ja nie słyszałem. Był mecz. Właśnie padła dla nas pierwsza bramka.

– Jakie były pierwsze słowa żony, które pan usłyszał?

– Rafał, chodź tutaj, Zenia zasłabła.

– Przyszedł pan i co dalej?

– Nie tak zaraz. Musiałem się ubrać.

– A żona był ubrana? – spytał sierżant.

– Kobiecie to może i bardziej wypada w szlafroku. No więc włożyłem spodnie, koszulę i zeszedłem. Żona wachlowała sąsiadkę. Wzięliśmy ją na tapczan. Wtedy zobaczyłem krew. Poszukałem puls, nie znalazłem, a żona wtedy zaczęła spazmować i krzyżeć: leć po milicję! Zenię zamordowali!

– Czy dokładnie pamięta pan słowa żony?

Solnicki zastanowił się długo, po czym z niezachwianą pewnością potwierdził.

– Dokładnie.

– Co pan zrobił dalej?

– Wszedłem na półpiętro zatelefonować.

– Czy słyszałby pan od siebie z mieszkania, gdyby ktoś wchodził do sąsiadki?

– Jak telewizja nie idzie, to słyhać. Ale szła. Cały wieczór.

– Co pan może powiedzieć o stosunkach rodzinnych sąsiadki?

– Nie bardzo było. Żona wie lepiej.

– Ale co pan o tym sądzi?

– Nie bardzo było. Narzekała na dzieci, na męża. Ale rozvodu mu nie dawała, choć parę razy prosił. No, jednym słowem nie bardzo...

To był też, jak się okazuje, trudny rozmówca. Niewiele

mówił, a to, co udawało się z niego wyciągnąć, nie wносиło nic nowego do sprawy.

– Dziękuję, jest pan wolny – powiedział w końcu zrezygnowany Karbolek i zostali sami z sierżantem. Ekipa już odjechała z ciałem i wreszcie przyszedł czas, żeby spokojnie rozejrzeć się po mieszkaniu, po domu, ogrodzie i okolicy. Podporucznik stanął przy oknie. Na wprost miał fragment ogródka i metalową furtkę na ulicę. Za furtką, po drugiej stronie jezdni rosły nowe, czteropiętrowe bloki.

– Co do tej więdźmy, panie poruczniku... – sierżant bezszelestnie zjawił się za jego plecami.

– Jakiej więdźmy? – spytał lodowato podporucznik. Podwładny wyraźnie napraszał się o reprimendę. Przestańcie się wyrażać. To jest świadek.

– Jedno drugiego nie wyklucza. A więc co do tego świadka, to jeszcze to... – sierżant wyjął z kieszeni zmiętą studolarówkę.

– Co to? – zadał średnio inteligentne pytanie Karbolek, toteż odpowiedź dostał taką, na jaką zasługiwał.

– Realnie rzecz biorąc równowartość od pięciu do piętnastu tysięcy złotych polskich – zależy po jakim kursie – pieniądz papierowy, pochodzący z banków kapitalistycznego mocarstwa zza morza, symbol zamożności społeczeństwa lub wyzysku człowieka przez człowieka. Też zależy po jakim kursie.

– Skąd to macie?

– Z kieszeni szlafroka obywatelki świadek.

– Czy wy nie możecie mówić jaśniej?

– Albo mam mówić jasno, albo urzędowo. No więc ten szlafrok, w którym Solnicka zeszła na dół, do sąsiadki, jako że innego w domu nie ma, znalazłem zwinięty, wciśnięty w kąć szafy, za czystą bielizną, a brudny jak jasna cholera.

– Kto wam pozwolił?!

– Nikt, obywatelu poruczniku. Ja prywatnie, jako dżentelmen-włamywacz. Kiedy obywatel porucznik mnie wyrzucił, to sobie obszedłem dom dookoła i przyszedłem pod to okno posłuchać, jak toczy się śledztwo. Ale tu już podsłuchiwał Solnicki. Więc poszedłem tam, gdzie jego nie było, i rozejrzałem się po jego mieszkaniu.

– Czy wyście zwariowali! Przecież nie mamy nakazu rewizji! On mógł was zaskoczyć!

– Tylko teoretycznie. Praktycznie sto procent pewności, że on nie odejdzie spod okna, zanim pan nie skończy jej przesłuchiwać, a ona nie spocznie, zanim nie wywlecze kopy sąsiedzkich brudów. Właśnie była w środku prania.

– A jeśli to są jej własne pieniądze? Jeśli je po prostu ukradliście?

– To ona zamelduje o kradzieży, a my będziemy się mogli wykazać błyskawicznym działaniem, bo w ciągu godziny zwrócimy jej stratę. Ale jakby one były jej, toby nie były tam, gdzie były, a gdyby nawet były, to ten szlafrok by nie był tam, gdzie był.

– Był gdzie nie był?... Zaraz, trochę niejasny ten wasz meldunek, ale rozumiem, o co wam chodzi. Załóżmy, że macie rację, to istotnie byłby ważny ślad. W ogóle obywatelka Solnicka wydaje mi się podejrzana. Bardzo bym chciał wiedzieć, dlaczego tak usilnie starała się opóźnić przesłuchanie. Te opowieści o bolącej głowie, jakieś szczegółiki na te tematy, które nikogo nie interesują, to typowa próba zagadania.

– Interesują, poruczniku, ją na pewno interesuje bardziej jej własna migrena niż śmierć sąsiadki. Porucznik jeszcze się z takim typem w życiu nie spotkał? To się porucznikowi udało.

– Sądzicie, że to było szczere? Że ona naprawdę w takiej chwili myśli tylko o sobie?

– Moje wieloletnie doświadczenie i znajomość ludzkiej natury sądzi, że ona w ogóle myśli zawsze tylko o sobie. Co z tego wynika? Że naprawdę nie wyłączyła ciasta sąsiadki?

– Czy to takie ważne?

– A bo ja wiem?... – sierżant odwrócił się plecami do okna, z gapowatą miną spoglądał na pokój. – Jak bym wiedział, kto to zrobił, tobym wiedział na dzisiaj dość. Bo jeśli Sarnawiecka weszła najpierw do kuchni, to zwykły złodziej, który wszedł do mieszkania i opróżnił na przykład tę skrytkę w nodze od stołu – Karbolek dopiero teraz zauważył otwór – mógłby uciec. Nie musiał czekać, aż ona tu wejdzie, i mordować. Jeśli nie uciekł, to albo nie był zwyczajnym złodziejem, albo miał swoje

powody...

– Albo też on wyłączył po morderstwie, żeby zapach spalenizny nie zwabił za wcześnie sąsiadów. Albo przed, albo...

– porucznik Karbolek zrozumiał, że robota na dziś nie jest wcale skończona, chociaż dochodzi północ, a w głowie wali uporczywy młotek. Może i ta Solnicka wcale nie jest taka nieludzka, tylko głowa ją rozboleła od nadmiaru wrażeń? Przecież to normalne. – Dajcie mi też proszek, sierżancie. Ten, co tak pomógł Solnickiej, bo także będzie mi się trudno skupić – uśmiechnął się z wysiłkiem, jako że młotek łupił coraz mocniej i szybciej.

– On porucznikowi nie pomoże. Bo pan pewno nie wierzy w Amerykę. A to tylko dla wierzących.

– Co wy za bajki opowiadacie? Chodzi mi o ten syl...

– Symulantofil. Tak go nazwałem, bo to dla symulantów. Ale tak naprawdę to jest po prostu wapno dla lwa – podsunął podporucznikowi fiolkę.

– Dla kogo?

– Dla lwa. Z cyrku. On jest mały i gryzie ściany. A wapna w mieście brak.

– Czy wyście zwariowali? – podporucznik poczuł, że na dodatek kręci mu się w głowie, a bezczelnie uśmiechnięta wąsata gęba sierżanta fałuje łagodnie przed oczami.

– Nie. Mam kumpla w cyrku... Oj, panie poruczniku, pan by lepiej już poszedł do domu, położył się i odpoczął. Coś nietęgo pan wygląda...

* * *

Major Kajtys wrócił z urlopu opalony i pełen sił do pracy. Wszedł do komendy z mocnym postanowieniem, że wreszcie zrobi porządek z tą bandą obiboków, dekwoników i lekkoduchów, za jakich uważał swoich podwładnych. W progu już dowiedział się, że dwóch funkcjonariuszy leży w szpitalu w wyniku interwencji na nożowej zabawie, sekretarka po przedwczesnym porodzie wzięła urlop, a zastępstwa nie ma, kapitan Sółdak złamał nogę, sierżant Fidybus rozpracowywał

gang młodzieżowy i zatrzał się narkotykami, ze Szczobytna przysłali jednego zamiast trzech młodych ludzi i że ten właśnie młody człowiek, może i zdolny, może nawet genialny, ale przecież niedoświadczony, prowadzi sprawę o morderstwo. Major zrozumiał, że porządki znów trzeba będzie odłożyć na nie wiadomo kiedy. – To znaczy niczego jeszcze nie prowadzi. Rzec się wydarzyła wczoraj, pojechał na miejsce, dokonał wstępnych oględzin – opowiadał zastępcą majora, kapitan Kowalski – ale ja naprawdę nie mam komu dać tej sprawy. Przecież ludzie na urloпах.

– Co z Fidybusem? W szpitalu?

– Nie, tylko na zwolnieniu. Doktor Gatunek dał mu do poniedziałku i powiedział, że nie chce go widzieć u siebie.

– Skąd narkotyki? Tu, u nas? Jeszcze tego brakowało!

– Fragment większej sprawy. Potem ci opowiem, bo to nas bezpośrednio nie dotyczy.

– No to daj mi tego Karbolka!

Podporucznik stał na korytarzu trzymany za klapę przez jednego ze starszych kolegów i słuchał instrukcji, jak ma się zachować wobec straszego majora Kajtysa, który nie znosi ludzi niezdecydowanych, ale też i zbyt pewnych siebie. Drażnią go pochopnie wyciągane wnioski, jak również brak inicjatywy. Łatwo wpada w gniew, ale jeszcze gorzej, kiedy jest spokojny. Nic więc dziwnego, że Karbolek wszedł do gabinetu na miękkich nogach, a wygląd szefa przeraził go jeszcze bardziej.

Major Kajtys, człowiek niewielkiego wzrostu, miał potężne bary i byczy kark, ogromną, szpakowatą czuprynę i krzaczaste brwi. Za biurkiem wyglądał jak Golem siłą wbity w mundur normalnych, ludzkich rozmiarów. Słuchał nie przerywając, patrzył groźnie, ponuro i na pewno widział nie tylko drżące kolana Karbolka, ale również jego bezładnie tańczące myśli. Podporucznik z trudem zbierał je do kupy, układał z nich pracowicie zdania, ale własny piskliwy głos słyszał jak z oddali i był coraz mocniej przekonany, że plecie głupstwa, za które zostanie wyrzucony z pokoju lub postawiony do kąta, jak w przedszkolu.

Major patrzył na niego z przyjemnością. Nienaganna

postawa, doskonale wyczyszczony i zaprasowany mundur, swoboda w wysławianiu się, żadnego stękania, kwękania, poprawna forma. Oczywiście major widział zakłopotanie chłopaka, błędy, luki w rozumowaniu, ale ogólnie rzecz biorąc, sprawozdanie trzymało się kupy, podstawowe czynności zostały dokonane.

– Śladów włamania nie było, więc znaczy, że morderca musiał mieć klucz. Wybór czasu dowodzi, że znał obyczaje zamordowanej i wiedział, że ona ogląda regularnie Teatr Kobra u sąsiadów, a przy włączonym telewizorze żadne odgłosy z dołu na górę nie dochodzą. Tak zeznali sąsiedzi, ale to oczywiście jest pod znakiem zapytania, ponieważ, jak dotąd, tylko oni mieli czas i sposobność zamordować Sarnawiecką.

Brwi majora przybrały kształt groźnego V.

– Już macie koncepcję? Nie za szybko?

– Nie, oczywiście, że nie! – zaczął się gwałtownie wycofywać podporucznik. – Zdaję sobie sprawę, że mam za mało danych, ale podejrzenia w stosunku do Solnickich wypłynęły stąd, że oni, jak już meldowałem, zachowali się dziwnie, nie zawiadamiając pogotowia, jakby byli absolutnie pewni, że ona nie żyje. Po drugie, przenosząc denatkę mogli swobodnie zatrzeć kompromitujące ich ślady, po trzecie opróżniono skrytkę w nodze od stołu, o czym mógł wiedzieć tylko ktoś zaprzyjaźniony z Sarnawiecką, po czwarte w szlafroku, który Solnicka miała na sobie schodząc do sąsiadki, sierżant znalazł studolarówkę.

Brwi majora zbiegły się w całkiem równe V.

– Jaki sierżant? – spytał opryskliwie. – Nie mieliście przecież w ekipie żadnego sierżanta.

– Ależ był, obywatelu majorze! Taki wysoki, chudy, w wieku obywatela majora mniej więcej, z bardzo długimi czarnymi wąsami... i zachowywał się tak... niekonwencjonalnie... – podporucznik Karbolek zamilkł, bowiem poraziła go straszna myśl. Teraz dopiero uzmysłowił sobie, że dziwny sierżant pojawił się nie wiadomo skąd i zniknął równie tajemniczo. Nie wrócił z ekipą do komendy, laził samopas, gdzie chciał, mógł fabrykować fałszywe ślady, zacierać prawdziwe, a mundur...

Ależ to się rzucało w oczy. Żaden, żaden człowiek tak nie nosi munduru! Największa łajza jednak zadba o to, żeby mundur nie wyglądał jak z młodszego brata i nie wisiał jak na kołku. A więc? Mundur nie był jego własnością. Kim był ten człowiek? Gdzie się podział? Wyszedł? Tak, wyszedł i zniknął, kiedy Karbolek z funkcjonariuszem pieczętowali mieszkanie. O, gdyby teraz można było umrzeć, zapaść się pod ziemię, ale śmierć nie przychodzi na żądanie, żeby ratować od kłęski najgłupszego z oficerów... Ale przecież była ekipa! Dlaczego oni nie zwrócili uwagi, jeśli to był ktoś obcy? Niestety, Karbolek uświadomił sobie, że dziwny sierżant zjawiał się i zniknął tak, że ani razu nie był w pokoju razem z członkami ekipy... Ziemia zawirowała mu pod nogami.

– W porządku, wracamy do waszej koncepcji – usłyszał całkiem niespodziewane słowa zwierzchnika. – Sądzicie więc, że Solnicka schodzi do sąsiadki, wali ją syfonem w głowę, opróżnia skrytkę i wraca do domu nie zatroszczywszy się nawet o uzgodnienie alibi z własnym mężem. Chowa zagrabione pieniądze do szafy, gdzie każdy może je bez trudu znaleźć, zawiadamia milicję i czeka na aresztowanie. Jak się nazywa taka koncepcja? – Karbolek milczał. – Taka koncepcja nazywa się bzdura! Kompletna bzdura! Ale mimo to do czasu wyzdrowienia Sołdaka będziecie prowadzić tę sprawę. Kapitan ma w gipsie nogę, nie głowę, więc kiedy wróci ze szpitala do domu, będziecie mogli z nim przekonsultować każdą nową koncepcję, jaka wam przyjdzie do głowy. Zaś co do tego sierżanta... – major zamilkł, bębnił palcami po stole. Trwało to dość długo, więc w końcu Karbolek zdobył się na odwagę.

– Chciałbym się usprawiedliwić, obywatelu majorze... Ja... jeszcze wszystkich tu nie znam.

– Nie trzeba! – machnął ręką komendant. – Ten sierżant istotnie tam był i dostaniecie go do pomocy.

Po wyjściu Karbolka major nakręcił miasto i odbył całkiem prywatną rozmowę, która zaczęła się od paru niecenzuralnych słów, a zakończyła przemawianiem do rozsądku, którego rozmówca, jak można sądzić, nie miał w nadmiarze.

– Wiem, że jestem sentymentalny. Ale do czasu. Dopóki nie

przekraczasz miary. A ty ją przekraczasz ciągle! Nie przerywaj, do cholery! Jesteś odpowiedzialny za tę sprawę... Tak! Dokładnie tak będzie – ty się naharujesz, a on zbierze laury. Ja nie mam ludzi i nie mam czasu na cackanie się z personelem. Ciebie jutro widzę w komendzie... Zwolnieniem to możesz sobie wiesz co?... I po co robisz z niego wariata? Skąd wzięłeś te dolary?... Ale przecież Sarnawiecka miała rodzinę w Anglii, a nie w Ameryce, to powinna mieć funty. Milczysz? Ha, złapałem cię! Koniec zabawy!...

* * *

– „Uwaga, nadajemy komunikat specjalny! Obywatelka Krystyna Sarnawiecka, przebywająca na wakacjach, proszona jest o natychmiastowe przybycie do Łopatowa w ważnej sprawie rodzinnej. Powtarzam...”

– Zakręć go! Niech nie gędzi.

– Krycha, to do ciebie. Może coś się stało?

– Akurat! – jasnowłosa dziewczyna roześmiała się bez trosko.

– Starej szajba odbiła.

– Komu?

– Mojej matce. Histeryczka cholerna! Pierwszy raz się wyrwałam tak, że nie wie, gdzie mnie szukać, to się zdobyła na koncept – dziewczyna z irytacją wydrapywała resztkę kaszy przypaloną na dnie kochera. – Zawsze, ile razy wyjechałam, to zaraz miałam od niej telefon. Albo list. Że jest chora, oczywiście ciężko chora, że umiera i że nie będzie jej miał kto oczu zamknąć. A ja, jak ta głupia, wiedziałam, że to brednie, ale jechałam. Nie miałam spokoju, myślałam, że może jej rzeczywiście coś się stało i dawałam się nabrać. Przyjeżdżałam do domu i zastawałam mamunię na płotach z sąsiadami. Tak było, ale tak nie będzie! Dostyc! Tym razem nie wie, gdzie jestem, to niebo i ziemię poruszy. Ale kit jej w oko! Nie znajdzie!

– Nie – chłopak nie wydawał się przekonany. – Nie szukałaby cię przez radio bez powodu. Oni też by nie nadali komunikatu na całą Polskę dla czyjegoś widzimisie.

– To ty nie znasz mojej matki! Jak im urządzi scenę numer jeden z padaniem i umieraniem, to od razu skruszeją.

– Pojadę z tobą, chcesz?

– Ja się nigdzie nie wybieram. Wreszcie jestem dorosła i mam wakacje tylko dla siebie. Komunikatu nie słyszałam, radia nie mam. No, bierz się do zmywania garnków! Na co czekasz?

* * *

– Weź mnie ze sobą! Marek! Weź!

– Nie mogę. To są urzędowe sprawy – Marek Rosiak nerwowymi ruchami wrzucał do teczki książki i notatki.

– To nic! Ty będziesz urzędował, a ja sobie pójdę na lody. No weź mnie! Proszę ja ciebie!

– Nie nudź, Robak! Bądź cicho przez chwilę – wyrzucił całą zawartość teczki na stół. – Pilne wezwanie! Z milicji! Nie wiadomo po co! W jakiej sprawie! W jakim charakterze! – Agnieszka Rosiakowa w milczeniu smarowała chleb masłem. – Czuję w tym rękę kochanej mamusi. Zrób mi kanapkę na drogę – znów zaczął wpychać książki. – Albo nie rób! Przecież to tylko dwie godziny.

– A może dać ci coś do picia?

– Nie trzeba. Gdzie długopis? Niech to diabli! Robak, oddaj! Przecież jak i tak nic nie zrobię w autobusie!

Wybiegł trzaskając drzwiami. Agnieszka popatrzyła za nim stroskanym wzrokiem.

– No widzisz, mama! – wołał syn. – On nie wziął kanapek! Daj, ja zjem za niego!

* * *

– Jakby się kto o mnie pytał, to pojechałem do mamy do Łopatowa. Nie wiem, kiedy wrócę – powiedział Leonard Sarnawiecki do gospodyni.

– Proszę się kłaniać mamusi ode mnie. To bardzo szlachetna kobieta. Żeby więcej takich było na świecie!

– Tak, tak, oczywiście. Aha, jakby Mariola chciała tu

nocować, to proszę jej dać klucz do mojego pokoju.

– Jeszcze by co! – burknęła zażywna bruneta w sile wieku zamykając za nim drzwi. – Policja jego, łobuza, telegrafem szuka – zwierzyła się znajomej – a ja będę jego lafiryndy przetrzymywać! Żeby sobie jakiej biedy napytać! Jakbym takim klucze miała dawać, tobym tu bajzel miała, a nie porządną stancję!

* * *

Podporucznik Janusz Karbolek, pełen emocji, czekał w pokoju nr 113 na poszczególnych członków rodziny Sarnawieckich i Rosiaków, którzy prawdopodobnie otrzymali już od niego pilne i nader enigmatycznie sformułowane wezwania i zaraz powinni zacząć się zjawiać. Podporucznik chciał, żeby ci, którzy o morderstwie naprawdę nic nie wiedzą, nadal pozostawali w nieświadomości. Do momentu zanim on nie uzna za stosowne ich wtajemniczyć w istotę rzeczy. Jeśli zaś jest między nimi morderca, to on, Karbolek, będzie tak kołował, że tamten nic nie spostrzeże. Niech się łudzi. Niech udaje wielką rozpacz, fałszywy żal, aż do, chwili kiedy prowadzący śledztwo podporucznik Karbolek spojrzy mu badawczo w oczy i powie:

– Pańska matka... żona., nie żyje...

Miał dokładny plan rozmowy z każdym z nich, ponieważ nie chciał zaniedbywać niczego, ale robił to tylko dla świętego spokoju. Był bowiem przekonany, że już zna mordercę. Właściwie morderczynię. Mimo że komendant wykpił jego koncepcję, nad głową pani Solnickiej nadal zbierały się chmury. Zbyt wiele było związanych z jej osobą znaków zapytania. I porucznik ze swoim wąsatym sierżantem po raz drugi przeglądali dokładnie cały materiał dowodowy, jaki zdążyli zgromadzić. Orzeczenie lekarskie było jednoznaczne. Śmierć została, ponad wszelką wątpliwość, spowodowana uderzeniem syfonu. Ciało, przenoszone przez Solnickich, było jeszcze ciepłe, nie nastąpiły żadne zeszywnienia. A więc owe podejrzane próby ratowania odbyły się zaraz po śmierci Sarnawieckiej.

– O co szło tym Solnickim? – zastanawiał się głośno Karbolek. – O położenie ciała? Czekajcie, coś w tym jest! Sarnawiecka leży u wejścia do pokoju, więc sądzimy, że ktoś ją uderzył, gdy go zaskoczyła w pokoju. A gdyby leżała obok piecyka? Wnioskowalibyśmy, że morderca wszedł po niej do mieszkania i żadnego momentu zaskoczenia nie było. Musiał to być ktoś, czyje wejście jest sprawą zwyczajną. Oł, zaprzyjaźniona sąsiadka na przykład. Wchodzi, kiedy Sarnawiecka zajmuje się ciastem w piecyku. Bierze syfon, bo chce się napić wody, i wchodzi z nim do kuchni, niby po szklanke – to wszystko jest naturalne. Sarnawiecka, odwrócona, niczego nie podejrzewa. Tymczasem Solnicka uderza...

– Jej by trudno było – wtrącił sierżant Fidybus. – Solnicka jest kurdupel, a Sarnawiecka baba jak piec. O, tu, widzi porucznik – podsunął zwierzchnikowi zdjęcia. – Tak poszło uderzenie. Z góry.

Podporucznik pochylił się niechętnie nad wilgotnymi jeszcze zdjęciami.

– To są wasze fantazje, sierżancie. Ja tu nic nie widzę. Może mi jeszcze powiecie, że kobiety nie mordują w ten sposób? Że raczej posługują się trucizną na przykład? Ale wy się nie sugerujcie kryminalnymi książkami. Wy myślcie!

– W życiu nie przeczytałem ani jednej kryminalnej książki! – zawołał oburzony do żywego sierżant. – A co do myślenia to od tego jest obywatel porucznik.

– Czy wy zawsze musicie mieć ostatnie słowo? Weźcie długopis i piszemy.

– Co piszemy, kiedy nic nie wiemy?

– To, co wiemy... Nie, no z wami nie można poważnie rozmawiać! Sierżancie Fidybus, dlaczego wy sobie ciągle robicie żarty? Dlaczego koniecznie chcecie mnie wyprowadzić z równowagi? Dlaczego wam zależy na tym, żeby mnie ośmieszać? Dlatego że jestem nowy i nie mam doświadczenia? – w głosie podporucznika brzmiał całkiem nieurzędowy żal, a w błękitnych oczach widniała autentyczna pretensja skrzywdzonego dziecięcia. Sierżant Fidybus zgłupiał.

– Ja przepraszam obywatela porucznika, ja nie chciałem... Tylko mam taki paskudny charakter. Ale można się przyzwyczaić. No bo i skąd miałem wiedzieć, że taki ładny, mądry porucznik ma kompleksy. Tfu! Znowu! Może ja lepiej w ogóle będę milczał, a pan porucznik będzie monologował? No, więc co z tą Solnicką?

– Przecież byliście przeciwni mojej koncepcji.

– Bo ja w ogóle jestem przeciwny koncepcjom. Szczególnie na początku śledztwa. Ja bym na przykład wolał się dowiedzieć, gdzie się podziały listy?

– Jakie listy?

– Sarnawieckiej. Od syna z zagranicy – na przykład. U Solnickich pełno wszędzie kolorowych pocztówek z widoczkami Pragi, Berlina, a tu nic. W żadnym pudełeczku listów nie ma.

– Może wyrzucała po prostu?

– Panie poruczniku! Jak tu każda rzecz ma swoje miejsce, jak rachunki na gaz, za światło leżą porządnie sznureczkiem związane, to wyrzuciłaby list, kartę, odcinek dla odbiorcy zagranicznej paczki? Nie ma mowy! Musiało to razem leżeć i gdzieś wyszło.

– Zabrała Solnicka. Ona wiedziała doskonale, gdzie takie rzeczy leżą.

– Ja też o tym pomyślałem, poruczniku. Toteż przewróciłem do góry nogami jej mieszkanie, jak pan zresztą wie, i...

– Wiem i wyraziłem swój stosunek do tej waszej samowoli.

– Tak jest, obywatelu poruczniku, ale moja samowola pozwoliła stwierdzić, że poszukiwanych przez nas listów nie ma ani w mieszkaniu Solnickich, ani w śmietniku na podwórzu, ani w koszu ze śmieciami na ulicy niedaleko domu – porucznik Karbolek spojrział na sierżanta z prawdziwym szacunkiem, czego ten na szczęście nie zauważył, i prawił dalej: – a nie bardzo sobie mogę wyobrazić, że ona w tym usmotruchanym szlafroku leci z pudłem listów na dziesiątą ulicę, żeby to wyrzucić daleko od domu.

– Jeśli przyjmujemy, że ona rzeczywiście zeszła na dół w tym szlafroku. W końcu z jakiej racji mamy wierzyć zeznaniom Solnickiego?

– Z takiej, że na razie nie mamy żadnych okoliczności, które by je podważyły. A nawet odwrotnie – mamy takie, które potwierdzają.

– To znaczy?

– Studolarówka w szlafroku.

* * *

Marek Rosiak zjawił się pierwszy i natychmiast przystąpił do ataku.

– Może się wreszcie dowiem, czemu, u licha, zawdzięczam to pilne spotkanie? Oczywiście, zaraz usłyszę, że to pan ma zadawać mi pytania, a nie ja panu, ale nie zamierzam o niczym z panem rozmawiać, zanim się nie dowiem, o co chodzi i dlaczego odrywacie mnie od pracy, która jest naprawdę pilna? – powiedział z irytacją siadając bez zaproszenia naprzeciw Karbolka. Jego oczy spoza szkieł w cienkiej, złotej oprawie patrzyły wrogo.

– Chętnie panu odpowiem. Pańska matka...

– Spodziewałem się tego! No tak, oczywiście! Można wyczuć w tym rękę mojej kochanej mamusi! Ciekawe, co ona wymyśliła, żeby mnie aż poszukiwać przez milicję? Może ją okradłem? Może nasłałem na nią bandytów? Może...

– Może pan to rzeczywiście zrobił? Nie wiem – odparł spokojnie Karbolek i aż się zdziwił, że tak bez tremy przystępuje do prowadzenia swojej sprawy, że zaczyna oto nadawać jej bieg według własnego rozeznania i za chwilę poinformuje pierwszego podejrzanego o tym, co sam uzna za stosowane. – Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Pańska matka została wczoraj okradziona.

– Pięknie! A czy była łaskawa wyjaśnić, dlaczego uważa mnie za złodzieja?

– Widzę, że pan naprawdę chce zamiast mnie prowadzić przesłuchanie. Matka wcale pana nie oskarżyła, ale pan jest tak niecierpliwy, że nie daje mi dojść do słowa.

– Przepraszam... – zdjął szkła i przetarł je zmiętą, niezbyt czystą chusteczką. Jego oczy były zmęczone. – No cóż, to

musiało się tak skończyć. Ale obawiam się, że niewiele panu pomogę. Nie utrzymywałem z matką ostatnio zbyt zażyłych stosunków.

– Dlaczego?

– Matka nie znosiła mojej żony, a ja nie należę do synów, którym matki wskazują, z kim mają się żenić.

– Kiedy był pan ostatni raz w domu?

– W domu...– powtórzył powoli Rosiak. – Mniej więcej rok temu.

Podporucznik Karbolek poprawił się na krześle. Trafił na pierwsze kłamstwo i od razu poczuł miłe podniecenie. Teraz musiał być podwójnie czujny i ostrożny, żeby w porę zdemaskować przestępcę. Sytuacja sąsiadki Solnickiej zaczęła się nieco poprawiać.

– Dlaczego pan – spytał nie spuszczając oczu z Rosiaka – powiedział, że „to musiało się tak skończyć”? Co pan miał na myśli?

– Panie poruczniku! Ile może na siebie wydać stara kobieta, która wszystkiego sobie skąpi, jest na diecie, ubiera się w stare szmaty, kłóci się w sklepie o pięć groszy, a przy tym otrzymuje stale paczki zza granicy, pensję od mego ojczyma i ode mnie? Te pieniądze gdzieś musiały się podziać. Nie trzeba być demonem przebiegłości, żeby dojść do wniosku, że starsza pani trzyma niezły mająteczek w pończosze. Szczególnie, że u nas pieniądze z zagranicy liczą się podwójnie. Nawet listonosz mógł komuś powiedzieć, że pod ten numer nosił zagraniczne przesyłki. Zresztą ona sama zachowywała się często tak, że mogła coś zasugerować złodziejowi... No, na przykład, ktoś chciał usiąść w fotelu, a ona rzucała się jak lwica, wydzierając spod gościa ten fotel, co znaczyło, że ukryła w nim pieniądze. Wszyscy, którzy ją znali, wiedzieli, że jej mieszkanie pełne jest idiotycznych schowków. Może ona nawet nie była taka bogata, jak się mogło zdawać...

– Dlaczego pan powiedział „była”? – przerwał ostro podporucznik. Marek spojrział na niego, jak obudzony ze snu.

– No bo chyba już nie jest, skoro ją okradli?... zresztą powiedziałem panu, że ponad rok nie byłem w domu. Nie

wiem, jak tam teraz jest, ale nie sądzę, żeby się zmieniło. To jest starcza mania. To się musi z wiekiem pogłębiać.

– Czy między pańską żoną i matką dochodziło często do kłótni?

– Moja żona nie należy do kobiet, które pozwalają się wciągać w kłótnie i awantury – odparł ostro Rosiak.

– Więc nie dochodziło?

– Nie.

– Ani razu?

– Ani razu.

– Mimo to od roku nie był pan w domu? – Karbolek czuł, że sprawa stosunków między synową a teściową nie jest w tej aferze bez znaczenia, ale nie potrafił sformułować dostatecznie celnych pytań, żeby dotrzeć do sedna sprawy. Kręcił się obok jednego kłamstwa Rosiaka i ciągle nie mógł się zdecydować, czy należy je zdemaskować już, czy pozwolić się Rosiakowi zaplątać jeszcze głębiej.

– Nie, w domu nie byłem.

– I nie korespondował pan z matką?

– Owszem. Wysyłałem okolicznościowe kartki, czasem parę słów o swojej pracy – to właściwie wszystko.

– A to? – zdecydował się porucznik i położył przed Rosiakiem list, jedyny list znaleziony w tym mieszkaniu, datowany sprzed tygodnia, podpisany „Marek”. Krótki list, ale sugerujący, że jego autor jest w stałym kontakcie z adresatką.

„Mamo, nie musisz pisać na adres Instytutu, bo Agnieszka nie ma zwyczaju, w przeciwieństwie do Ciebie, czytać cudzych listów. Nie demonizuj tamtej sprawy, zajmę się nią, jeśli uznam za potrzebne. Na razie tak nie uważam. Postaram się przyjechać do Ciebie w środę lub w czwartek przed południem – nie wychodź z domu”.

– A więc nie był pan w Łopatowie?

– Byłem – Marek wyraźnie spuścił z tonu.

– Przed chwilą złożył pan, wobec tego, fałszywe zeznanie.

– Spokojnie, poruczniku! Niech pan mnie nie próbuje wrabiać w żadne fałszywe zeznania – Rosiak znów odzyskał poprzednią agresywność, znów jego spojrzenie stało się wrogie. – Pytał

mnie pan, czy byłem w domu. Otóż w domu nie byłem. Przyjechałem, zadzwoniłem i spotkałem się z matką w kawiarni.

– Dlaczego?

– Żeby uniknąć spazmów, omdleń itd. Niestety, nie unikałem.

– O jakiej sprawie pisał pan w tym liście?

– Chodziło o moją siostrę. Matka uważała, że dziewczyna zaginęła, że powinienem zawiadomić milicję lub rozpocząć poszukiwania na własną rękę. Usiłowałem ją przekonać, że dziewiętnastoletnia dziewczyna wyjeżdża czasem z domu nie mówiąc dokąd i że jeszcze nie ma powodu do niepokoju, ale matka jest bardzo uparta.

– Teraz już uważa pan na zgodność czasów, panie Rosiał. Tym razem nie powiedział pan „była uparta”. Ciekawe, jak by pan to wytłumaczył?...

– Czego pan ode mnie chce – na twarzy Marka pojawił się wreszcie wyraźny niepokój. – O co panu chodzi?

– O to, że pańska matka została zamordowana! I że pan doskonale o tym wiedział od początku naszej rozmowy.

Marek powolnym ruchem zdjął okulary, wstał, usiadł z powrotem. Milczał patrząc w stół zaczerwienionymi oczyma.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie wiedziałem, bo przecież nie zachodziłem do domu. Prosto z pociągu przyszedłem tutaj. Ale myślałem o tym. Przez cały czas myślałem. Jak dostałem to wezwanie. Ale mi się wydawało niemożliwe... Odetchnąłem, jak pan powiedział o tej kradzieży!... Jak to się stało? W czym jej podano? Przecież to strasznie gorzkie.

– Co?

– Ta trucizna. Niech pan się nie zgrywa! W tej sprawie mnie pan tu wezwał. Przecież ja nic nie próbuję ukrywać. Mówię o truciznie, która mi zginęła z laboratorium.

– Tak, oczywiście... No tak... – bąknął podporucznik Karbolek niezbyt na razie odporny na niespodzianki. – Czy pan kogoś podejrzewa?

– Ja mam podejrzewać? Skończmy głupie żarty! Przecież to ja jestem pańskim pierwszym podejrzanym. Czy może nawet

oskarżonym? Cholera, pewno nawet nie mam żadnego alibi!... Rozumiem! Już wszystko rozumiem! Zamordowano ją w czwartek?...

* * *

Filip Sarnawiecki wrócił z lasu i zastał swoją młodą żonę płaczącą. Babskie łzy rzecz zwyczajna, więc nie miałby o nie pretensji, gdyby to nie rzutowało na sprawy kulinarne. Tymczasem garnki na kuchni stały puste, w mleku na oknie tonęły muchy, a żona we łzach.

– Maryś... – zagał miękko leśniczy – obiadu nie ma?

Chlipanie się wzmogło.

– Maryś, jak Boga kocham, stało się co? No, powiedz choć słowo, co tu masz za papier?

– Żona... twoja żona przez milicję ciebie szuka!...

– Ścierwo! Zatlukę tę kłepę, jak tylko dopadnę! Co jej do łba przyszło? Pokaż ten papier!

– Boże, mój Boże! Czego ja się z żonatym zadałam?... – lamentowała kobieta. – Oskarżyła ciebie! Do więzienia wsadzi! Gdzie ja rozum miałam?

– Cicho bądź! – huknął Sarnawiecki. – Głupstw nie pleć. Co ona jest? Władza? Rząd? Żeby mnie mogła do więzienia sadzać, jak jej się podoba? Głupie gadanie! – wziął list i wyszedł na dwór. Tu mu się najlepiej myślało. Księżyc już wisiał na niebie, błądy, ale wyraźny. Od wody szły zacichające ptasie gadania. Leśniczy siadł na progu i wpatrzył się w urzędową „bumagę”. Im dłużej patrzył, tym bardziej mu się wydała podejrzana. Datownik miała, godzinę przyjęcia, jak telegram, ale telegramem nie była. Żadnych pieczęci, żadnego wydziału, a przecież wojewódzka komenda musi mieć wydziały. Przecież to nie wsiowy posterunek z jednym szeregowcem od wszystkiego! I takie głupie pismo wzywało obywatela Filipa Sarnawieckiego do stawienia się w pokoju 113 w trybie natychmiastowym. A dzień? A godzina? Całą dobę będzie ten pokój 113 otwarty, czy jak? – zirytował się wzywany. Zmiał papier i wsadził do kieszeni. Pojedzie, to zobaczy, co za bałwan niedouczony to

писаł.

* * *

– Więc się chyba trochę wygłupiłem, rozumie mamusia? – podporucznik Karbolek siedział w bonżurce i domowych pantoflach pod swoją ulubioną lampą, w ulubionym fotelu i raczył się kawą znakomicie przyrządzoną przez mamę. – Wobec tego muszę się teraz zrehabilitować.

– Co ty pleciesz, Januszku – zaprzeczyła żywo mama. – Nie ma mowy o wygłupianiu. Może tylko nie potrafisz jeszcze przekonywająco argumentować, ale kiedy zbierzesz więcej dowodów, nikt już nie potrafi cię zbić z tropu. Ta Solnicka sama ci w rękę wejdzie.

– Kiedy ja wcale nie jestem już tak głęboko przekonany o jej winie. Marek Rosiak też mi się wydaje podejrzany. Kłamie, wykręca się potem, że nie to miał na myśli, ale ja dobrze wiem, co o nim sądzić. Tam były jakieś dziwne, napięte stosunki między nim, jego żoną i matką. Twierdzi, że te dwie kobiety nigdy się ze sobą nie kłóciły, a jednocześnie zeznaje, iż z tego powodu od roku nie był w domu, co znów okazuje się nieprawdą i...

– Że też musiałeś trafić od razu na taką skomplikowaną sprawę! – westchnęła mama Karbolkowa. – Ale właściwie to nic dziwnego, jesteś młody, zdolny, od razu się na tobie poznali. Jednak sądzę, że nie powinni ci powierzać tej bardzo trudnej sprawy choćby z tego względu, że jesteś tu nowy nikogo nie znasz, a tu ludzie się znają. Chociaż nie, tu w blokach wcale nie – pani Karbolkowa przypomniała sobie nieszczęśliwą minę listonosza, który szukał jakiegoś pana Palca, który, jak się potem okazało, nazywał się pan Padalec. Pół klatki radziło na schodach, jak go znaleźć, i dzięki temu pani Karbolkowa poznała wreszcie swoich najbliższych sąsiadów, a wszelkie znajomości wśród zwykłych ludzi tego miasta mogły synowi pomóc w tropieniu przestępcy. Pani Karbolkowa postanowiła, nie wtajemniczając w to jedynaka, że wybierze się z sąsiadką Michałkową jutro na targ, który mieścił się niedaleko ulicy

Pratchawca, przyjrzy się domowi zbrodni, a przy okazji tu i ówdzie zasięgnie języka. Rola nowej panny Marple marzyła się mamie Karbolkowej od dawna. Jeszcze w czasach, kiedy Januszek studiował w Szczobytnie, a ona widziała go okiem ducha w roli bohatera jakiejś wielkiej kryminalnej afery, jak mówi do mikrofonu radiowego lub do jakiegoś urządzenia w telewizji o swoim sukcesie, a na zakończenie dodaje: „bardzo mi pomogła moja mama. Bez niej nigdy bym sobie nie poradził”. Nie, to ostatnie zdanie nie jest dobre. Nigdy nie należy sugerować, że zadanie było ponad siły. „Bardzo mi pomogła moja nieoceniona mama”... Tyle wystarczy...

– Mamo! – zawołał podporucznik Karbolek. – Ty mnie nie słuchasz.

Pani Karbolkowa drgnęła i wróciła do rzeczywistości.

– Mamo, prosiłem cię o gazety z ostatniego tygodnia. A głównie z soboty. Jeśli chcesz mi pomóc, to siądź przy mnie i sprawdzimy wszystko po kolei, jak szło w telewizji. Program dnia... Nie, to za wcześnie. „Dobranocka”, dziennik o 20.00, Teatr Kobra o 20.20 do 21.15. Przypomnij sobie mamo, czy tego dnia teatr się nie spóźnił?

* * *

Nadleśniczy Filip Sarnawiecki wyskoczył w biegu z rozklekotanego autobusu i pobiegł do postoju taksówek. Odwykł od miasta, zapomniał, gdzie jest komenda, nie poznawał ulic, na których stały duże, nie znane domy albo pracowały buldożery. Łopatowo, niedawno mianowane miastem wojewódzkim, nadrabiało z impetem zaległości w wystroju miasta. Natomiast komunikacja pozostała nadal niezmienną. Nic dziwnego – jest dużo mniej widoczna niż nowe wielopiętrowce. Leśniczówkę Sarnawieckiego dzieliło od Łopatowa równe 125 kilometrów, ale mieściły się w tym dwie przesiadki, więc nic dziwnego, że Sarnawiecki, wyruszywszy z domu rano, dobił do miejsca przeznaczenia po trzeciej. Taksówki oczywiście nie złapał, postój przeniesiono, tak że dopiero o wpół do czwartej głodny, wściekły i spragniony dobił

do komendy. Znalazł pokój 113, przyglądził w biegu mundur i nie pukając wpadł do środka.

Dwaj mężczyźni siedzący przy biurku spokojnie popijali kawkę i wcale nie wyglądali na takich, którym spieszy się do domu.

– Mam tu wezwanie! – zaczął szukać po kieszeniach Sarnawiecki. – Na dziś! Znaczy na zaraz!

– Obywatel Filip Sarnawiecki? – młodszy uprzejmie wskazał krzesło, starszy przesiadł się do protokolanckiego stolika. – Proszę, niech pan spocznie. Zaraz wszystko wyjaśnimy. Proszę mi wierzyć, że pośpiech naprawdę był konieczny.

– Pan z Podola? – spytał nagle starszy, wąsaty.

– Nie, z nowogródzkiego, ale byli i na Podolu Sarnawieccy, byli. To ci bogatsi. Pan ich znał?

– Sługiwałem przed wojną po dworach jako małe chłopię, to się napatrzyłem na dziedziców. Pan ma taką powierzchowność, że trudno pomylić.

– Może to i racja! – sapnął melancholijnie Sarnawiecki. – Za wygląd mnie od bezetów wyzywali za błędów i wypaczeń. A co ja tej ziemi przed wojną miałem? Folwarczek tylko na mnie przeszedł maluśki, a i to zadłużony.

Istotnie wygląd miał Sarnawiecki wzorcowy. Kontusz byłby dla niego strojem bardziej odpowiednim niż mundur pracownika lasów państwowych. Był to szlachciura dorodny nad podziw. Słusznego wzrostu, ogorzały, szeroki w barach, mocny w karku. Oczy miał niebieskie, nos prościutki, wąs jak wiecheć dojrzałej słomy. Pomimo sześćdziesiątki trzymał się prosto, ruszał żwawo. Karbolek patrzył na niego z przyjemnością i nagle poczuł dojmujący smutek, bo zdał sobie sprawę, że Sarnawiecki też może okazać się mordercą, choć byłoby to całkiem niefortunne posunięcie losu. Patrząc w szczerze oczy leśniczego zrozumiał, że znów nie wykona planu rozmowy, że nie potrafi kluczyć i zadawać mu podchwytliwych pytań. Przynajmniej dopóki nie wyjaśni sytuacji. Rąbnął więc prosto z mostu!

– Wezwaliśmy pana, bo pańska żona nie żyje – i natychmiast poczuł niewysłowioną ulgę. Wydało mu się, że teraz mogą

rozmawiać jak równi partnerzy.

– To i chwała Bogu! – powiedział Sarnawiecki z rozbrajającą prostotą. – Skończą się wreszcie moje utrapienia. Świeć, Panie, nad jej duszą, ale... No dobrze! – zjeżył się nagle. – Ale po co tu milicja!?

– Obywatelka Zenobia Sarnawiecka otrzymała śmiertelny cios w głowę zadany węgierskim syfonem do wody sodowej. Morderstwa dokonano w dniu 15 bieżącego miesiąca prawdopodobnie między godziną 20.20 a 21.27 – wyrecytował podporucznik. – Gdzie pan był, co pan robił w tym czasie i kto może to potwierdzić?

– W lesie byłem. Ale dlaczego panowie mnie podejrzewacie?

– To tylko formalność – zbagatelizował Karbolek. – Na razie nikogo nie podejrzewamy. Staramy się wyeliminować niewinnych. Cały dzień byliście w lesie? – forma „wy” zdawała mu się bardziej urzędowa. – O której wróciliście do domu?

– Późno. Chyba koło jedenastej albo dziesiątej. Zegarka do lasu nie brałem.

– Zawsze tak późno wracacie?

– Nie zawsze, ale za kłusownikiem chodziłem.

– Kto was widział w lesie i kiedy?

– Tracze. Rano i koło obiadu. Potem to już nie wiem.

– Ma pan samochód?

– Z czego? Z tej pensji?

– A motor?

– Mam. Starego junaka.

– Dlaczego opuścił pan żonę?

– Jędza była.

– Ale miał pan z tą jędzą dwoje dzieci. Jak to pogodzić?

– Jak pan będzie starszy – zachichotał Sarnawiecki – to pan zrozumie, jak to można pogodzić. A na dzieci dawałem.

– Ile?

– Tysiąc miesięcznie.

– Z pensji leśniczego? Ciekawe... Kiedy pan wysłał żonie ostatni przekaz?

– Ostatni? A, ostatni! – zmieszał się Sarnawiecki. – Ostatni to rzeczywiście dawno. Trochę się opuściłem... No i w końcu na

kogo mam wysłać? Dzieci dorosłe, żona bogatsza ode mnie. Ja też mam kobitę. Przecież sam jak dzik siedzieć nie będę! A teraz dzieciak...

– Winszuję.

– Nie ma czego. Znów się tego wrzasku nasłucham, nim to podrośnie.

– Kiedy pan widział żonę po raz ostatni?

– Dwa lata temu. Przyjechałem prosić o rozwód, bo już Marysia u mnie była. Ale Zenka nie chciała słuchać.

– Teraz, kiedy dowiedział się pan, że będzie dziecko, nie ponowił pan prośby o rozwód? – zadał podchwytliwe pytanie Karbolek, ale Sarnawiecki był nadal rozbrajająco szczery, jakby nie zdawał sobie sprawy, co sugeruje prowadzącemu śledztwo.

– Tym bardziej by nie dała! Na złość. Mściwa była. Mściwa i jędrza. Szkoda mówić – pan Bóg ją skarał. Pan jest milicjant, to pan w Boga nie wierzy, ale mnie inaczej chowali.

– Sprawa wiary to prywatna sprawa pana i moja – powiedział poważnie Karbolek. – Ale tu Bogiem się nie wykpiemy. Zabił ją człowiek. I tego człowieka musimy znaleźć.

Niestety, Sarnawiecki nie mógł lub nie chciał pomóc. O niczym, co dotyczyło byłej żony, nie wiedział, nie interesował się, nie pamiętał. Po jego wyjściu Karbolek przeciągnął się, zrobił kilka przysiadów, po czym wróciwszy za biurko zwrócił się łaskawie do podwładnego.

– No i co wy o tym myślicie, sierzancie?

– Zaraz będę myślał – sierżant bazgrał na kawałku gazety.

– A teraz co robicie?

– Liczę... Jakby się dobrze dosadził, to na jedenastą do domu by wrócił. Nawet tym junakiem. O czym pan porucznik mi kazał myśleć?

– Już nic, nic, liczcie sobie – Karbolek poczuł nie pierwsze ukłucie zazdrości. Sierżantowi zawsze przychodziły do głowy myśli, które powinny przyjść jemu samemu. – Ale wydaje mi się, fantazujecie. Taka podróż motorem, w takim tempie, to byłby wyczyn sportowy nawet dla mnie, a cóż dopiero dla starszego człowieka.

– Dla pana tak, bo pan nie herbowy – odparł sierżant ni w

pięć, nie w dziesięć. – Czym pana karmili, jak pan był mały?

– Nie wiem. Kaszką chyba? Mlekiem, przecierami... Normalnie, jak dziecko – odparł zaskoczony Karbolek.

– No widzi pan! A on pił krew ludu pracującego, jak tylko mu się mleczone zęby wyrznęły. Dlatego taki mocny. No, co tam mamy po drodze? Cztery spore wioski i jedno miasto, ale z obwodówką. Eee! Nawet pan porucznik by zdążył.

* * *

Lolek się nie spieszył. Niech sobie nie myślą, że jego można mieć na zawołanie. Stawi się wtedy, kiedy będzie mu to odpowiadało. Przeszedł więc wolnym krokiem z dworca do komendy, zajrzał do kawiarenki „Nadrzeczej”, gdzie za licealnych czasów spędzał długie, miłe godziny. Miał zamiar pogadać z koleżanką, której się nie udało i po maturze została tutaj kelnerką, ale Teresa na jego widok zmieszala się wyraźnie i uciekła na zaplecze. Lolek zostawił nie dopitą kawę i poszedł prosto do komendy. Przy okienku z przepustkami zauważył wysoką sylwetkę ojca.

– Tato! Co od ciebie chcieli?

– O! Ty także tu? – zdumiał się Sarnawiecki. – Znaczą całą rodzinę wzywają!

– Ale po co?

– To ty jeszcze nic nie wiesz o mamie?

– Proszę nie dyskutować! Proszę się rozejść! – przeciął dyżurny. – Obywatel też do pokoju 113? Korytarzem w lewo.

– Mama nie żyje! – zdążył jeszcze krzyknąć Sarnawiecki. – Spytaj, kiedy oddadzą ciało. Przecież trzeba pochować! – milicjant zamknął za nim drzwi. Lolek ciężkim krokiem ruszył korytarzem w lewo.

Kiedy wszedł do pokoju, podporucznik Karbolek zorientował się, że chłopak już wie. Sprawilo mu to ulgę. Zawiadamianie o śmierci bliskich okazało się nie najłatwiejszym zajęciem. Chociaż nikt z przesłuchiwanym dotychczas nie płakał, nie mdlał, to jednak po każdej rozmowie zostawał Karbolcowi wyraźny przykry posmak.

Jestem hiena żerująca na trupie! – myślał z rozdrażnieniem. – Stanowczo nie nadaję się do takiej roboty. Znowu mam patrzeć, czy mu drgnie powieka, kiedy powiem, że jego matce rozwalono głowę? To jest wstrętne! Nie chcę! – ale już nie było odwrotu.

– Czy to prawda? – spytał Lolek. – Jak to się stało?

Podporucznik krótko wyjaśnił okoliczności. Chłopiec słuchał uważnie, ze zwieszoną głową.

– Rozumiem – powiedział. – Teraz pan podejrzewa wszystkich z rodziny, ale dlaczego? Przecież to mógł zrobić każdy.

– Skrytka w nodze od stołu została świeżo opróżniona – wyjaśnił Karbolek pomijając milczeniem inne szczegóły. – O niej nie mógł wiedzieć każdy. Pan wiedział?

– Oczywiście. Wszyscy wiedzieliśmy. To bardzo stare meble. Zawsze u nas były. Wiedzieliśmy my, nasi koledzy, sąsiedzi. Oni mogli powiedzieć komuś jeszcze. Dużo ludzi wiedziało. Tylko wątpię, czy tam naprawdę coś było. Czy mama miała tyle pieniędzy, jak się wydawało tym różnym zazdrosnym babom na czele z Solnicką. Zazdrościła mamie ciuchów po tych parszywych Angielkach! Tomek się specjalnie nie wysilał na paczki, tylko wysyłał stare szmaty. Wiadomo, że u nas wszystko pójdzie. Aby z zagranicy. Zresztą Solnicką też mogła mieć. O co jej chodziło? Przecież też ma syna za granicą. Ale to chciwe babsko i zawistne!

– Więc sądzi pan, że bogactwo pańskiej matki było legendą? – podporucznik stwierdził, że nie przerywając można się dowiedzieć wielu interesujących rzeczy. Milczenie przesłuchującego prowokuje do mówienia przesłuchiwanego, który być może mówi więcej, niż ma zamiar powiedzieć. Tak było chyba z Markiem Rosiakiem, tak jest obecnie z Lolkiem.

– Nie potrafię panu tego powiedzieć na pewno. Może miała coś odłożonego, jak zwykle lubią mieć starsi ludzie, ale wiem, że żyła bardzo skromnie. Kiedyś nie miała nawet na lekarstwa i musiałem jej dać ze stypendium. Ale czy złodziej musiał zabijać, jeśli chciał okraść?!

– Obywatelka Sarnawiecka widocznie zaskoczyła

włamywacza – odparł porucznik Karbolek i pomyślał, że istotnie nie musiał tego robić nikt bliski, któremu łatwo byłoby wytłumaczyć swoją obecność w tym domu. Gdyby na przykład siedzący tu naprzeciwko Leonard Sarnawiecki chciał okraść swoją matkę, musiałby, zaskoczony przez nią, odłożyć swoje plany na inny dzień, a na razie udawać radość z nadspodziewanie szybkiego powrotu mamusi. A więc czyżby rabunek był tylko pretekstem?... Komu był potrzebny pretekst? Człowiekowi, który miał zwiększone wydatki, niewielką pensję leśniczego i musiał zalegalizować w wiejskiej społeczności pozycję swoją, żony i mającego się urodzić dziecka? A nade wszystko miał na oko metr dziewięćdziesiąt wzrostu... – Czy mówiąc „złodziej” miał pan kogoś konkretnego na myśli?

– Nie. Złodziej, morderca to tak jakoś zawsze „on”. Myślałem istotnie raczej o mężczyźnie niż kobiecie, bo chyba trzeba siły, żeby uderzyć.

– Niekoniecznie. Ważne jest miejsce. Uderzono nieco powyżej skroni.

– Rozumiem. To mógł zrobić każdy. Nawet stara Solnicka.

– Ale nie ją miał pan na myśli?

– Oczywiście że nie. Ona może intrygować, napauszczać, mogłaby nawet podkradać mamie pieniądze, ale nie uwierzę, że potrafiłaby uderzyć. Do tego trzeba odwagi.

– A kto spośród pana rodziny i znajomych potrafiłby uderzyć?

– Kto?... Ojciec? Może w złości?... Jest porywczy, gwałtowny, ale nie wyobrażam sobie, żeby potem myślał jeszcze o szukaniu pieniędzy. Nie, morderstwo i rabunek to nie on! Marek... W ogóle tak. On byłby w stanie zabić człowieka, który stanąłby w poprzek jego planom, ambicjom, ale nie wyobrażam sobie, żeby mógł zabić matkę. On był do niej najbardziej z nas wszystkich przywiązany. Pomimo że ostatnio byli skłóceni. Przypuszczam, że cierpiał jak potępieniec z powodu tej kłótni. Że chętnie by się sto razy pokajał, przeprosił, ale jest uparty. No i mama głupio wzięła się do rzeczy. Hukiem. A tu trzeba było na wzruszenie. Nie wiem, czy pan się orientuje w naszych rodzinnych stosunkach? – Karbolek w milczeniu skinął głową.

– No właśnie! Więc gdyby przemówiła do jego synowskiego serca, byłaby wygrana. A ona chciała rządzić nimi obojgiem – Markiem i jego żoną. A tymczasem trafiła kosa na kamień. Agnieszka... właśnie, czy Agnieszka byłaby zdolna zabić? Sądzę, że tak, ale nie w ten sposób. Wydaje mi się, że ona potrafiłaby swoje morderstwo doskonale przygotować, a potem bezbłędnie z zimną krwią wykonać. Ale złapać pierwszą lepszą rzecz stojącą pod ręką i uderzyć? Nie, to mi do niej nie pasuje. Kto jeszcze? Krystyna. Nie ma mowy – to dzieciak. Stary Solnicki? Może pozory mylą, ale od lat wszyscy są przekonani, że to pantofel. Wreszcie ja sam... O sobie najtrudniej coś powiedzieć. Czasem wydaje mi się, że mordowałbym z najbliższego powodu, ale to się chyba tylko tak wydaje. Jedno mogę powiedzieć na swoją obronę – uśmiechnął się blado – pominiawszy wszelkie uczucia, w które pan jako doświadczony oficer może już nie wierzyć, to morderstwo jest wbrew moim interesom. W najbliższych dniach miałem wyjechać do Londynu. Do brata, gdzie, mówię otwarcie, miałem nadzieję zarobić dużo więcej, niż mogła w całym swoim majątku mieć moja matka. Przypuszczam, że teraz mój wyjazd stoi pod znakiem zapytania? Przynajmniej jego termin. Chyba się nie mylę?

– Niestety, nie myli się pan. Brat będzie musiał poczekać – Lolek z rezygnacją pokiwał głową. Wydawał się już bardzo zmęczony. – Zaraz pana puszcze, tylko proszę mi powiedzieć, co robił pan 15 b.m. wieczorem. Możliwie dokładnie.

– Alibi? Obawiam się, że go nie mam. Jaki to był dzień? Sobota. Nie spodziewałem się, że coś takiego będzie potrzebne. Ale ja byłem przecież w Białoboku! 90 km stąd.

– To także trzeba udowodnić.

– Niestety, moje słowa może tylko potwierdzić koleżanka, której nie chciałbym mieszać do sprawy... No tak, rozumiem, że to będzie niemożliwe. Zresztą ona, podobnie jak ja, nie ma drobnomieszczańskich przesądów. No więc, krótko mówiąc, byliśmy razem cały czas, od godziny 18 aż do rana. Wystarczy?

– Przydałoby się coś jeszcze. Świadek kobiety, z którą się spędza noc, to jak świadek żony czy matki. Zawsze może

wchodzić w grę element uczuciowy.

– Niestety, obawiam się, że nawet gospodyni nas nie widziała, bo staraliśmy się o to bardzo. Ona jest zwariowana na punkcie tzw. moralności, poglądy ma przedpotopowe, więc staramy się z nią nie spotykać. Tym razem było tak samo. Nie mogliśmy przypuścić, że lepiej byłoby, żeby nas widziała. Więc kiedy o ósmej wracaliśmy z kina, już z tym zamiarem, że Mariola zostanie u mnie na noc, to najpierw ja wszedłem na podwórze i zobaczyłem, co robi gospodyni. Była w piwnicy. Wtedy z ganku kiwnąłem na Mariolę, przebiegliśmy szybko podwórze, wbiegliśmy na schody i do mojego pokoju. Tam już jestem u siebie. Zamknąłem drzwi na klucz i zawiesiłem szmatą, żeby przypadkiem oka do dziurki od klucza nie próbowała przykładać, bo ona i to potrafi... No więc byliśmy razem do rana, a rano, kiedy gospodyni poszła na siódmą do kościoła, wypuściłem Mariolę, jak zawsze. I to by było wszystko, panie poruczniku. Nie sądzę, żeby mogła nas widzieć. Chyba że wtedy, jak schodziłem po ciepłą wodę. Ale to było już chyba koło dziesiątej. Zszedłem po wodę do kuchni, a cała rodzina gospodyni w salonie oglądała telewizję. Jakiś mecz. Drzwi do kuchni i do tego salonu są naprzeciw siebie, przez korytarz i były otwarte, ale ja się do nikogo nie odzywałem, przeszedłem szybko, wziąłem wodę i wróciłem na górę.

„Przesłuchać gospodynię” – zapisał na kartce Karbolek i zadał ostatnie pytanie.

– Czy pan się nie orientuje, gdzie przebywa pańska siostra?

– Nie mam pojęcia, ale mogę przepytać wśród jej koleżanek. Może się czegoś dowiem. A w ogóle to... nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie wypadło głupio, ale jeśli bym mógł panu w czymś pomóc... Nie chodzi mi o żadną zemstę na mordercy, bo to średniowiecze, choć na pewno z przyjemnością obejrzę go sobie na ławie oskarżonych, ale po prostu chciałbym, żeby się to wszystko jak najszybciej skończyło. Krótko mówiąc, niech pan mną dysponuje...

* * *

Krystyna nie zjawiła się tego dnia ani rano następnego. Około południa zakład medycyny zezwolił na wydanie ciała i podporucznik Karbolek osobiście poszedł oznajmić o tym rodzinie. Mieszkanie było zabezpieczone, synowie i mąż denatki koczowali u sąsiadki Solnickiej. Podporucznik zastał ich przy drugim śniadaniu. Atmosfera była dostojna, żałobna, ale umiarkowana. Na stole stało wino domowej roboty, w koszyku świeże pieczywo, na półmisku pasztet, serek, kielbasa, w salaterce korniszonki.

– Proszę sobie nie przeszkadzać. Chciałem tylko państwa zawiadomić, że dziś jeszcze można będzie dopełnić formalności dotyczących pogrzebu, a jutro otrzymają państwo prawdopodobnie klucze do mieszkania. Na razie chciałbym państwa prosić o przejście do mieszkania denatki, gdzie spróbujemy wspólnie wyjaśnić pewne wątpliwości.

– My teraz jemy śniadanie! – oznajmiła ze zgorzaniem pani Solnicka. – Ja nie mogę przerywać posiłków.

– Ależ ja nie miałem zamiaru!... Państwo przyjdą powiedzmy za 15 minut – Karbolek był wściekły na siebie za ten ugrzeczniony ton, ale mama uczyła go przez tyle lat, że ma być wobec starszych uprzejmy bez względu na okoliczności. Teraz, podczas prowadzenia tej pierwszej samodzielnej sprawy, nie tyle brak doświadczenia, ile mamine nauki sprawiały, że tak łatwo dawał się różnym piekielnym staruszkom zbijać z pantofelku. Wycofał się spieszenie, zbiegł po schodach i zobaczył znajomą postać sierżanta, którego, mógłby przysiąc, zostawił w komendzie zajętego pilną robotą. Sierżant stał odwrócony tyłem i oglądał zamek przy furtce. Porucznik, po porażce w starciu z obywatelką Solnicką, nie miał ochoty na następne porażki i objawy lekceważenia, jakich mógł się ze strony tego kłopotliwego podwładnego spodziewać. Zatrzymał się na schodkach, po czym zawrócił, by wyjść do ogrodu „kuchennym wyjściem”. Otworzył drzwi i już miał przekroczyć wysoki próg, kiedy coś zadźwięczało mu pod nogami. Schylił się. W szparze między szerokimi deskami podłogi tkwiły klucze. Podniósł je delikatnie przez chusteczkę. Wydawały się takie same jak para tych, które miał w kieszeni i za kilka minut zamierzał nimi

otworzyć mieszkanie Sarnawieckiej. Wyjął tamte i porównał. Były takie same... Karbolek zawrócił na pięcie i wyszedł frontowymi drzwiami do ogrodu. Nie bał się już żadnych spotkań.

– Co tam za odkrycie robicie, sierżancie? – zagadnął niefrasobliwie. – Chodźcie lepiej ze mną, skoro już tu jesteście. Porozmawiamy sobie z tą miłą rodzinką. Mam dla nich trzy pytania! A jedno lepsze od drugiego.

Sierżant Fidybus popatrzył nieufnie na figlarnie uśmiechniętego zwierzchnika, pomacał się po kieszeniach i znalazłszy tam widać wszystko, co mogło mu być do owej rozmowy potrzebne, ruszył za Karbolkiem.

– Zgromadziłem tu państwa – zaczął swoje przemówienie podporucznik – bo sądzę, że razem, pomagając sobie wzajemnie, łatwiej zdołacie przypomnieć pewne sprawy dotyczące zmarłej. Po pierwsze chciałbym ustalić, na ile, plus minus, można by szacować jej majątek?

Odpowiedzi padły zaskakująco różnorodne.

– Miała tam trochę na czarną godzinę – powiedziała Solnicka. – Może z 50 tysięcy, może coś około tego?

– Jasia, co ty! – żywo zareagował Solnicki. – Przecież mówiła niedawno, że mogłaby kupić Markowi samochód, ale jak tak, to niech sam sobie kupuje. Już jak ona mówiła o samochodzie, to na pewno miała ze dwieście, trzysta tysięcy.

– Jeśli by liczyć – dumał Sarnawiecki – meble, dom, złoto...

– Dom? – podskoczyła Solnicka, jakby ją ubodło do żywego, że czegoś o sąsiadce nie wie.

– No przecież! Sam kupowałem, jak mówili, że pieniądze będą zmieniać. Na Rzecznej ulicy. Pod czternastym. No więc gdyby tak wszystko podliczyć, to te pół miliona wyjdzie.

– Czyście powariowali? – Lolek patrzył na ojca i Solnickich z politowaniem. – Dom! Jak ojciec go kupował, to może to był i dom, ale teraz to jest już waląca się rudera, gdzie chyba nawet nikt nie mieszka. Gdyby to był dom, to mama sama by w nim mieszkała, a nie tutaj. Co ona mogła mieć? Te parę złotych za paczkę raz na rok, te parę groszy, co jej ojciec z Markiem przysyłali, jak im z nosa spadło?

– Jeśli dla ciebie tysiąc złotych miesięcznie to jest parę groszy – zareplikował Marek – znaczy, że jesteś bardzo bogatym człowiekiem. Ja nie jestem.

– Co miesiąc? Wysyłałeś jej co miesiąc? Nawet jak żeście się pokłócili?

– Nie przestała być moją matką.

– No to pokaż mi choć jeden kwitek na tę forszę! Niech zobaczą. Z czystej ciekawości, bo w końcu co mnie to obchodzi.

– Jak będziesz u nas, to możesz sobie poszukać. Przecież ich ze sobą nie wożę.

– A może tu znajdziemy? – Lolek uśmiechał się ironicznie. – Przecież odbiorca też dostaje odcinek. No co? Poszukamy?

Marek Rosiak odwrócił się do brata plecami nie kryjąc swego rozdrażnienia. Wyglądało, że rozmowa zostanie przerwana w najciekawszym miejscu. Na to Karbolek nie mógł pozwolić.

– Nie znaleźliśmy tu żadnego pokwitowania, panie Rosiak – włączył się. – Ani z nazwiskiem pana, ani pana Sarnawieckiego, który co prawda już nam ten fakt wytłumaczył. A jak pan może wyjaśnić...

– Nie zamierzam niczego wyjaśniać – przerwał niegrzecznie Rosiak. – Moja pomoc dla matki to moja prywatna sprawa.

– Przestała być prywatna, kiedy popełniono morderstwo. Przypominam panu o tym.

– Nie zapomniałem. Ale dlaczego nie ma kwitków, to nie mój interes, tylko pana. Mnie nie zależy, czy ktoś wierzy w moją pomoc, czy nie. Na pokaz tego nie robiłem.

Podporucznik Karbolek nie mógł nie przyznać Rosiakowi racji. „Sprawdzić pokwitowania dla Z. Sarnawieckiej” – zanotował w kalendarzyku. Sprawa wydawała się ważna. Lolek wiedział coś na ten temat, ale jeszcze nie wiadomo co.

Sierżant Fidybus wiedział co, ale nie wiedział skąd. Jedno wytłumaczenie wydawało się proste i logiczne, ale sierżant nie miał zaufania do rzeczy zbyt prostych.

– Pytanie drugie: kto z państwa wie coś o skrytkach w tym domu i czy może nam je wskazać.

Poprzedniego dnia ekipa przejrzała dokładnie całe mieszkanie. Okazało się nader obficie zaopatrzone. Majątek tu

zgromadzony można było szacować naprawdę dość wysoko. Jak na samotną starszą panią obywatelka Sarnawiecka okazywała godną podziwu przemyślność i energię w gromadzeniu dóbr ziemskich. Ekipa zostawiła wszystko na swoim miejscu. Podporucznik Karbolek uważał to za ważny moment psychologiczny.

Przez chwilę panowało milczenie. W końcu, ociągając się, wstał Filip Sarnawiecki.

– Co pamiętam, to pokażę...

Karbolek po raz drugi, z zainteresowaniem przyglądał się demonstracji dzieł starych mistrzów stolarskiego kunsztu. Za pociśnięciem jednego z dwunastu listków na boku mahoniowego biureczka odsłaniało się podwójne dno w szufladzie, przy zręcznej manipulacji poręczami starego fotela otworzyła się dziura, w której można było ukryć niechlą sztabę złota. Dziwnym trafem wszystkie pokazane przez Sarnawieckiego skrytki okazały się puste.

– Zdaje się, że panowie podążają fałszywym tropem – odezwał się złośliwie Rosiak. – Ja wam zaraz coś pokażę – podszedł do okna, wyciągnął z doniczki podeschnięty asparagus i wyjął spod niego zawiniątko w plastikowej torebce. Podporucznik Karbolek wiedział, że leży tam złoty radziecki pierścionek ze szmaragdem i bransoletka. – Moja mama miała bujną wyobraźnię. Nie sądzę, żeby poprzestała na wydrążonych nogach od stołu i podwójnych dnach – Marek rozejrzał się po pokoju. Przez chwilę zatrzymał wzrok na twarzy młodszego brata. Wyjął szczyryk i delikatnie naciął papier zalepiający, mimo upału, szpary w oknach. Wyciągnął brunatny, wąski papierek. Był to złożony trzykrotnie wzdłuż funtowy banknot. – No! Gdzie następny? Ciepło, ciepło, ciepło...

– Idiota! – syknął Lolek. – Kompletny idiota! Marek z nieprzeniknioną twarzą kontynuował swoje dzieło. Spod papieru oklejającego drugie okno wyciągnął jeszcze parę banknotów, z popielnika dwa pierścionki. Został jeszcze złoty zegarek w żyrandolu pod sufitem, ale o nim być może Marek nie wiedział. A może wiedzieć nie chciał?

– Dziękuję wam, obywatelu Rosiak, za obywatelską postawę.

Oczywiście znaleziony przez pana majątek zostanie zabezpieczony do czasu zakończenia śledztwa.

– Gównu mnie to obchodzi – odparł zwięźle obywatel Rosiak i znów zaczął nerwowo przecierać okulary.

– Następne pytanie – zdetonowany nieco podporucznik Karbolek machinalnie wsadził rękę do kieszeni i namacał tam starannie owinięty przedmiot, który mu wrócił wiarę w siebie.

– Kto ma drugie klucze od mieszkania denatki?

– Nie wiem – Rosiak odwrócił się do okna demonstrując całkowity brak zainteresowania. – Ja na pewno nie mam i nie miałem.

– Ja też – dodał Lolek. – Chyba to ojciec wyjechał z kluczami. Wtedy, jak się pokłóciłeś z mamą i...

– Kiedy to było! – oburzył się Sarnawiecki. – Potem sam do mnie przyjechałeś na wakacje i zabrałeś.

– Słusznie! Co ja z nimi zrobiłem?... Chyba używałem. Do spółki z Krystyną. A potem wyjeżdżałem na studia i zostawiłem jej, czyli klucze musi mieć Kryśka.

Nikt się nie przyznaje – pomyślał podporucznik. – Tego się spodziewałem! – i spojrzął na dobrane grono z prawdziwą odrazą. – Oni wszyscy są mniej czy bardziej winni... – a głośno powiedział z uprzejmym uśmiechem: – To byłoby wszystko. Dziękuję państwu za pomoc. Aha!... Czy nikomu ostatnio nic nie zginęło?

Nie otrzymał jednak na to pytanie żadnej odpowiedzi.

– No i co, sierżancie – zagaił przyjaźnie po wyjściu podejrzanych. – Sporo nam to spotkanie dało, nie uważacie?

– Uważam, obywatelu podporuczniku – odparł z głębokim przekonaniem sierżant i zaczął oglądać po raz nie wiadomo który komplet kluczy znaleziony w dniu zabójstwa przy Sarnawieckiej. Podporucznik z triumfującą miną rozwinął i położył obok komplet znaleziony przed chwilą: dokładnie taki sam długi klucz płaski, mały od yale i jeszcze mniejszy od kłódki. Sierżanta powinno zamurować, zdruzgotać, zatkać, ale nie zatkało.

– Znaczy porucznik jest chytra sztuka! Porucznik podpuszcza! Ciekawe, gdzie porucznik to znalazł? A może

morderca sam przyniósł?

– Znalazłem w sionce pod progiem. W szparze podłogi – odparł Karbolek ignorując niewczesne żarty podwładnego. – Morderca musiał uciekać w popłochu i to właśnie kuchennym wyjściem! Mamy za jednym zamachem dwie przesłanki. Weźcie to, sierżancie, pod uwagę. Szczególnie że drzwi sionki zamykają się tylko od wewnątrz. Na zasuwę.

– Już biorę – zapewnił solennie Fidybus.

Nie chciał psuć chłopakowi tej chwili triumfu, więc na razie nie powiedział nic. Ani tego, że jest stu-, a nawet dwustuprocentowo pewien, że w dniu morderstwa tych kluczy w sionce nie było, ani tego, że kiedy weszła ekipa, sień była zamknięta. Na ową zasuwę od wewnątrz. A więc morderca tędy nie uciekał. Pomyślał, że ma jeszcze czas i powie to wszystko w stosowniejszej chwili. Można wątpić, czy postąpił rozsądnie, ale rozsądek nigdy nie był jego mocną stroną, o czym za chwilę będzie się można przekonać.

* * *

Był późny wieczór. Sierżant Fidybus ułożył się wygodnie na kanapie nieboszczki i zapadł w lekką drzemkę. Gdyby go ktoś spytał, dlaczego śpi tu, a nie we własnym łóżku, zapewne nie potrafiłby odpowiedzieć. To, że kanapa była wygodniejsza, nie stanowiło chyba dostatecznego argumentu. Po prostu miał zwyczaj ulegać swoim słabościom, zachciankom i na ogół dobrze na tym wychodził. Tak więc dziś po kąpieli, po kolacji, po papierosie wypalonym w pozycji horyzontalnej, dobrym, pachnącym papierosie, przyszło mu na myśl, że prowadzi życie gnuśne, nieciekawe i bezmyślne. Wiedział już, co to znaczy. Za chwilę fotel okaże się niewygodny, sąsiedzi hałaśliwi, mieszkanie ciasne, telewizja głupia, a śledztwo w sprawie obywatelki Sarnawieckiej prowadzone nieudolnie i opieszale. Wstał więc nie czekając, aż go te myśli osaczą, wsunął do kieszeni parę narzędzi podstawowych, które mogły służyć do podważania okien lub odsuwania zasuwek znajdujących się po drugiej stronie drzwi. Obciążywszy równomiernie kieszenie

powędrował na spacer. Szedł niby bez celu, wolno, aż trafił pod dom nieboszczki Sarnawieckiej. Udał sam przed sobą lekkie zdziwienie, że się tu znalazł, ale skoro się już znalazł, to postanowił wejść, choć nikt go nie zapraszał. Furtka była otwarta i lekko poskrzypywała na wietrze. Z okna na pięterku sączyła się niebieskawa poświata. Dochodziły smętne śpiewy świadczące, że nadawano program rozrywkowy.

Sierżant Fidybus miał pewne wątpliwości, czy przy telewizorze państwa Solnickich może siedzieć komplet widzów złąknionych dowcipów konferansjera Przybylskiego i śpiewu różnych pańienek, które nazywają się rozmaicie i śpiewają zupełnie tak samo, ale po namyśle uznał, że trudno od ludzi wymagać, żeby tuż po morderstwie, a przed pogrzebem wyszukiwali sobie wartościowe intelektualnie rozrywki. Na wszelki wypadek sierżant hycnął pod krzak jaśminu rosnący przy bramce i rozejrzał się po okolicy. Z telewizora dochodził rubaszny, zachęcający śmiech solisty. Znaczy konferansjer obśmiewał swój kolejny dowcip. Poza tym żadnego głosu, żadnego ruchu. Uspokojony przeskoczył Fidybus paroma susami przestrzeń dzielącą krzak jaśminu od niemniej rozłożystego krzaka bzu rosnącego pod najbliższym oknem. Otwarcie go nie przedstawiało dla człowieka wprawnego żadnych trudności. Przyrząd okazał się niepotrzebny. Okno, a właściwie jego dolna część z lewej strony „zamknięta” była na dwa luźno obracające się gwoździe. Kłopoty zaczęły się dopiero wewnątrz. Sierżant wiedział, gdzie wchodzi, ale nie wiedział, że będzie to pomieszczenie zamknięte. Licho wie dlaczego!

Była to malutka spiżarka przy kuchni, pełna półek i półeczek, o powierzchni nie przekraczającej trzech metrów kwadratowych, opatrzona oknem na całą ścianę, zacięzionym przez ten krzak, niemniej w tym pomieszczeniu całkowicie bezsensownym. Do tego zamknięta na klucz, prawdopodobnie od przeciwnej strony. Kompletu wytrychów nie wziął, o co miał teraz do siebie głęboki żal. Siedział na parapecie pogryzając suchą kielbasę, wziętą machinalnie z półki. Siedział i dumiał. Drzwi były dębowe, solidne. Można spróbować je podważyć, ale do tego trzeba by mieć siekiere, tasak ostatecznie. Wsunąć

to w szparę u dołu, po czym wziąć się do delikatnej roboty wyjmowania drzwi z zawiasów.

Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś pożytecznego narzędzia i skupił się, swoim zwyczajem, na zupełnie innej sprawie. Spizarnia była zaopatrzona ponad zdrowy rozsądek.

Na pewno nie było to epokowe odkrycie. Przetrząsnęto ją od razu na początku śledztwa i nikogo nie zdziwił fakt, że w pomieszczeniu do tego przeznaczonym znajduje się jedzenie. Teraz jednak Fidybus miał dość czasu, żeby się zastanowić nad każdą butelką koniaku, nad rzędem nalewek, nad pętami suchej kiełbasy, puszkami konserwowej szynki, stosami wedlowskich czekolad, nad wieńcami suszonych i słoikami marynowanych grzybków. Księżyc świecił prosto w okno przez liście dębu i w tym mętym świetle monstrualne zapasy zaczęły nabierać osobliwego wyrazu. Fidybus znał typ gospodyń, które nie spoczną, zanim nie nasuszą i nie namarynują na zimę tyle produktów, że wiosną muszą je wynosić chyłkiem na śmietnik, ale nie wydawało mu się, żeby nieboszczka Sarnawiecka do nich należała. Owszem, były tu grzybki w occie, korniszonki, weki z pomidorami, ale było tego niewiele. Ilość i charakter zapasów świadczył raczej nie o zamięłowaniu gospodyni do przetwórstwa, ile o tym, że spodziewała się jakiegoś kataklizmu. Najazdu Tatarów, wojny światowej?... – zastanowił się sierżant. – Nie, chyba nie. Za mało tu było rzeczy konkretnych. Na wojnę ludzie gromadzą suchary, mydło, sól, spirytus, a nie koreczki anchois i miód kasztelański.

Pogrążony w medytacjach nawet nie zauważył, kiedy sięgnął po drugą kiełbasę, potem ruszył na pół po omacku między jadło i napitki w głąb półek. Trafił, wiedziony instynktem, na omszałą butelczynę, ukrytą za słoikami, i stracił na podłogę coś metalowego. Był to klucz. Spory klucz, który, jak się za chwilę miało okazać, pasował do drzwi spizarki. Zamek był naoliwiony. Nie zgrzytał. Sierżant Fidybus trafił więc na coś istotnego. Pamiętał, że otwierali spizarnię wytrychem z milicyjnego zapasu i że Karbolek włożył go z powrotem do przegródki z właściwym numerem. Tego zaś klucza na pewno tu wówczas nie było.

Stał, ważył go na dłoni i zastanawiał się, czy zasłonić czymś okno, zapalić światło i cał po calu przejrzeć pomieszczenie, które może ukrywać następne niespodzianki, czy też pójść na pokoje pomedytować. Stał niezdecydowany, kiedy usłyszał skrzywienie furtki i zobaczył dwie postacie zmierzające wolnym krokiem ku domowi.

– ...wszystko, żeby się tylko zgrywać! – doszedł sierżanta gniewny głos Marka Rosiaka. – Czy ty nigdy nie zamierzasz być dorosły?

– To ty się zgrywasz! Ty świętoszku! – zapiał falsetem Lolek.
– Po co było to przedstawienie z wyciąganiem z okna i z tej doniczki i w ogóle! Po co? Musisz się wykazać? Przed kim? Przed gliniarzami? Bo masz nieczyste sumienie? Ty czy twoja lalunia?! A może tej starej kłepie Solnickiej chcesz pokazać, że...

– Przestań, bo usłyszysz – burknął Marek.

– Niech słyszy! Co nam może zrobić? Niech udowodni swoje prawa!

Prawa? Sierżant Fidybus miał nadzieję, że Rosiak zapyta, o jakie prawa chodzi, ale niestety Rosiak wiedział. Albo nie był ciekawy.

– Skończ już te lamentsy – mruknął lekceważąco. – Wolę, żeby to było w milicyjnym depozycie niż...

– Nieprawda! – bracia najwyraźniej postanowili ciekawość sierżanta wystawić na próbę najwyższej miary. – Ty myślisz, że ja jestem głupi? Że ja jestem taka śliwka w kompocie, którą ty będziesz obracał, jak zechcesz? Nie, mój drogi! Ja doskonale wiem, że pokazałeś im tylko to, co chciałeś. Tylko! A to, co naprawdę ma wartość, to zachowałeś dla siebie!

– Daj mi spokój! Nie byłem w domu tyle czasu i nie wiem, gdzie co leżało. Strzelałem na ślepo i trafiłem, bo znam... znałem jej obyczaje. I daj mi święty spokój, bo cię zmasakruję!

Zabrzmiało to przekonywająco. Lolek zniżył głos i powiedział niemal spokojnie.

– Dobra, dobra! Pamiętaj, żebyś tego nie ruszał bez nas, jeśli oni nie znaleźli. On się należy Krystynie. Tomek niech się wypcha. Jest bogaty. A Kryśka musi mieć zabezpieczenie.

Możesz się ze śmiać, ale to będzie jej posag. Rozumiesz?

Rosiak się nie śmiał. I nie odpowiedział. Skrzypnęły drzwi wejściowe. Sierżant nie usłyszał dalszego ciągu, nie dowiedział się, jaki „on” ma stanowić posag Krystyny, więc, wściekły, wsadził pod pachę omszałą butelczynę, ukrajał kawałek bekonu, bo głód już fatalnie dał mu się we znaki, znalazł paczkę macy i tak zaopatrzoney powędrował po omacku w głąb mieszkania.

W pokoju było ciemno. Fidybus objijając kolana dotarł do tapczanu, leży wygodnie na boku, postawił obok butelkę, jedzenie i postanowił sobie na początek wszystko usystematyzować. Bekonik miał już lekki meszek i swoisty zapaszek, więc jako zakąska pozostała mu maca. Pociągnął z butelczyny raz i drugi, zakąsił chudo, znów pociągnął i poczuł, jak mu się wszystko w głowie rozjaśnia. Niestety, wraz z rozjaśnianiem umysłu przysła senność. Głowę miał lekką, a ręce i nogi ciężkie jak z żelaza. Zrozumiał, dlaczego Rosiak wołał widzieć te rzeczy w milicyjnym depozycie i gdzie należy szukać tego, czego szukał złodziej. Postanowił to sprawdzić. Chciał wstać, ale podłoga odsuwała się co raz bardziej w dół, a on męczył się nie mogąc jej dosięgnąć.

Zbudził się nagle ze świadomością, że w pokoju ktoś jest. Wstrzymał oddech i trwał bez ruchu. Coś poruszyło się na tle okna. Ciche kroki zbliżały się w stronę tapczanu.

* * *

Major Kajtys przeczytał z uwagą raport podporucznika Karbolka i dowiedział się z niego, że sierżant Fidybus wziął śledztwo w swoje łapy. Oczywiście nie było na ten temat ani słowa w raporcie i młody podporucznik byłby zdziwiony, gdyby się dowiedział, że z jego szczegółowego, nieco namaszczonego elaboratu można było wysnuć taki wniosek, ale major zbyt długo znał Fidybusa, żeby nie znaleźć w raporcie jego spostrzeżeń, dyskretnie podsuwanych młodemu koledze, jego myśli wyrażonych innymi, cudzymi słowami, ale tak charakterystycznych. Fakty były już usystematyzowane

przejrzyście, w sposób, jaki nie mógł przyjść do głowy debiutantowi. Wyselekcjonowane starannie, według wyraźnego klucza zdawały się być gotowym schematem czyjegoś działania. Tylko podstawić osobę... Ale major wiedział, że jest to tylko wskazanie punktu wyjścia i kierunku postępowania. Nic więcej. Major rozumiał, że Mikołaj sporo wie, ale nie ma na razie żadnych dowodów. Był z tego powodu równie zadowolony, co i niespokojny. Współpraca z Fidybusem obfitowała zawsze w niespodzianki i była dla każdego oficera szansą na olśniewający sukces, jak i na kompletne ośmieszenie. Najniebezpieczniejsze były dwa momenty. Pierwszy, kiedy sierżant szukał na ślepo, macał gorączkowo w różnych kierunkach, i szukanie się przeciągało. Wtedy popełniał rozmaite głupstwa, ale o wiele groźniejszy był moment, kiedy Mikołaj złapał już wiatr. Kiedy rzucał się na łeb, na szyję, bez opamiętania naprzód i był zdolny popełnić każde szaleństwo, byle szybciej dotrzeć do celu. Nawet ludzie o wiele bardziej doświadczeni od Karbolka, opanowani, rozsądni, cieszący się wielkim autorytetem nie zawsze potrafili go okiełznać.

Ten moment chyba jeszcze nie nadszedł. I major chciał uchronić młodego podporucznika przed poczuciem bezradności, jakie musi przyjść, jeśli Mikołaj weźmie się do rzeczy po swojemu. Nie robił tego z litości ani z sympatii, ale dla siebie samego. Chciał mieć z tego nowego pociechę. Był zdania, że młodych pracowników nie należy zbijać z pantałyku, bo potrzeba im potem nieproporcjonalnie dużo czasu, żeby znów osiągnęli swój pantałyk. Mikołaj był jedyny do tego, żeby młodzika zbić bezpowrotnie. Dlatego major Kajtys postanowił odbyć z Fidybusem prawdziwie męską, twardą rozmowę. Jak ze starym kumplem, ale również jak z młodszym stopniem funkcjonariuszem. Wiedział, że rozmowa będzie trudna, ale bez wahania nakręcił numer telefonu Mikołaja i długo czekał ze słuchawką w ręku. Niestety, nie było nikogo. Ani teraz, ani po kolacji, ani o godzinie 23:45, kiedy major zadzwonił po raz ostatni. Potem już nie telefonował. Zły zgasił światło, ale nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok. Nie było w tym nic dziwnego, że dorosły człowiek, do tego samotny mężczyzna, w

sile wieku jeszcze, zabalaganiał i około dwunastej nie wrócił do domu. Tylko że major miał ciągle w pamięci Fidybusa jako zasmarkanego szczeniaka z karabinem większym od niego samego, szczeniaka sprawiającego swemu, o kilka lat starszemu zaledwie, dowódcy milion kłopotów. Minęło od tego czasu ponad trzydzieści lat, a major Kajtys, kiedy nie wiedział, co się z Mikołajem dzieje, nie mógł się oprzeć irytującemu uczuciu niepokoju. Gdzie on wlaź, co wyrabia i jakie nowe nieszczęścia sprowadzi? Jakie diabelstwo wymyśli?...

Zasnął koło drugiej. Nie był to sen spokojny.

* * *

Zakotłowało się nagle, czyjaś dłoń dotknęła jego twarzy i przeraźliwy wrzask rozdarł nocną ciszę. Fidybus skoczył tam, gdzie powinien być ten, kto wrzeszczał, runął na niego całym ciałem i przygotowany na większy opór, przeleciał własnym rozpędem aż pod przeciwległą ścianę. Odbił się jak piłka, podciął tamtemu nogi. Kotłowali się krótką chwilę po podłodze i wreszcie miał go już pod sobą rozłożonego na przepisowe obie łopatki.

Wtedy stało się coś nad wyraz niepokojącego – włamywacz przestał się bronić. Znieruchomiał. Sierżant też. Zwolnił nieco uścisk, zaniepokojony, czy go przypadkiem nie uszkodził, ale włamywacz nadal się nie ruszał. Nie jęczał, oddech miał nieco przyspieszony. Nic więcej. Sierżant zastygł w czujnym oczekiwaniu na podstęp. Na niespodziewany cios, który miał paść nie wiadomo skąd. Z ciemności. Dlatego może nie od razu dotarło do niego, że leży oparty o dwie gorące, twarde okrągłości, które ponad wszelką wątpliwość zdradzają nie tyle zamiary, ile pleć przeciwnika. I że ta pleć jest zupełnie inna niż jego własna...

Zaklął, skoczył na równe nogi, ale osoba tej całkiem odmiennej płci wykorzystała okazję. Zerwała się z podłogi równie szybko jak on. Sierżant zdążył ją jeszcze chwycić za włosy, ale szarpnęła się z cichym okrzykiem bólu i zostawiła mu w garści pamiątkowy pukiel. Skoczył za nią, nadział się

brzuchem na róg stołu, zamroczyło go, a ona tymczasem dopadła kuchni.

Znała lepiej rozkład mieszkania niż on. Biegł za nią, a właściwie miotał się wśród zagradzających mu drogę sprzętów, aż usłyszał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i grzmotnął na zakończenie głową o wiszącą przy drzwiach półeczkę z paprotką. Gdzieś w ciemności zadzwoniło trzaśnięte w pośpiechu okno. Zrozumiał, że nocna zjawia opuszcza mieszkanie znaną mu drogą. Przez spiżarnię! I że posłużyła się kluczem, który prawdopodobnie sama kiedyś w wiadomym miejscu ukryła, a on zostawił, jak głupi, w drzwiach.

Szarpnął najbliższe okno! Następne! Nic z tego! Stara Sarnawiecka ukrywała przecież w futrynach pieniądze i zadbała, żeby nikt nie mógł tych okien otworzyć. Pozostał oberluft. A włamywaczka coraz bardziej zyskiwała na czasie!

Nogi przeszły, siedzenie też. Z klatką piersiową i ramionami było trudniej. Jedyna szansa to zdać się na los, wyciągnąć ręce nad głowę, odbić się od framugi i mieć nadzieję, że głowa też przejdzie. Jeśli nie, to tortura, którą sobie sam zgotuje, będzie należała do najbardziej wyrafinowanych.

Mimo wszystko wyciągnął ręce i skoczył. Szczęśliwie wylądował na trawniku, ale o gonieniu zjawy nie mógł nawet marzyć. Dawno zdążyła ukryć się tam, gdzie zamierzała. Miał już dać spokój nieudanym polowaniom, ale zainteresowała go pewna okoliczność – mimo hałasów u Solnickich nadal było ciemno, Spało tam dziś pięć osób. Wszyscy mieli tak spokojny, niczym nie zmącony, mocny sen?

Wbiegł na górę, oparł się ramieniem o dzwonek i przy świetle mdłej, korytarzowej lampki przyjrzał się trzymanej w palcach kępcze włosów. Były jasne, niezbyt długie, o złotawym połysku. Na przykład Solnicka też robiła się na złotą blondynkę, ale sierżant miał w swoim życiu nieco męskich doświadczeń, które teraz pozwoliły mu żywić mocne, wewnętrzne przekonanie, że to na pewno nie była Solnicka. Zwinął włosy i schował je do pudełka z zapalnikami.

Wreszcie zazgrzytały wrzeciędzie, otworzyła się maleńka szparka w drzwiach, a w tej szparce ukazała się rozzłoszczona

buzia sąsiadki Solnickiej. Sierżant wsadził but w szparę.

– Czego pan dzwoni jak na pożar?! Stało się co?

– Naturalnie! Pani życie jest w niebezpieczeństwie! – wydekłamał z przejęciem sierżant banalny tekst spodziewając się jednak znaleźć tu dla niego trochę zrozumienia. Istotnie, drzwi uchyliły się szerzej, ale nie tak szeroko, żeby mógł przez nie wejść. Mógł natomiast popatrzeć. Za żoną stał Solnicki, a za nim jakaś masywna postać, niezbyt widoczna w ciemnym korytarzyku. Chyba Sarnawiecki.

Od skoku sierżanta na trawnik minęło parę minut. Przez ten czas można się ubrać, rozebrać albo zakręcić sobie nad czołem takie dwa papiloty, które mają świadczyć prawdopodobnie, że obywatelka Solnicka została wyrwana właśnie z głębokiego snu. Ale rzeczona obywatelka ma oczka bystre, wcale nie zaspane, znany, brudny szlafrok okrywa jej kręłą postać bardzo szczelnie od góry do dołu tak, że widać tylko stopy. A te wydają się zastanawiające. Solnicka ma na nogach cienkie, gimnastyczne pantofle na elastycznej podeszwie, w których chodzi się bardzo cicho. Natomiast różowe kaptcie z pomponikami i podwyższoną piętą, nie nadające się z całą pewnością do nocnych eskapad, stoją spokojnie pod łóżkiem.

– Jezus Maria! – powiedziała Solnicka przejrzawszy się sierżantowi i uznała widać, że największe niebezpieczeństwo może jej grozić z jego strony. Usiłowała tedy drzwi z powrotem zamknąć. Ale sierżant wsadził już w szparę nie tylko but, lecz również kolano i ramię.

– Przepraszam, muszę natychmiast sprawdzić, kto tu do państwa wbiegł na górę! – udało mu się otworzyć drzwi, ale nie mógł przecież odepchnąć damy blokującej je niczym Rejtan.

– Pan chce rewidować moje mieszkanie o północy! – zawołała Solnicka. – Pan sobie pozwala! A ty co? – zwróciła się z impetem do męża. – Żonę twoją znieważają, dom bezczeszczą! Jaki ty jesteś mężczyzna? Jak tobie nie wstyd? Ja zaraz zadzwonię do porucznika!

Cholera wie – pomyślał sierżant. – Ona może to zrobić. A porucznikowi, wyrwanemu ze snu, może nie starczyć refleksu, żeby powiedzieć, iż sierżant działa na rozkaz najwyższych

władz.

– Pozwolę sobie zapodać – zaczął sierżant, licząc, że pseudourzędowy styl powinien wpłynąć uspokajająco na zdenerwowaną damę – że to właśnie obywatel porucznik zlecił mi roztoczyć specjalną opiekę nad obywatelką i obywatelami ze szczególnym uwzględnieniem osoby obywatelki jako osoby, która aktywnie przyczyniła się do posunięcia śledztwa, co może być negatywne dla osoby mordercy i w związku z tym naraża się obywatelka na niebezpieczeństwo – gadał, co mu ślina niosła, bez sensu i logiki, ale gadał, ponieważ zdawał sobie sprawę, że dopóki gada, dopóty nikt mu przed nosem drzwi nie zamknie. – W związku ze szczególną ostrożnością mam obowiązek służbowy obejrzeć wszystkie okna, przez które mógł się przedostać rzeczony bandyta. Obywatelka mnie poprowadzi i wskaże – zastosował frontalny atak. – Czy drzewa rosnące na podwórzu nie sięgają do okien?

– Tylko w stołowym – ustąpiła wreszcie Solnicka. Sierżant z pośpiechem wpadł do mieszkania. – Pan myśli, że tu naprawdę ktoś chodził? Mąż też tak mówił, ale ja nie dowierzałam. Wie pan, jak mnie ktoś ze snu wyrwie, to ja w nic nie wierzę. Nikomu! Ach, już teraz oka nie zmrużę! – westchnęła boleśnie. – Wie pan, jak ja się wybiję ze snu, to... O, proszę, tu lipa pod oknem rośnie. Ja tak lubię ten zapach...

– Ściąć! – przerwał sierżant. – Natychmiast ściąć tę gałąź! A teraz do innych pokoi! – wykorzystał moment zaskoczenia, wyminął Solnicka, zrobił slalom między jej małżonkiem, Sarnawieckim i kredensem, dopadł kuchni, otworzył drzwi na oścież.

– Nigdzie więcej nie ma drzew przy oknach! – wołała za nim Solnicka. – Jak ja panu mówię, to tak jest!

W kuchni na ogromnym materacu rozłożonym na podłodze leżeli obaj bracia – Lolek i Marek. Rosiak niezręcznymi ruchami zaspanego człowieka przecierał okulary. Lolek siedział obok i ziewał niemilosiernie. Zbyt ostentacyjnie, jak na gust sierżanta. Ale jego pleć nie wydawała się sprawą dyskusyjną. Marek również nie był blondynką o bujnych kształtach, tylko że... Cały dom na nogach, a dwa młode byki w łóżku. Zaś na

krzeselku obok łóżka niedokładnie przykryty koszulą leży klucz rozmiarami i kształtem przypominający tamten ze spiżarni. Czyżby ten sam?

W tym momencie wszedł do kuchni Solnicki i na odgłos jego kroków sierżant drgnął. Solnicki był w butach. Do .piżamy...

– Ja też, panie sierżancie, jakby słyszałem, że ktoś chodzi. Na podwórzu, koło murku.

– Schodził pan na dół?

– Miałem zejść, ale pan Lolek mnie wyręczył. Może to jego pan słyszał, jak schodził po schodach?

– Obywatel schodził na podwórze?

– Schodziłem, schodziłem! Zamknąłem furtkę na klucz i wróciłem do łóżka. Żadnych bandytów ani morderców nie spotkałem.

– Ten klucz?

– Ten.

Sierżant zastanowił się, czy zabrać klucz, czy zostawić. Dowiedzieć się, kto go jeszcze będzie używał i w jakim celu, czy kto używał go ostatnio. Wahał się tylko chwilę. Przeważyla ciekawość, kto był nocną zjawą...

* * *

Podporucznik Karbolek nie otwierając oczu przydusił budzik, ale ten dzwonił nadal. Raz ciszej, raz głośniejsze. Podporucznik rad nie rad otworzył oczy. Budzik milczał. Była godzina za piętnaście szósta. Dzwonił telefon.

– Halo! – wrzasnęła niezbyt uprzejmie Karbolek i usłyszał w słuchawce lekko ochryply, armstrongowski bas sierżanta Fidybusa.

– Porucznik? Melduję, że narozrabiałem w nocy.

– Czyście oszaleli?! Co mnie obchodzi wasze nocne życie? Nie musicie mi z niego zdawać sprawozdania! Szczególnie o tak dzikiej porze!

– Muszę – odparł niestropiony sierżant – bo porucznik ponosi za nie odpowiedzialność.

– Co to, to nie! Za to, co robicie poza godzinami pracy,

ponosicie konsekwencje sami. Wyłącznie! I nie próbujcie mnie tu wrabiać w żadną współodpowiedzialność.

– Nie współ, a wyłączną. Wyłączną odpowiedzialność obywatela podporucznika.

– Sierzancie Fidybus! Nie jestem złośliwy i nie wyciągnę konsekwencji z tego, że dzwonicie do mnie o takiej porze, do tego w stanie nietrzeźwym, i wypłacacie głupstwa, których potem będziecie się wstydzić. Idźcie natychmiast do domu, weźcie zimny prysznic i starajcie się wytrzeźwieć. Jeśli spóźnicie się do pracy choćby o pół minuty, poniesiecie za to odpowiednie konsekwencje.

– Znaczy porucznik nie będzie mnie krył?

– Nie ma mowy!

– Znaczy porucznik przyzna się do karygodnego zaniedbania?

– Jakiego zaniedbania?

– No takiego, że obywatel porucznik ograniczył się do zapieczętowania mieszkania wiedząc, że w gruncie rzeczy każdy może tam wejść przez drugie wejście i plądrować.

– Drugie wej...

– Tak. Przez spizarkę. Całkiem poręczne i niczym nie zabezpieczone.

– Przecież nie wiedziałem!

– Prowadzący śledztwo nie wiedział?...

– To nie wasz interes! – wrzasnął Karbolek ratując resztki godności. – Być może jest to celowe działanie z mojej strony.

– Aha, rozumiem... Porucznik tak zrobił, żeby mi ułatwić wykonanie zadania w sposób nieoficjalny. Doskonale! – głądził sierżant pogodnie. – Niestety, musiałem się ujawnić. I właśnie z tego wszystkiego chciałbym zdać porucznikowi sprawozdanie, zanim się spotkamy w komendzie. No to co? To ja zaraz do porucznika przyjdę? A pańska mamusia poczęstuje samotnego kawalera jakimś ciepłym śniadankiem, bo ten włamywacz to mi nawet kolacji nie dał dokończyć.

– Przyjeżdżajcie natychmiast! Skąd dzwonicie? – zelektryzowany włamywaczem Karbolek gładko przełknął bezczelność dotyczącą śniadanka.

– Z budki pod pana domem.

– Dobrze, dobrze! Przyjdźcie za dziesięć minut. Przecież muszę się ogarnąć! – i rzucił słuchawkę przerażony, że nie zdąży i że podwładny mógłby go, nie daj Boże, zastać w piżamie.

– Mamo, nie śpisz? – zawołał przez drzwi. – Zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności i za chwilę będzie u mnie kolega. Bądź tak dobra, daj drugie nakrycie do śniadania.

Poczuł lekki niepokój na myśl o tym, jak zachowa się ten dziwny sierżant i jak długo potem będzie trzeba mamie tłumaczyć, że naprawdę nie wszyscy koledzy z milicji są tacy i że zdarzają się tylko wyjątkowo wśród nich osobnicy niezbyt sympatyczni, ale za to starzy i na pewno zasłużeni dla ojczyzny na tyle, że można im wybaczyć nawet niezbyt światowe maniery.

Nadspodziewanie Fidybus zrobił na mamie doskonałe wrażenie. Wręczył jej trzy herbaciane róże, zamaszycie wycalował rączki, a taki był zażenowany swoim przybyciem o niestosownej porze, tak się kajał i przeproszał, że pani Karbolkowa gotowa była przekonywać go jak najgoręcej, że chętnie przyjmuje wizyty między szóstą a siódmą rano i że z prawdziwą przyjemnością wstaje o świcie, by oczekiwać miłych gości. Kiedy wreszcie zostali sami, podporucznik chciał zapytać, gdzie o tej porze można dostać takie piękne kwiaty. Otworzył usta i zamknął. Przypomniał mu się bowiem ogródek przed domem denatki. Przytulone do nasłonecznionej ściany, starannie podwiązane trzy krzaki róż. Dokładnie tego samego koloru. Nie mógł się mylić!

Ogarnęła go zgroza. Mama pośpiewywała w kuchni brzękając naczyniami. Sierżant Fidybus z niewinną miną popróbowował kawusi, dosłodził, dolał śmietanki. Co by zrobił, gdyby wiedział, że jest zdemaskowany? Nie, podporucznik Karbolek poznał na tyle charakter podwładnego, że wołał go nie demaskować. Z trudem odsunął od siebie wizję funkcjonariusza kradnącego kwiaty i uważnie słuchał jego barwnej opowieści. Zresztą, kto wie, może sierżant wcale tych róż nie ukradł?

– No a co z tym drugim wejściem? – spytał widząc, że

opowieść się rwie, a uwaga sierżanta skupia się coraz bardziej na kwaszonych ogóreczkach własnej roboty i pieczonej cielecinie.

– Jest – odparł uspakajającym tonem sierżant. – Niech się porucznik nie martwi. Lufcik w spiżarni zamyka się od zewnątrz na dwa gwoździe. Starczy je przekręcić łebkami do dołu i okno jest otwarte. Tak właśnie wlażała ta moja nocna. I wylazła też.

– A klucz? Pasował do furtki? Ten ze spiżarki?

– Pasował.

– Serio?! I wy mi to dopiero teraz mówicie? Przecież to znaczy... – Karbolek z pośpiechem dopijał kawę, która nagle przestała mu smakować. Meldował wczoraj majorowi, że wszystko zostało zabezpieczone, a tymczasem... Spieszył się więc, żeby coś zrobić, czemuś zapobiec, coś naprawić, ale nie bardzo wiedział co.

– To znaczy, że każdy z podejrzanych mógł o każdej porze wejść sobie do mieszkania – dokończył pogodnym tonem sierżant Fidybus i sięgnął po następną bułeczkę. – Oczywiście, pod warunkiem że ktoś inny nie będzie go pilnował. Ale w tym domu wszyscy wszystkich ciągle pilnują. Niech pan je spokojnie, poruczniku, sąsiadka Solnicka czuwa! Dlatego nie nosi kapci z pomponami.

– Z czym?

– Z pomponami. To są takie kosmate...

– Dobrze, dobrze, mniejsza o to – podporucznik Karbolek postanowił się nie dać wciągnąć w idiotyczną rozmowę o pomponach, która nie licowała z urzędową powagą sprawy. – Pukiel włosów przekażcie do laboratorium. Ciekawe, czy kolor jest naturalny? Ale ja jestem przekonany, że to była Solnicka. No bo kto?

– Nie – odparł stanowczo sierżant i znów dolał sobie śmietanki.

– Dlaczego nie?

– No bo nie. Trudno wytłumaczyć, ale...

– Co to znaczy trudno? Czym argumentujecie? – sierżant z nieszczęśliwą miną żuł plaster sera. – Czy wy zupełnie nie

umiecie myśleć? Rozumować! – pastwił się nad nim Karbolek. – Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć i B. Nie chcę was obrażać, ale wy odpowiadacie naprawdę jak dziecko. Solnicka nie zabiła, nie włamała się, bo nie. Może wam to wystarcza, ale ja muszę mieć dowody.

– No bo Solnicka ma z pięćdziesiąt lat. Albo i więcej – „uargumentował” sierżant, a Karbolek opanował się z trudem, nie walnął pięścią w stół, tylko spojrzął zimno i rzekł:

– Wy to uważacie za dowód, tak?... Darujcie mi szczerłość, ale ja się dziwię, że wyście się dosłużyli sierżanta...

– Ja także się dziwię – przerwał Fidybus. – Tylko z całkiem innych powodów.

– Nie zauważyłem, żeby wiek Solnickiej doprowadził do jej starczego zniedołężnienia i żeby nie mogła włamać się do mieszkania sąsiadki.

– Może i mogła, może nawet i to zrobiła, ale nie wtedy kiedy ja tam... hm... czuwałem.

– Skąd wiecie? Widzieliście ją?

– Widzieć nie widziałem, ale to nie była ona.

Podporucznik Karbolek poczuł, jak ogarniająca go furia zaczyna niebezpiecznie przybierać na sile. Zacisnął pod stołem pięści i wycedził raz jeszcze:

– Skąd wiecie? Przecież było ciemno.

– Oj, panie poruczniku! – teraz już i sierżant się zniecierpliwił. – Co pan mnie tak spowiada jak dzieciaka do pierwszej komunii? Pan myśli, że ja po ciemku to już pięćdziesięcioletniej baby od dwudziestoletniej nie odróżnię? Jak nie widać, to się domacać można tej różnicy, no nie?

– Więc wyście!... – podporucznika aż zatkało ze wstydu, irytacji i zazdrości. – Wyście ją mieli w rękach! I puściliście!

Sierżant burknął coś niezrozumiałego, co mogło być jakimś niecenzuralnym przekleństwem, i zainteresował się twaróżkiem. Podporucznik patrzył na niego wstrząśnięty. Cóż za idiotyczną, bezplanową, partyzancką akcją urządził ten sierżant! Jak fatalnie rozegrał! A jednocześnie ile się dzięki niej dowiedział! A ile jeszcze mógł się dowiedzieć!!! Mógł złapać włamywaczkę, ale ją pomacał i puścił! Zaczaił się na miejscu

zbrodni, bo mu było nudno w domu, ale szczęście mu dopisało i ktoś wszedł w pułapkę. Może morderca? Morderczyni właściwie. Tylko że on przespał najważniejszy moment, bo sobie urządził libację w pokoju zamordowanej! Właściwie już za to samo powinien zostać zdegradowany, aresztowany, pozbawiony... A może należy o tym zameldować majorowi?... Podporucznik Karbolek niespokojnie zakręcił się na krześle, ponieważ wiedział, że bezkarnie tej sprawy pozostawić nie można, a z innej znów strony miał wpojony od dziecka kodeks honorowy, w którym jedno z najważniejszych przykazań mówiło, że nie skarży się nigdy na kolegów. Nie, wiedział doskonale, że nie doniesie majorowi o wyczynach Fidybusa. Musi go ukarać sam, osobiście. Przecież jest jego zwierzchnikiem! Niestety, nie wiedział, jak to zrobić... Patrzył, jak sierżant spokojnie okłada bułeczkę twarożkiem, jak posypuje starannie szczypiorkiem i ten spokój do reszty odbierał mu pewność siebie. Sierżant nie czuł się winny. To widać! A więc może nie był?

– Idziemy! Obejrzymy wszystko jeszcze raz za dnia – podniósł się stanowczo od stołu Karbolek widząc, że sierżant z własnej inicjatywy nigdy jeść nie przestanie. – O dwunastej mamy przedstawić majorowi raport.

– Znaczy trzeba się odmeldować i podziękować za śniadanko szanownej pani dziedziczce – sierżant z żalem spojrzął na nędzne resztki jedzenia, które jeszcze zostały na stole, ale wstał z krzesła. Przyglądził wąsy, obciągnął mundur, w postawie pełnej uszanowania czekał na panią Karbolkową. Zachowywał się jak człowiek, który ma zupełnie czyste sumienie. Pod każdym względem. Albo nie ma go wcale.

* * *

Na ulicy Pratchawca pod numerem pięć, między wielopiętrowymi blokami stał mały domek z szyldem: „Pralnia chemiczna – świadczy usługi dla ludności”. Zza ściany owej pralni wychylała się obywatelka Solnicka. Gwałtownie wymachiwała rękami w stronę Fidybusa i Karbolka. Przystanęli

zadziwieni, a ona cofnęła się w głąb mikroskopijnego podwóreczka i nadal dawała im tajemnicze znaki.

– Czekałam tu na panów od rana – powiedziała scenicznym szeptem. – Teraz tu nikogo nie ma. Do dziewiątej. Możemy mówić swobodnie. Chociaż to nigdy nic nie wiadomo.

– Coś się stało? – spytał podporucznik.

– No pewnie! Myśli pan, że ja bym miała czas tutaj stać bez potrzeby? Przecież cały dom na mojej głowie! Ja...

– Mam pani przydzielić funkcjonariusza do pomocy? Żeby poszedł do sklepu, zakupy zrobił – podporucznik miał jak widać coraz mniej cierpliwości i względów dla damy, której ulubionym zaimkiem był zaimek „ja”.

– E tam! – pani Solnicka nie zauważyła ironii. – Mnie i tak nikt nie dogodzi. Wszystko muszę sama zrobić.

– My także. W związku z tym nie mamy czasu na dywagacje – Karbolek chciał zręcznie wyminąć panią Solnicka, ale podwóreczko pralni przypominało cienką, skręconą kichę. W jej najcieńszym końcu stała pani Solnicka z monstualnych rozmiarów gospodarskim koszem, który trudno byłoby przeskoczyć z godnością. Podporucznik Karbolek godności wyzbywał się niechętnie, toteż nie pozostawało mu nic innego, jak uznać drogę odwrotu za odciętą.

– Jakie dywagacje! – oburzyła się dama. – To nie żadne dywagacje, ale fakty! Morderca chodzi po drzewie! Ja już wspominałam panu – zwróciła się teraz wyłącznie do sierżanta – że jak się w nocy obudzę, to potem oka zmrużyć nie mogę do rana. Leżę, przewracam się, nie mogę się zdrzemnąć ani na sekundę.

– Ze mną jest to samo – powiedział z boleściwą miną sierżant. – Wtedy człowiek myśli, nasłuchuje...

– Właśnie! – ucieszyła się pani Solnicka znalazłszy bratnią duszę w sierżancie. – Więc leżę sobie i myślę o tych gałęziach, co to pan mówił, że trzeba ściąć, i słyszę, a u Sarnawieckiego coś szura. Obudziłam męża, słuchamy razem, a tam okno skrzypi w stołowym i gałęziami coś trzaska. To Sarnawiecki w ciemną noc chodził po drzewie!

– Jest pani pewna, że to on? – Karbolek znów w sposób

wysoce nietaktowny wyraził powątpiewanie.

– Panie podporuczniku – Solnicka zmierzyła go królewskim spojrzeniem. – Ja byle czego nie mówię. Chłopcy obaj spali, za to mogę ręczyć. W kuchennych drzwiach jest taki wypadnięty sęczonek – wszystko przez niego widać. Pan sierżant też wyszedł dawno za furtkę i poszedł ulicą, z zewnątrz nikt nie przyszedł, bo drzwi dobrze pozamykane a u Sarnawieckiego coś szurało. Otworzyło się okno, a potem ten morderca chodził po drzewie. Od razu wiedziałam, że to on! Teraz chciał zatrzeć ślady! To jest morderca, proszę panów, wyrafinowany! Panowie widzieli, jakie on ma te łapska ogromne? Taki toby zadusił jak nic! Więc ja to wszystko mówię panom w zaufaniu, ale jakby co do czego, to żadnego zeznania nie podpiszę. Nic nie wiedziałam, nic nie słyszałam. Mąż też! To nie żarty mieszkać z takim pod jednym dachem!

– To jeszcze nie takie pewne, że akurat Sarnawiecki jest mordercą.

– No to ja już nie wiem, jakich panu podporucznikowi potrzeba dowodów! – obraziła się Solnicka. – W każdym razie ja spełniłam swój obywatelski obowiązek i sumienie mam czyste – to mówiąc pani Solnicka wyjrzała za murek, dała znak obu funkcjonariuszom, żeby się nie ruszali z miejsca, i konspiracyjnie rozglądając się na wszystkie strony opuściła okolice pralni świadczącej usługi dla ludności.

– Czy wy naprawdę cierpicie na bezsenność? – spytał nieufnie Karbolek, gdyż wydawało mu się, że ostatniej nocy sierżant dał dowody całkiem odmiennych skłonności.

– Ja tak różnie – odparł mętnie sierżant. – Zależnie od okoliczności, ale trzeba zrozumieć człowieka. Taka Solnicka też stworzenie Boże, choć nie za bardzo udane. A porucznik zaraz na nią z urzędowym tonem i nomenklaturą.

– Co wam się stało? – zdziwił się Karbolek tą niespodziewaną zmianą uczuć podwładnego. – Przecież niedawno nazywaliście ją wiedźmą.

– Bo wiedźma to ona jest, ale przydać się może. Oczy ma na wszystkich stronach głowy. Co tam przy niej Lelum-Polelum! No, niech pan włazi, poruczniku! A ja sobie popatrzę.

Stanęli właśnie pod oknem spiżarni i do niej to odnosił się zachęcający okrzyk sierżanta. Ale Karbolek nie dał się ponieść entuzjazmowi. Nieufnie obejrzał dwa zardzewiałe gwoździe służące jako zamknięcie, włożył rękawiczki i dopiero przystąpił do forsowania tajnego przejścia. Podciągnąwszy się na rękach, bez trudu znalazł się wewnątrz spiżarni. Nie ma złudzeń – dla szczupłej, względnie sprawnej kobiety ta droga też była niewątpliwie dostępna. Dla przeciętnego mężczyzny również. Praktycznie więc każda ze zgromadzonych pod tym dachem osób miała szansę w ciągu ostatniej doby dostać się do wnętrza.

Sierżant Fidybus okrążył dom i sprawdził urzędowe pieczęcie na drzwiach. Były nienaruszone. Kiedy wszedł za porucznikiem do mieszkania denatki, Karbolek leżał już na tapczanie i palił papierosa wypuszczając misterne kółka dymu. Obok tapczanu stała znajoma butelka.

– Resztką płynu, jaki tu znalazłem, wydaje się posiadać nieprzeciętną moc – ozwał się ironicznie zwierzchnik wypuszczając coraz piękniejsze kółeczka. – Chyba to jakaś stara nalewka na czystym spirytusie. A brak co najmniej trzech czwartych butelki. Jaki stąd wniosek?

– Że musiało być najwyżej pół, bo ja ledwie zdążyłem spróbować – odparł szybko sierżant. Mówił prawdę. A przynajmniej był o tym przekonany. Moc owej nalewki musiała być istotnie nieprzeciętna.

– Nie, sierżancie! – rozwiął jego złudzenia Karbolek. – Widzicie na butelce linię, do której sięgał płyn? Widzicie. To bardzo dobrze. Bo teraz będziemy mogli wyciągnąć prawidłowy wniosek. A mianowicie, że byliście dziś w nocy kompletnie pijani i wasza nocna zjawą wylęła się w waszym nietrzeźwym mózgu.

– To też wyszło prosto z mózgu? – wskazał sierżant ponuro guz zdobiący mu czoło.

– Nie wiem i nie odpowiadam za to, co wyrabiacie po pijanemu, z kim się bijecie i kto was obdarzył taką pamiątką, chociaż muszę powiedzieć, że jako odpowiedzialny funkcjonariusz powinniście więcej dbać o swoją reputację, że już nie wspomnę o estetyce wyglądu zewnętrznego. Ale skoro

się napraszacie, to zaraz powiem, co o tym wszystkim myślę. Podejdźcie no bliżej. Wy leżeliście tu gdzie ja, tak? A ona podeszła gdzie?

– Tak jakoś z tyłu. Od głowy mnie zaszała.

– Od głowy? Pięknie! Dotyka was, wy się zrywacie, ona ucieka, wy za nią! Do kuchni. No i gdzie ten stół, o któryście się uderzyli?

Stołu istotnie po drodze nie było.

– Dalej! Mówicie, że ona, wybiegając, zdążyła przekręcić, klucz w zamku. Tymczasem ja, wchodząc tu, nie otwierałem z klucza ani drzwi łączących kuchnię ze spiżarką, ani tych między kuchnią i pokojem. Jedne i drugie były tylko lekko przymknięte.

Sierżant spojrział jeszcze raz na butelkę i zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Trzask klucza słyszał, trzaśnięcie okna też, stół poczuł aż w trzewiach, a jednak...

– Zdaje się, że niepotrzebnie tracimy czas, sierżancie – przygwoździł go Karbolek. – Sny po alkoholu bywają bardzo sugestywne.

Sierżant wyprostował się, otworzył usta, żeby rzec znów na swoją obronę jakieś nieregularne bezceństwo, i wzrok jego padł na półeczkę z przewróconym asparagusem, który wisiał przy drzwiach do pokoju Krystyny. Akurat na tej wysokości, na której rósł i fioletował mu okazały guz. Natomiast przy drzwiach do kuchni wisiała paprotka na metalowej podpórcie, przy pomocy której można było najwyżej wykluć sobie oko, gdyby sierżant Fidybus miał oczy na wysokości dwóch metrów z tzw. hakiem.

Sierżant podniósł asparagus, strzepnął odrobinę ziemi, która wysypała się na półkę, odsunął kotarę i nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Wszystkie elementy łamigłówki ułożyły się w zrozumiałą całość. Sierżant sięgnął do kieszeni, wyjął mały wytryszek, wypchnął nim siedzący po drugiej stronie klucz. Zmienił wytryszek na większy. Podporucznik, przyglądając się tym manipulacjom, zrozumiał, dlaczego mundur wygląda zawsze na Fidybusie, jak nierówno obciążony worek.

Drzwi ustąpiły. Okno pokoju Krystyny było zatrzaśnięte.

Wychodziło prosto na konar rozłożystej lipy sięgającej górnymi gałęziami okna stołowego pokoju państwa Solnickich. Przez podwórze szedł Solnicki z piłą. Za nim Lolek i Marek nieśli drabinę.

– Nie! – ryknął dzikim głosem sierżant. – Nie! Poczekajcie!

Odepchnął podporucznika, przesadził okno, w biegu zrzucił kurtkę i zaczął się wspinać jak małpa na drzewo. Karbolek miał ochotę zapaść się pod ziemię. Dawno chyba żaden funkcjonariusz nie urządził publicznie takiego przedstawienia. Mało tego! Kiedy skończył się pionowy konar, sierżant zawisł na rękach i nogach, jak leniwiec. W tej niegodnej pozycji sunął w stronę coraz cieńszego końca gałęzi, a ona trzeszczała ostrzegawczo.

– Złazcie natychmiast! Chcecie spaść i kark skrócić? – miał właśnie krzyknąć Karbolek, kiedy myśl stała się ciałem. Zatrzeszczało głośniejsze, zaszeleściło, gałąź nie wytrzymała i sierżant z wysokości pierwszego piętra runął w rabatki.

– Zgadza się! – wybelkotał popluwając ziemię. – Jestem idiota!

Zerwał się i kuśtykając pognał na górę. Karbolek za nim. Drzwi do mieszkania Solnickich były otwarte. Wpadli do stołowego. Sierżant wyjrzał przez okno i pognał do kuchni. Sarnawiecki stał przy płycie i dmuchał na mleko.

– Ile pan waży?

– Koło setki.

– Gdzie jest pańska córka?

– Przecież tego nikt nie wie.

– Chce pan siedzieć za współudział?

– Ona nie zabiła! – mleko poleciało, rozszedł się śwąd. – Panowie!

– To dlaczego pan ją ukrywał?

– Przecież to moje dziecko! Ja wiem, że ona nie zabiła. Ja ją tylko wpuściłem i wypuściłem. Przysięgam!

Podporucznik Karbolek przysłuchiwał się tej szybkiej wymianie zdań lekko oszołomiony. Nie wiedział dokładnie, o czym mówią, ale widział, że obaj doskonale się rozumieją.

– Gdzie ona poszła? – nie dał odetchnąć staremu sierżant

Fidybus.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ale ona do was się zgłosi sama. Obiecała Markowi, to się zgłosi. Bo inaczej on by ją wydał.

– Jak się nie zgłosi, to pan ją przyprowadzi!

– Kiedy ja nie wiem, gdzie ona jest. Jeśli ktoś coś wie, to Lolek.

Wezwany Lolek wszedł do pokoju w nastroju zaczepnym.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie ona jest teraz? Mogę panom powiedzieć, gdzie była dziś w nocy, kiedy obywatel sierżant chodził i węszył.

– Gdzie była? – podporucznik Karbolek postanowił nie zwracać uwagi na obraźliwe sformułowania. Szczególnie że nie dotyczyły jego samego.

– U nas w łóżku pod kocami – powiedział Lolek z triumfem.

– O dwa kroki od obywatela sierżanta.

A taką miałem ochotę wygonić ich z tego łóżka! – pomyślał z żalem Fidybus.

– Gdyby nie to, że Marek nie cierpi Solnickiej, toby nie pozwolił ukryć Krystyny. Wręczyłby ją sierżantowi i byłby szczęśliwy, że spełnił swój obowiązek lojalnego obywatela. Ale wiedział, że stara pękłaby z radości, więc milczał.

– Szkoda – mruknął Karbolek. – Zaoszczędziłby nam sporo roboty. Czego szukała pańska siostra i gdzie?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Pewno wydała już wszystkie pieniądze, jakie miała, i szukała czegokolwiek. Że może jeszcze coś po was zostało. Ona jedna mogła tam wejść. Nie jest spalona.

– Co pan przez to rozumie?

– To, że gdyby nas pilnowała milicja, toby było małe piwo! Ale na straży stoi Solnicka. Ona też liczy, że coś u matki znajdzie, tylko nie wie, gdzie i co. Ale liczy, że my wiemy. No i tak trwa ta ciuciubabka. Starczy, że ktoś z nas się w kuchni poruszy albo wyjdzie do łazienki, a ona już jest w korytarzu. Już stoi przy szparze od drzwi i patrzy. W dzień to samo. Nie ma mowy, żeby się urwać na pięć minut. Albo sama leci za nami, albo posyła tego swego pantoflarza, żeby szpiegował.

Więc tylko Krystyna mogła tam wejść i wziąć, co się jej należy. Teraz pan zadowolony? Zrozumiał pan, jak wygląda nasze życie?

– Nie rozumiem – odparł szczerze podporucznik. – Dopiero teraz nic nie rozumiem. Przecież pana siostra nie jest sama. Ma was. Całą rodzinę. I musi się włamywać nocą do zaplombowanego mieszkania, żeby zdobyć trochę pieniędzy na życie? W dodatku nie wiedząc, gdzie te pieniądze są i czy są naprawdę. Proszę mi wybaczyć, ale tę naiwną bajeczkę wymyślił pan na poczekaniu i nawet nie zadbał pan, żeby się jakoś trzymała kupy.

– Tak się panu wydaje? Co to znaczy, pana zdaniem, mieć rodzinę? – zaperzył się Lolek. – O kim pan mówi? O tatuńciu, który ledwo wiąże koniec z końcem, bo mu się nowego dziedzica zachciało? O Marku, który siedzi pod pantoflem u swojej laluni, a lalunia ma wymagania jak królowa. O mnie? A przecież ja sam groszem nie śmierzę! Wysuplałem się do cna, zapożyczyłem, żeby pojechać do brata, do Anglii, a teraz siedzę, czekam, kiedy mnie wypuścicie, kiedy skończycie to śledztwo i liczę ostatnie złotówki, czy mi wystarczy na papierosa, bo kochany braciszek z łaski zaproszenie przysłał, ale się nawet nie zatroszczył, czy mam za co przyjechać. Tak wyglądają nasze rodzinne więzy, panie władzo! Czy teraz pan rozumie? Czy jeszcze się pan dziwi, że Kryśka przyszła po swoje, że chciała wziąć, co jej się należy?

– Czy znalazła to, czego szukała?

– Nie wiem – wzruszył ramionami Lolek. – A nawet gdybym wiedział, to też bym panu nie powiedział. Nie po to się Kryśka męczyła, żeby pan to teraz schował do depozytu.

– Nie spytał pan jej o to? Nie był pan ciekawy? A może ona nadal nie ma z czego żyć? A majątek być może leży i czeka... – ironizował podporucznik Karbolek.

Chłopiec milczał.

– Pokazać panu, co to było i gdzie? – włączył się bystro Fidybus. Karbolek aż pokraśniał z zadowolenia na widok nerwowej reakcji Lolka.

– Znaleźliście?

– Jeszcze nie. Razem poszukamy, razem znajdziemy.

Weszli do pokoju Sarnawieckiej. Sierżant podszedł do tapczanu z tej strony, z której zaszła go dziś nocna zjawa. Wyraz twarzy młodego Sarnawieckiego upewnił go, że czyni słusznie. Odtworzył w pamięci nocną scenę. Ręka, która dotknęła go w ciemności, nie szukała na ślepo. To była dłoń osoby, która wie, czego szuka i gdzie to znajdzie. Sierżant podniósł wałek od tapczanu i przyglądał mu się w milczeniu. W końcu zauważył miejsce na szwie zaszyte trochę inną nitką. Wyjął z kieszeni scyzoryk i wbił go w materiał. Zawiniątko, które po chwili wyciągnął, było małe i niepokazne. Zawierało sześć grubych złotych obrączek.

– No tak – powiedział porucznik Karbolek. – W pana i pańskiej siostry interesie leży, żebyście jak najszybciej znaleźli mordercę. To także na razie pójdzie do depozytu.

Może się to komuś wydawać dziwne, ale w tym momencie Lolek wcale nie wyglądał jak człowiek zmartwiony.

* * *

Kiedy zasiedli w swoim pokoju w komendzie, kiedy już podporucznik Karbolek wyjaśnił podwładnemu w dosadnych słowach, co myśli o łażeniu po drzewach w obecności osób czekających łąpczywie na kompromitację przedstawiciela władzy, kiedy usłyszał od sierżanta słowa usprawiedliwienia i dowiedział się, dlaczego łażenie było absolutnie niezbędne, kapral Jabłoński zameldował z dołu, że przyszła obywatelka Krystyna Sarnawiecka, wzywana pilnie do pokoju nr 113.

– Prosić! – krzyknął zelektryzowany Karbolek i kończąc rozpoczętą rozmowę zauważył: – Mówicie, że dla was oczywistą sprawą jest, że skoro Sarnawiecki ważył około setki, wy osiemdziesiąt dwa, to łaźić po drzewie nie mógł on, tylko Krystyna, bo pod wami się zarwało. Czy dokładnie streszczam tok waszego rozumowania?

– Nadzwyczaj prawidłowo! – odparł ze szczerym niemal zachwytem sierżant.

– A jak będzie ten tok wyglądał, jeśli się okaże, że młoda

Sarnawiecka też waży koło setki?

– Zaraz zobaczymy, ale niech porucznik pamięta, że to jeszcze do niedawna była młodzież szkolna, chociaż... – zafrasował się – kto wie? Wszystko wskazuje, że to młodzież bardzo dobrze rozwinięta...

Dziewczyna, która w tej chwili stała w drzwiach, nie ważyła stu kilogramów, ale też w niczym nie przypominała niewypierzonego, szkolnego podlotka. Była ogromnie podobna do Sarnawieckiego, wysoka, jasnowłosa jak on, ogorzała od słońca i wiatru. Nie tyle piękna, ile mocna, rasowa i dorodna. To wszystko, co u niego podkreślało męską urodę, u niej stało się atrybutem wybijającej kobiecości. Ubrana w dżinsy i jakąś lekką, dokładnie wydekoltowaną bluzkę, mogła obfitością odsłoniętych wdzięków przyprawić o zawrót głowy o wiele wytrawniejszego znawcę kobiet niż podporucznik Karbolek, który zerwał się na równe nogi, pośpiesznie obciągnął mundur. Dziewczyna przywitała go promiennym uśmiechem i swobodnie wyciągnęła rękę.

– Halo, poruczniku! Podobno pan bardzo chciał się ze mną zobaczyć w dzień? Bo w nocy tośmy się już chyba poznali.

Karbolek się nasrożył.

– Obywatelka mnie myli z kim innym. Nie miałem przyjemności spędzać z obywatelką nocy.

– Nie szkodzi! – odparła rezolutnie Krystyna. – Nic straconego! Mamy to jeszcze przed sobą. Ale rzeczywiście to był ktoś inny. Miał taki niski, seksowny głos...

Karbolek spojrział na przygarbioną postać sierżanta, na jego wąsiska zwisające prawie aż na biurko i pomyłka Krystyny tak go rozbawiła, że parsknął śmiechem.

– Całkiem fajny z pana chłopak, jak się pan śmieje. Powinien pan to robić częściej.

– Może przejdziemy do sprawy – powiedział Karbolek bardzo z siebie niezadowolony.

– Jak mi pan da papierosa, to możemy przejść. Opowiem panu wszystko, co pan zechce, może nawet przyznam się do morderstwa, jak mnie pan ładnie poprosi?

Karbolek był przerażony. Ten lekki ton, zalotny uśmiech! I ta

tragedia, która niedawno dokonała się w tym domu! Dziwna rodzina...

– Dlaczego zgłasza się pani dopiero teraz?

– O, na to mam doskonale przygotowaną odpowiedź. Chce ją pan usłyszeć, czy woli pan zgrzebną prawdę?

– Proszę odpowiadać na pytania – Karbolek starał się nie patrzeć w przepastne głębie dekoltu Krystyny, ale te usiłowania także go rozpraszały.

– Okej! Wie pan co? Nie chce mi się zmyślać. Po prostu chciałam się dostać do domu, zanim reszta rodzinki tam wpadnie i zacznie polowania na resztki. Wiedziałam, że moja matka dosłownie spała na złocie, ale niestety nie wiedziałam, że tam będzie ten z seksownym głosem. A on był i przydusił mnie do podłogi, zanim zdążyłam kiwnąć palcem. Ale nie mam do niego pretensji. To wcale nie było niemiłe. Lubię zdecydowanych mężczyzn. Szkoda tylko, że potraktował tak urzędowo ten epizod i nie wyciągnął właściwych wniosków z mojej uległości...

Podporucznik Karbolek słuchał ze zgrozą. Nie dlatego, żeby był świętoszkiem, ale zdawał sobie sprawę, że to mówiła dziewczyna, która jeszcze niedawno chodziła do szkoły, stała przy tablicy, siedziała w szkolnej ławce. Ileż ona może mieć lat? Osiemnaście? Przecież nawet jeśli się zgrywa na dorosłą, robi to ze zbyt wielką swobodą.

– Potraktowałam panią łagodnie, bo nie uwodzę nieletnich nawet w tak sprzyjających okolicznościach – pozwolił się wreszcie sprowokować sierżant Fidybus, a Karbolek zauważył, że istotnie głos jego ma niespodziewaną głębię. Krystyna odwróciła się gwałtownie.

– Oczywiście! To był pan! A ja wcale nie jestem nieletnia. Dowód zostawiłam u tego pryszczatego na dole. O Boże, taki głos do takiej osoby! Całkiem inaczej sobie pana wyobrażałam. Dlaczego pan ma takie długie wąsy?

– Żeby je sobie przygryzać w chwilach zadumy, moje drogie dziecko – odparł sierżant głosem złego wilka z bajeczki o Czerwonym Kapturku. Krystyna roześmiała się serdecznie.

– Pan jest zabawny! Kto to powiedział, że rozśmieszyć

kobietę to jakby już na pół ją zdobyć?

– Nie wiem, panienko, ja nie uczony. Niech panienka lepiej porozmawia o tym z porucznikiem. On ma wyższe wykształcenie i w klasykach jest odczytany, jak należy, a także cytaty zna różne stosowne i dużo obcych wyrazów.

– Sierżancie Fidybus! – Karbolka ogarniała dzika furia, kiedy słyszał takie głędzenie. Nie wiedział, co to właściwie było. Żarty, kpiny, przekomarzanki? Fidybus wygłaszał te brednie poważnym, dudniącym głosem i nie wykluczone, że w ten sposób próbował podporucznika ośmieszyć. Co gorsza wyraźnie bawiło to urodziwą Sarnawiecką. – Sierżancie, zostawcie włączony magnetofon i udajcie się teraz do komendanta. Zameldujcie mu, że prowadzę właśnie przesłuchanie obywatelki Krystyny Sarnawieckiej. Za dwie minuty miałem być u niego, ale wolałbym dokończyć przesłuchania.

Sierżant dźwignął leniwie swe kościste, długie cielsko, zrobił jakiś niezdarny ruch mający imitować postawę na baczność i odparł służbiście:

– Tajest, obywatelu podporuczniku. Odmeldowuję się. Jakby panienka planowała jaki następny skok, to może się znowu spotkamy.

– Baj! – Krystyna beztrąsko pomachała mu ręką.

– Wracamy do sprawy! – Karbolek miał ochotę trzasnąć pięścią w stół. Filuterna mina dziewczyny i jej przepaścisty dekolt już go tylko irytowały. – Więc, krótko mówiąc, pani chciała uprzedzić rodzinę i zagarnąć, co się da. Czy nie przyszło pani do głowy, że to, co zostało po matce, należy się wszystkim? Czy nikogo z was nie obchodzi jej śmierć? Czy wszyscy myślicie tylko o pieniądzech? – wybuchnęła.

– Nie odpowiadam za innych. A ja, owszem, myślę tylko o pieniądzech. One mi dadzą samodzielność. Mam dziewiętnaście lat. We wrześniu skończę dwadzieścia. I do ostatniego dnia musiałam błagać o parę złotych na kawę, na książkę, na bilet autobusowy. Tłumaczyć, gdzie mam zamiar jechać tym autobusem i po co – mówiła gwałtownie, coraz gwałtowniej. – Jeśli dostałam parę złotych od ojca czy od

Marka, musiałam je dobrze schować, bo w nocy przeszukiwała mi kieszenie i zabierała każdy grosz. Musiałam wysłuchiwać nie kończących się kazań, jeśli, broń Boże, zachciało mi się pójść do kina z koleżanką albo z chłopcem, który nie mógł za mnie zapłacić. Ale jeśli płacił, to także było kazanie. Bo jeśli mi stawia kino, to na pewno ma powody. Matka musiała wiedzieć, gdzie wychodzę, z kim, o czym ten ktoś ze mną mówi, gdzie zaprasza. Szpiegowały mnie obie z tą wiedźmą Solnicką. Bez wytchnienia. Nie miały co robić, więc szpiegowały. A kiedy jej zdaniem wychodziłam zbyt często, usiłowała mnie bić i zamykać na klucz. I pan jeszcze chce, żebym po niej płakała? – gwałtownie zaciągnęła się papierosem. Palila nie od dzisiaj i jak widać zdobywała gdzieś pieniądze na te papierosy. – Gdyby mnie ktoś nie wyręczył, tobym jej chyba sama kiedyś w takiej awanturze rozwalila głowę! Jestem porywczą jak mój ojciec. Jestem jego córką, a nie jej. Chciałam pójść z nim, kiedy odchodził, ale ona nawet tego mu nie dała. Nic mu nie dała, nic nie pozwoliła zabrać, choć te najdroższe rzeczy w naszym domu są po jego rodzinie. Była tak chciwa, że nawet nas trzymała przy sobie, bo byliśmy jej własnością. Ciągłe słyszeliśmy, że nas urodziła, i uważała to za swoją wielką zasługę. A jego nawet nie pozwoliła odwiedzać! Czy pan to wszystko nagrywa? O, cholera! A co mi tam! Powiedziałam prawdę. Najprawdziwszą prawdę i wszystko mi jedno, jaki pan z niej zrobi użytek. Lolek mówił, że pan już jest przeciw nam nastawiony przez Solnicką, więc niech pan wie, że ani nasza matka nie była święta, ani my nie jesteśmy potworami. Istnieje jeszcze druga strona medalu.

– Każdy medal ma dwie strony – uzupełnił sentencjonalnie Karbolek. – Proszę mi powiedzieć, czy to pani przygotowała sobie wejście przez spiżarnię? I po co?

– Ja. Jak zgubiłam klucze od domu...

– Pani zgubiła klucze? Kiedy?

– Chyba z pół roku temu. To znaczy chyba nie zgubiłam, tylko stara mi rąbnęła i schowała. Nie wylazły przy rewizji?

– Znaleźliśmy ten komplet – podporucznik podsunął Krystynie standardowe klucze na kółeczku. – Czy może je pani zidentyfikować?

– Znaczy mam rozpoznać, czy to moje, czy jej? – przyglądała im się chwilę. – Nie wiem, oba były identyczne. Tylko przy moich wisiała świnka.

* * *

– Obywatelu majorze, sierżant Fidybus melduje, że podporucznik Karbolek melduje, że nastąpi zwłoka w jego nadejściu z powodu przesłuchiwanie obywatelki Sarnawieckiej Krystyny, córki Filipa i Zenobii. Nie bardzo mi wyszedł ten meldunek, co?

– Całkiem od rzeczy. Jak zwykle. Więc skoro widzisz, że nikogo u mnie nie ma, to nie wygłupiaj się, tylko mów po ludzku, jak się posuwa śledztwo – major Kajtys odłożył długopis i rozsiadł się wygodnie w fotelu opierając nogi na koszu ze śmieciami. Sierżant Fidybus zrezygnował natychmiast z postawy pseudosłużbowej, siadł na biurku i wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę „sportów”.

– Zygzakami. Raczej na boki niż do przodu. W związku z tym mam prośbę. Zrób coś, żebym mógł natychmiast pojechać do zon.

– Przeszedłeś na mahometanizm?

– Cudzych, oczywiście. Poprosiłem mego bezpośredniego władcę, żeby mnie do nich wysłał, ale on nawet słuchać nie chce. A ja muszę z nimi pogadać, zanim wrócą mężowie i nauczą je, co należy mówić na wypadek spotkania z milicją.

– Przecież ten mały bez ciebie nie poradzi.

– Poradzi. A to ostatnia okazja, stary, zrozum.

– Gdzie ty właściwie chcesz jechać?

– Do Wagonowa, do Białoboku i do Alpagowskiej Puszczy.

– Niezły rozrzut. Kiedy zamierzasz wrócić?

– Jeśli ci zależy, to w półtora dnia obskoczę, jeśli nie, to dwa plus niedziela.

– Mikołaj! – warknął Kajtys. – Ja cię przejrzałem! Ty sobie chcesz weekend za państwowe pieniądze urządzać? Dość głupich żartów! Nie widzę celu...

– Jak wrócę, to zobaczysz – odparł całkiem bez szacunku

sierżant. – A tymczasem każ mi dać delegację.

– Oj, Mikołaj, Mikołaj! Przebierasz miarę... Co będzie, jak przebierzesz naprawdę? – major czuł, że znów mięknie, i okropnie go to złościło. Znał swoją słabość dla tego dziwadła, wiedział, że przymyka oczy na jego wyczyny, których nigdy nie darowałby innemu. Uspokajał sam siebie, że jakkolwiek sierżant używa niekonwencjonalnych metod, to rezultaty przechodzą nieraz wszelkie oczekiwania. Tłumaczył sam sobie, że należy mu pozwolić na wiele, bo jego doświadczenie, intuicja, autentyczna pasja gwarantują powodzenie, równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że nie o racjonalne przesłanki tu idzie, ale o sentyment.

– Jak przebiorę?... – zamruczał łagodnym basem sierżant. – Znów zostanę szeregowym funkcjonariuszem w jakimś gminnym posterunku, jak to już czasem bywało. Będę łowił ryby, suszył grzyby na zimę i grywał z księdzem w preferansa. Zauważ, że zmniejsza się zastraszająco liczba rodaków umiejących grać w preferansa, a księża... – nie dokończył, skoczył na równe nogi, przybrał zasadniczą w miarę swych możliwości postawę. – Karbolek!

Major nic nie słyszał, ale wyplątał natychmiast nogi z kosza, zapiął ostatni guzik munduru i w tym momencie rozległo się pukanie. Nie zdążył zapytać kumpla, którym zmysłem wyczuł czyjąś obecność za drzwiami.

* * *

Mariola była dziś w fatalnym nastroju. Przeciętną kobietę pryszcz na nosie może wprawić w stan rozdrażnienia, a cóż dopiero osobę, dla której gładki nos może być sprawą życia i śmierci. Mariola Hacıur bowiem była gwiazdą piosenki. Może jeszcze nie światowej sławy, a zaledwie lokalnej, ale przecież była to tylko kwestia czasu. Od zdobycia laurów za granicą dzielił ją jeden krok. To, co robiła tutaj, było tylko przygotowaniem do wielkiego entre. Niemniej Mariola postanowiła sobie, że każdą publiczność będzie traktowała poważnie. Miała dziś występ w robotniczym klubie i z rozpaczą

myślała już o zadymionej sali, w której właściwie zdziera się tylko głos, o suchym powietrzu, fatalnym dla cery i makijażu. Do tego ten pryszcz! A gardło chyba obłożone? Zrobiła aaa do lustra. Lekkie zaczerwienienie? I jakby coś siedziało. Ale w głębi! Nie widać. Odchrząknęła. To coś było drapiące i ostre. Koniec! W ogóle nie będzie mogła śpiewać. Najlepiej byłoby odwołać występ. Ale jak to zrobić? Kiedy wróci Lolek? Dlaczego tak długo jeszcze go nie ma? Na korytarzu zadzwonił telefon i Mariola wybiegła pełna nadziei do korytarzyka, ale tam już stała gospodyni z karcącym wzrokiem i słuchawką w rękę.

– Mężczyzna do Hacıurówny. Obcy...

– No to co? – wyrwała słuchawkę. – Co to za dzikie obyczaje? – doprowadzało ją do furii wścibstwo i ciekawość tłumów. Wiedziała, że jest i będzie narażona na nie jak każda gwiazda, ale była osobą wrażliwą i nie mogła przejść nad tym do porządku dziennego. Co prawda te „tłumy” były na razie skromne, składały się głównie z gospodyni, u której Mariola odnajmowała pokój wraz z koleżanką, oraz gospodyni Lolka, niemniej obie te panie dawały Marioli w pełni odczuć przedsmak popularności. Teraz gospodyni odeszła niby od telefonu, ale drzwi zostawiła otwarte i na pewno podsłuchiwała. – Halo! – powiedziała Mariola swoim najbardziej uwodzicielskim głosem, żeby ją podrażnić. W słuchawce odezwał się bardzo niski, głęboki głos o lekko chrypliwym brzmieniu.

– Dzień dobry, panno Mariolo! Czy chce pani wypić kawę w towarzystwie starego, brzydkiego i okropnie nudnego mężczyzny?

Było to na tyle zaskakujące, że mimo woli roześmiała się, choć przed chwilą zdawało jej się, że życie straciło wszelki sens i urok.

– Pan ma niezwykle sposób podrywania.

– Jakie tam podrywanie! Gdybym miał szansę poderwać taką kobietę jak pani, to chyba tylko na litość – głęboki bas z fascynującą łatwością osiągał najniższe rejestry. – Trochę liczę na pani gołębie serce...

– Zaraz, zaraz! Wcale nie jestem pewna, czy mogę się z

panem zobaczyć... – było to zgodne z prawdą. Facet wydawał się przez telefon interesujący, ale im bardziej był interesujący, tym bardziej przeszkadzał ów fatalny pryszcz. Może należało odwlec spotkanie? – Po prostu dziś jestem strasznie zajęta. Ale jutro...

– Teraz albo nigdy! – przerwał jej dramatycznym tonem. – Serce mam już nietęgie i kto wie, jak znieśie cały dzień i noc czekania. Jeśli nie chce pani mieć mnie na sumieniu, to natychmiast!

– Co za tempo! I pan jest stary, a także okropnie nudny?

– Zgadza się. Ponadto jestem choleryczny, apodyktyczny, zrzedliwy, natrętny i siedzę w barku kawowym naprzeciwko pani domu. Właśnie zamawiam drugą kawę, żeby pani dać czas na ubranie się i przypudrowanie nosa.

– O Boże, skąd pan!... – opamiętała się w porę, niemniej wzmianka o nosie zrobiła wrażenie. Jakby facet patrzył na nią przez wideofon. – Dobrze – przestała się zastanawiać. – Zaraz zejde. Jak mam pana poznać?

– Po wąsach.

– Wielu mężczyzn nosi teraz wąsy.

– Ale niewielu może sobie z nich zaplatać warkoczyki.

– I robi pan to?

– Dla pani? Bo ja wiem?... Tak, dla pani zrobię!

– No to już na pewno pana poznam.

– O nie, królowo! Zrobię to dla pani, jeśli dobry los sprawi, że znajdziemy się kiedykolwiek sam na sam. Wtedy może się pani ze mnie śmiać do woli, ale nie będę się wygłupiał wobec tych dzieciaków w pani wieku, które tu obok mnie obsiadły barek. Pozna mnie pani po długości wąsów, po ponurej gębie, no a dla udokumentowania, że ja to na pewno ja, będę kręcił pa palcu kluczyki. No i to by było na tyle. Wystarczy?

Nie powiedział „kluczyki od samochodu”, ale to się samo przez się rozumiało. O kluczykach od domu mówi się po prostu „klucze”, a poza tym nikt ich nie demonstruje. Facet miał samochód i nie omieszkał tego dyskretnie zaznaczyć. Bardzo słusznie postąpił, bo znaczy, że można włożyć pantofle ładne, ale bardzo niewygodne, jako że samochód służy do wożenia

luksusowych kobiet i przede wszystkim należy w nim ładnie wyglądać. Przyszła gwiazda sentymentalnej piosenki nie była jak dotąd zepsuta powodzeniem, a jej niezbyt na ogół zamożni, młodzi wielbiciele mieli czasem nawet trudności z fundowaniem taksówki i zapożyczali się do następnego stypendium. Lolek też nie był tu wyjątkiem. Lolek... Pomyślała, że właściwie powinna siedzieć w domu i czekać na wiadomość od niego, ale szybko odsunęła od siebie tę myśl. Pokryła starannie twarz pudrem w płynie, zrobiła oczy, zburzyła włosy opuszczając na czoło parę kosmyków i zeszła na dół. W barku naprzeciwko istotnie pełno było młodzieży. Wyróżniał się wśród nich czterdziestokilkuletni pan z twarzą pełną zmarszczek i wąsami prawdziwie imponującej długości. Na jej widok zaczął wywijać zapamiętałe kluczykami od samochodu.

– Dosyć, dosyć, naprawdę może pan już przestać – podeszła i ze śmiechem wyjęła mu klucze z ręki. – Chyba nie będziemy tu siedzieli?

– Oczywiście. Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? – wąsаты podniósł się demonstrując słuszny wzrost i stare džinsy marki „Levis”. Żółta koszula znakomicie odbijała od ciemnej opalenizny. Można się było z nim pokazać. Do tego jeszcze samochód...

Niestety, samochód okazał się jedną wielką kompromitacją. Stary rozkładany citroen, pomalowany na jadowicie żółty kolorek, widocznie ulubiony kolor właściciela. W przypadku koszuli całkiem udany, na samochodzie fatalny. Do tego miejscami farba odpryskiwała i od spodu wylazł łagodny błękit. Jeszcze głębiej lśniła matowo czarna farba.

– Jeszcze się pani nie przedstawiłem: Fidybus – wąsаты powiedział to nazwisko takim tonem, że Mariola zrozumiała w lot, iż należy je znać. Szukała gorączkowo w pamięci, ale nie znalazła. Kto to mógł być? Ktoś z branży? Jakiś impresario? Tekściarz? Muzyk? – Gdzie jedziemy?

– Najchętniej za miasto. Jeśli to wytrzyma taką podróż – powiedziała wzgardliwie. Żadne angaże i propozycje ją teraz nie interesowały, więc nie musiała udawać. A po mieście nie miała zamiaru tłuc się czymś takim na pośmiewisko znajomym.

– Pod laskiem jest taki cichy motelik z kawiarnią.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Widziałem się z Lolkiem – powiedział nagle sierżant Fidybus i czekał na odpowiedź. Znowu przez chwilę trwało milczenie.

– No i co z tego? – spytała w końcu Mariola.

– Nic pani nie wie? Lolek nie telefonował?

– Nie – w jej głosie był maskowany niepokój.

– Widocznie już mu nie pozwolili. Jest mocno zagrożony.

Czy pani na pewno może mu dać alibi?

– Alibi? O, Boże! To jakaś poważna sprawa! Gospodyni powiedziała przedwczoraj, że nagle pojechał do Łopatowa na wezwanie. To znaczy, istotnie, jej słowa brzmiały tak, jakby wezwanie było z milicji, ale ja nie przywiązywałam do tego wagi. Sądziłam, że coś pokręciła. Albo że mówi specjalnie, na złość, żeby mnie zdenerwować. Ona mnie nie cierpi! Ale niechże pan powie wreszcie, co się stało!

– Zamordowano jego matkę. Pani ją знаła?

– Widziałam ją ze dwa razy. Przyjeżdżała odwiedzić Lolka.

– Pani nigdy u niej nie była?

– Nie. Lolek nie cierpi takich konwencjonalnych wizyt. Gdybym ją odwiedziła, zaraz wszyscy by mnie uznali za narzeczoną, za... Ale jak to się stało? Kiedy? Czyżby Lolka podejrzewali?

– 15 lipca między godziną 20 a 21.30 – odparł zwięźle sierżant. – Znalaziono ją z rozbitą głową.

– Czy to na pewno morderstwo? A może tak nieszczęśliwie upadła? Może się uderzyła?

– O stół?

– Nie wiem. Nie znam mieszkania. Czy on... czy Lolek jest aresztowany?

– Nie, ale wszystko wskazuje, że znajduje się pod dość ścisłą kontrolą... Pani mnie rozumie.

– Tak, oczywiście... – odparła nieco roztargnionym tonem. – Czy piętnastego to była sobota?

– Chyba tak.

– To świetnie! – rozjaśniła się dziewczyna. – Calutką sobotę

po południu i wieczorem byliśmy razem.

– Do której?

– No... dosyć długo... Do rana, jeśli już panu tak na tym zależy!

– I zgodzi się pani zeznać to przed sądem?

– Jak pan może wątpić!? – zawołała Mariola z oburzeniem. – Jeśli Lolek jest w niebezpieczeństwie, a do tego ja wiem najlepiej, że jest na pewno niewinny, to pan jeszcze ma wątpliwości? Za kogo pan mnie uważa? Za gęś, która z powodu głupich przesądów nie zdobędzie się na powiedzenie prawdy? To pan mnie jeszcze mało zna!

– Niestety... – powiedział sierżant i spróbował spojrzeć na Mariolę uwodzicielskim wzrokiem, ale widocznie mu się nie udało, bo dziewczyna nie zwróciła na jego zabójcze spojrzenie najmniejszej uwagi.

– Jak pan sądzi, czy go wypuszczą z kraju, jeśli wykaże swoją niewinność?

– Może jeszcze być potrzebny jako świadek.

– Oczywiście! – Mariola była bardzo zdenerwowana. – Ja wiedziałam, że coś się skomplikuje! Ja to czułam! Za dobrze nam wszystko szło. Za łatwo! I paszporty, i wizy, i wszystko. A jeśli on nie pojedzie, to mój wyjazd właściwie też się odwleka. U jego brata mieliśmy mieć chatę, pracę, a bez tego to ja... Nikogo tam nie mam! Tak liczyłam! Tak się cieszyłam! Myślałam, że może jego brat załatwi mi występy w jakimś klubie w Londynie, a teraz... – omal się nie rozplakała. – Ale on na pewno jest niewinny! I ja to mogę potwierdzić, i gospodyni nawet. Prosiłam go o ciepłą wodę. Było wtedy po dziewiątej. Słyszeliśmy z dołu, że skończyła się właśnie sztuka. Niech oni sprawdzą! Jeśli pan coś może zdziałać, to niech pan zrobi wszystko, żeby oni sprawdzili! On stąd nigdzie W sobotę nie wyjeżdża! On jest niewinny. A właściwie to kim pan jest?

Gospodyni potwierdziła. Przyjrzała się służbowej legitymacji, porównała zdjęcie sierżanta z oryginałem i wreszcie wyzbywszy się podejrzliwości zeznała, co następuje:

– Przychodził po wodę, przychodził. Mąż akuratnie siadł mecz oglądać, a ja zmywałam. Przychodził! Pewnie dla tej

lafiryndy, co u niego nocowała. Żeby nie znała jego mamusi, to ani chwili bym nie trzymała takiego uwodziciela. Wyrzuciłabym ją i jego! Co to, dom schadzek czy co? On myśli, że jak ja patrzę w telewizor albo robię w domu obrządek, to już nic nie widzę. Ale ja mam uszy i oczy otwarte. Swoje wiem. To tak bezczelna, już nie powiem kto, że aż ręka nieraz świerzbi, jak ją widzę. Na noc do chłopaka! Myśli pan, że to pierwszy raz? Druga to może by się krępowała chociaż! Cicho by była, pokorna, buty by zdjęła. A ta nie! Tylko stuka tymi obcasiskami cały wieczór. A rozmowy głośnie, a śpiewy! Artystka! Już miałam iść na górę powiedzieć panu Lolkowi, ale on i tak, jak ją przyprowadza, to drzwi zamyka na klucz. To już nie poszłam. A właściwie to czego pan chce? Co się stało? Ja jestem w porządku!

* * *

Kluczył po zaplutyh uliczkach prawobrzeżnego Wagonowa i śwędziały go pięści, kiedy patrzył na grupki podpitych mężczyzn, przeważnie młodych, w pełni sił, słaniających się od bramy do bramy. Biłby chętnie w te zapite pyski aż do wytrzeźwienia. Ale jako milicjant mógł ich najwyżej wychować. A pedagogicznych talentów nie czuł w sobie za grosz! Władował mu się nagle taki jeden na jezdnię, laźł zygzakiem wygrażając całemu światu, beztroski jak święta krowa. Sierżant Fidybus docisnął gaz i zahamował z piskiem opon „na styk” z pijakiem. „Święta krowa” uskokzyła przerażona, a Fidybus usłyszał gwizdanie. To kolega ze służby ruchu wzywał go do zjechania na bok.

– Obywatel nieostrożnie jechał. Mógł być wypadek. A gdyby tak hamulce zawiodły?

– A ten pijak to w porządku, tak? Jemu wolno wlaźić człowiekowi pod samochód? – wdał się w całkiem prywatną wymianę zdań sierżant Fidybus. Młody plutonowy rozejrzał się, ale pijaka już dawno nie było na horyzoncie.

– Ja rozumiem, ale ja nie jestem od pijaków – powiedział z dumą. – Przyjadą koledzy radiowozem, to go zdejmą. A

obywatel niech uważa lepiej na pieszych. Daruję, bo obywatel nietutejszy.

– Żeby cię pokręciło, baranie! – zaklął Fidybus, kiedy już plutonowy nie mógł go usłyszeć. – Od pijaków nie jest! Nie jego resort, psiakrew! – i za zakrętem znów wystraszył następnego pijaka. Sam regulował hamulce w swojej „cytrynie” i wiedział, że nie zawiodą.

Na Stalipalskiej przestał polować. Jechał uważnie, odczytując nazwy przecznic. Skręcił po kawaleryjsku tuż przed samym nosem tramwaju i zatrzymał się przed obskurną, przedwojenną kamienicą. Tu mieszkali Rosiakowie.

Spodziewał się kobiety przystojnej, ale w całkiem innym stylu. Otworzyła mu drzwi piękność milcząca, posągowa. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu, rysy regularne, może nawet zbyt regularne. Lodowate...

– Czy pani Rosiakowa? – upewnił się, bo dziwnie nie pasowały do niej określenia w rodzaju „lafirynda”, „lalunia”, i „dobry numer”. Pomyślał, że mówiły więcej o ludziach, którzy ich używali, niż o niej samej.

– Tak, to ja. Słucham pana?

Miał zamiar powtórzyć schemat, jaki stworzył dla Marioli, ale zrezygnował. Z tą kobietą żadne gierki nie wydawały mu się właściwe. Wyciągnął legitymację.

– Jestem z milicji.

– W porządku – na legitymację nawet nie spojrzała. – Spodziewałam się. Pan wejdzie czy mam się ubrać i pójść z panem?

– Pani już wie o morderstwie? – sierżant niełatwo dawał się zaskoczyć, ale też nie często zdarzali mu się ludzie gotowi dać się aresztować na sam widok milicyjnej legitymacji.

– Tak, mąż telefonował. No cóż, istotnie jestem główną podejrzaną.

– Tak pani uważa?

– A pan nie?

Było coraz trudniej. Spocił się. Wiedział, że czegoś nie wie. Ważnego.

– Nie zaprosiłaby mnie szanowna pani do salonu? Zdaje się,

że nie skończymy tej rozmowy w korytarzu. Jak pani widzi, nie mam nakazu aresztowania.

– Przepraszam. Co prawda nie mamy salonu, ale porozmawiać możemy również tutaj – otworzyła drzwi do małego pokoiczku wygoszpodarowanego najwyraźniej ze służbówki lub wielkiej kuchni. – Napije się pan kawy?

– Chętnie. Pomogę pani – poszedł za nią do kuchni. Mieszkanie też nie było takie, jakiego się spodziewał. Wszyscy mówili przecież o doskonałych zarobkach Rosiaków. Oboje byli lekarzami weterynarii. On miał prywatną praktykę, był autorem paru książek, pracował naukowo, ona pozostawała w ścisłym kontakcie z telewizją. Poznał jej regularne rysy, które dwa razy na miesiąc oglądały dzieci całego kraju w audycji „Leczmy nasze zwierzęta”. Mieli tylko jednego syna i chyba żadnych innych obowiązków. A jednak to mieszkanie było wręcz ubogie. Mała, przedpotopowa lodówka, tanie kretonowe firanki na oknach, najprostsze, drewniane meble, jakie można było kupić w MHD dwadzieścia lat temu. Usiedli z kawą w fotelach. Sierżant Fidybus poczuł, że sprężyny wpijają mu się w siedzenie.

– Niech mi pani opowie teraz po swojemu, jak ta cała sprawa wygląda w pani pojęciu – zaczął chytrze. Spojrzały na niego zimne, niebieskie oczy.

– Po co?

– Szanowna pani – już odzyskał kontenans, nie przejął się niepowodzeniem – śledztwo to śledztwo. Prowadzący mają swoje różne chimery i czasem nawet wiedzą, po co to robią.

– Proszę o konkretne pytania. Nie wiem, co mam panu opowiedzieć „po swojemu”.

Ba, ja też nie wiem – pomyślał sierżant, a głośno powiedział:

– Zaczniemy może od dnia zabójstwa. Co pani robiła wtedy. Od rana.

– Rano pracowałam, jak każdego z tych dni, w rezerwacie.

Fidybus niespokojnie poprawił się na krześle. Jakie dni, jaki rezerwat?

– Skończyliśmy o 16-tej. Zapakowałam próbki i poszłam na dworzec. Pociąg miałam o 16.55 a o 17.10 byłam w Łopatowie.

Pociąg do domu miałam dopiero o 20.45 – sierżant Fidybus rozumiał już wszystko, włącznie ze zdenerwowaniem Rosiaka, jego nagłymi napadami gadatliwości, agresywnym sposobem bycia i niespodziewaną lojalnością. Trzeba przyznać, że kluczył zrećcznie naprowadzając ich na różne drobne, fałszywe albo nawet nie fałszywe, ale za to całkiem nieistotne śladziki. Natomiast ona przyjęła zupełnie inną metodę. Tylko dlaczego oni tego nie uzgodnili, do licha!

– I ten fakt uważa pani za dostateczny, żebym się wygłupił i założył pani kajdanki, tak?

Spojrzała na niego odrobinę zaskoczona.

– Oprócz pani w Łopatowie było w owym czasie prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy dorosłych ludzi, zdolnych zamordować obywatelkę Sarnawiecką. Wszystkich ich mam pozamykać?

– To już pana sprawa. Ja miałam motyw i sposobność. Dostateczną ilość czasu do popełnienia morderstwa. A o tym, że nienawidziłyśmy się z teściową, też chyba pan wie? – skinął głową. – Alibi nie mam. Chodziłam po sklepach, dopóki ich nie zamknęli, potem wypiliśmy kawę w „Gwiazdeczce” i poszłam na dworzec.

– I miała pani drugi klucz od mieszkania teściowej?

– Klucza nie miałam. Po co? Sądzi pan, że ona by mnie nie wpuściła? A, mniejsza o to! W sumie cieszę się, że ta kobieta nie żyje. Marek będzie cierpiał przez jakiś czas, ale wreszcie osiągnie spokój. Ciekawe... kto jej tak mocno nienawidził? I kto się na to zdobył?...

Nie pytał o jej stosunek do teściowej. Sama powiedziała „cieszę się, że nie żyje”. Po co to mówiła? Ciągłe takim samym, beznamiętnym, ładnie modulowanym głosem. Jej ruchy były powściągliwe i pełne gracji. Jeśli jest winna, to gra w sposób niebanalny, kierując na siebie wszystkie podejrzenia. Jaki atut ma w zanadrzu? Bo przecież coś mieć musi. Jeśli naprawdę popełniła zbrodnię, niełatwo będzie jej to udowodnić...

– Skąd ta nienawiść między panią i teściową? Od kiedy?

– Od początku. Od pierwszego spojrzenia. Formalnie pretekstem był mój syn. Nigdy nie miałam ślubu z jego ojcem.

On nawet nie wiedział, że urodziło mu się dziecko. I tego właśnie moja teściowa nie potrafiła zrozumieć. Ani ślubu, ani nawet alimentów – uśmiechnęła się blado. – To było nie do wybaczenia... Teściowa zmobilizowała całą swoje energię, żeby nie dopuścić do małżeństwa z „dziwką”. Dzięki tej kobiecie przeżyłam parę lat upokorzeń i nerwowego napięcia, a mój syn zetknął się z brutalnością, chamstwem i nienawiścią, jaka powinna mu być jeszcze na razie oszczędzona. Ot, choćby taki wypadek: Marek prosił, żebyśmy pojechali do matki we troje, że trzeba jej pokazać małego, że dziecko może ją dobrze usposobi. Nie liczyłam na serdeczność, ale liczyłam na zachowanie pozorów. Tymczasem ona kazała mi wyjść ze swego domu. Otworzyła na oścież drzwi, wykrzykiwała głośno rysztokowe wyrazy. To było upiorne. Chciałam zerwać z Markiem, ale on zerwał z domem. W tym momencie jego matka przegrała. Wzięliśmy ślub. Marek jeździł jeszcze parę razy do niej próbując załagodzić sytuację, ale wracał coraz bardziej zdenerwowany. Jedyne, co ją mogło usatysfakcjonować, to jego rozwód. Dzień, w którym Marek to zrozumiał, był jego ostatnim dniem w Łopatowie. Nigdy się tam więcej nie pokazał. Mogłam być spokojna o naszą przyszłość. Jego matka nie mogła już nam zagrozić. Jak więc pan widzi, właściwie teraz nie miałam już powodu do morderstwa. Niemniej, jak wspomniałam, cieszę się, że ona nie żyje. Nigdy nie zapomniałam tego, co zrobiła mnie i memu synowi. Gdybym miała szansę popełnić zbrodnię doskonałą, chętnie bym ją zamordowała kilka lat temu osobiście, ale jej życie nigdy nie wydawało się warte ani jednego dnia mojej wolności.

Sierżant Fidybus patrzył na tę kobietę zafascynowany. Jej pragnienie wygadania się było widoczne. Zaczęła – może pierwszy raz – i musiała mówić. Ale filiżanka z kawą nawet nie drgnęła jej w palcach. Na twarzy nie było śladu wzburzenia. To, co mówiła, było logiczne, ale tylko na pozór. „Marek będzie miał teraz spokój” powiedziała na początku, a potem usiłowała przekonać sierżanta, że ten spokój został już dawno osiągnięty. Fidybus sięgnął do kieszeni. Namacał kartkę papieru, która

mogła mieć w tej rozmowie decydujące znaczenie.

– Kiedy mąż pani był u matki po raz ostatni?

– W maju zeszłego roku.

– Czy to jego pismo? – położył na stole zmiętą kartkę. Było na niej tylko parę zdań skreślonych dużymi, kanciastymi literami. Początek brzmiał: „Nie musisz pisać do pracy. Agnieszka, w przeciwieństwie do Ciebie, nie czytuje cudzych listów...” List nosił datę 10 lipca... Agnieszka Rosiakowa wpatrywała się w niego dłużej, niż wymagało przeczytanie tych paru słów. Wreszcie podniosła wzrok. Nie było w nim poprzedniego spokoju i opanowania.

– Tak. Jego.

– To było w torebce zamordowanej.

– Nie wiedziałam... – wydawała się zaskoczona i bardzo przygnębiona. – Związki krwi bywają silniejsze, niż myślałam. Ale w tej chwili to już nie ma znaczenia... Ach, rozumiem! Dopiero teraz ma znaczenie! – zgubiła się, zaczęła gwałtownie szukać papierosów. – Ale ja naprawdę nie wiedziałam o tym liście. Czy... Czy on tam był?

– Pani mąż? Owszem.

– Nie wiedziałam... I pan sądzi, że ja się zorientowałam, że mój mąż potajemnie utrzymuje stosunki z matką, bo nie wykluczone, że wytrząśnie pan z rękawa jeszcze parę takich liścików, a więc zorientowałam się i postanowiłam w tym skończyć – sierżant nie zaprzeczył. – Zdaje się, że będę musiała porządnie się bronić...

– Sądzę, że tak. Że będzie pani musiała się bronić.

Milczała. Nie powiedziała, że to brednia, nonsens, jak mówią zwykle podejrzani. Milczała i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

* * *

Ta rozmowa była przecież dla niej ważna, a mimo to nie mogła się powstrzymać od zerkania na zegarek. A więc istniała jakaś sprawa ważniejsza. Albo wiążąca się z tamtą... Ustawił wóz tak, żeby widzieć nie będąc widzianym, i postanowił

poczekać. Nie minęło pięć minut, jak wybiegła z bramy z dużą, pustą, torbą. Zamieszana w morderstwo, może nawet podejrzana, myślała tylko o tym, żeby zrobić zakupy? Nie uwierzył. Trzasnął drzwiczkami samochodu i podążył za nią.

Nie szła w stronę miasta. Za rogiem ulicy zaczynały się ogródki działkowe i tereny ZOO. Pchnęła skrzypiącą furtkę i znalazła się za ogrodzeniem. Sierżant przystanął. Widział doskonale dróżkę, którą szła, widział, gdzie skręciła. Dopiero po chwili ruszył za nią.

Pomiędzy niewielkimi, ukwieconymi działkami była jedna większa solidnie ogrodzona. Przy siatce spacerował bocian z usztywnionym skrzydłem. Wylegiwały się na słońcu dwa psy. Jeden zdecydowanie przypominał lisa, drugi miał krzepki kadłub, krótką sierść i krzywe, mocne łapy basseta, a mordę buldoga. Sierżant cofnął się, bo oba patrzyły na niego czujnie, gotowe w każdej chwili podnieść alarm. W głębi działki stał barak. Obok niego kręcił się mały, może dziesięcioletni chłopiec, Agnieszka Rosiakowa przy jego pomocy opatrywała nogę małego jelonka. Zawrócił dróżką, naprzeciw szła mu starsza pani z grabkami.

– Przepraszam – zagadnął najuprzejmiej, jak umiał. – Zdaje się, że coś pomyliłem. Tu są jeszcze tereny ogrodu zoologicznego, prawda? Bo widziałem jelonka za ogrodzeniem.

– Ach, nie – uśmiechnęła się siwa pani, wyglądająca na osobę rozmowną i życzliwą. – To pewno działka doktorostwa Rosiaków. Tam są różne zwierzęta.

– Jak to, w ogródku? To tu każdemu wolno sobie trzymać jakąś dziką zwierzynę? Przecież to może narobić szkody! – udał oburzonego. – Może zniszczyć owoce, kwiaty.

– Nie, one są za zagrodą. To takie prywatne schronisko państwa Rosiaków, czy jak by to nazwać. Ludzie im czasem przywożą jakieś chore, znalezione zwierzęta. Oni leczą, znajdują potem dla nich miejsce albo odwożą do lasu.

– Z jakich funduszy utrzymuje się to schronisko?

– Funduszy? Pan żartuje! Po prostu Rosiakowie nieźle zarabiają i mogą sobie pozwolić na takie kosztowne hobby. Zresztą my im wszyscy trochę pomagamy. O, widzi pan –

pokazała torbę – ja też niosę im stary chleb dla konia. Ale pan zdaje się tu czegoś szuka?– Tak, działki państwa Kowalewskich – podał pierwsze lepsze nazwisko – ale już się zorientowałem. To jest z drugiej strony.

– Wejście od Literackiej? Tak, tam mają trochę działek ci z ochrony przyrody. Ale może pan tam przejść również nie wychodząc z terenu. O, tam, właśnie obok tej drucianej siatki, gdzie widział pan jelonka.

Bardzo mu to odpowiadało. Pożegnał miłą panią i ruszył we wskazanym kierunku. Agnieszka Rosiakowa właśnie wyprowadzała z szopki rower.

– Mama! – wołał za nią chłopiec. – I kup dla mnie zeszyt cienki w kratkę!

Mógł się domyślać, że nie tylko zeszyt był celem wyprawy Rosiakowej do miasta, więc nie spieszył się z odwiedzinami. Obejrzał sobie teren z różnych stron, poza chłopcem nie spostrzegł tam nikogo. Tylko z różnych kątów wynurzały się coraz nowe psy i po chwili zaczął się koncert na kilka głosów. Nie było sensu dłużej się ukrywać. Zadzwoił do furtki.

– Pan do kogo? – chłopiec nie otworzył od razu. – Do taty czy do mamy?

– Ja po psa. Chciałbym sobie wybrać jakiegoś.

– A do czego panu pies? Do budy?

– Nie, raczej do towarzystwa.

– Ale teraz nikogo nie ma. Jestem sam. Ja nie mogę wydawać psów, a mama pojechała po kości. Nie wiem, kiedy wróci – chłopiec był wyraźnie zakłopotany, ale chętny do rozmowy.

– Wcale nie muszę go zaraz wziąć. Chciałbym sobie tylko z nimi pogadać, obejrzeć. Rozumiesz chyba, że pies do towarzystwa to nie może być byle jaki pies. Ja się muszę jemu spodobać, a on mnie.

Sierżant Fidybus traktował zwykle dzieci poważnie i na ogół robiło to na nich dobre wrażenie.

– Rozumiem. Ja nawet mógłbym panu coś doradzić... – z pewnym ociąganiem otworzył furtkę. – Najlepiej tego – wskazał buldogowato-bassetowego mieszańca. – On jest

bardzo inteligentny, ma dobry charakter i da się lubić.

– Chyba jeszcze pokażesz mi inne, bo, prawdę mówiąc, urodziwy to on nie jest...

– Pan też – chłopiec patrzył na sierżanta z powagą – nie jest urodziwy, a ja chyba mógłbym pana polubić...

Fidybus szczerze rozbawiony poszedł za chłopcem. Dowiedział się już wszystkiego, czego potrzebował się dowiedzieć o rodzinie Rosiaków, i właśnie zaczął się serio zastanawiać, czy w jego samotnym życiu nie znalazłoby się miejsce na jakieś przyjazne zwierzę, kiedy zadzwieczał rowerowy dzwonek i stanęła przed nim Agnieszka Rosiakowa. W jej oczach była wściekłość.

– To pan! Nawet tu musiał pan przyjść szpiegować!

– Mama – usiłował wyjaśnić sytuację chłopak – ten pan przyszedł po psa. Może weźmie Barego.

– Przesłuchał pan już mego syna? – Rosiakowa nie zwracała uwagi na małego. – Zrobił pan wszystko, co panu kazano? Więc proszę stąd wyjść! Natychmiast! Jeśli uznacie, że jestem winna, to będę odpowiadać na pytania u was w komendzie, ale tu jestem u siebie i tu chcę mieć spokój!

– Pani się myli – powiedział sierżant najspokojniej, jak umiał. – W tej chwili jestem tu jako osoba prywatna i chcę wziąć od państwa ze schroniska psa. Nie wolno?

– Nie, panu nie wolno! Panu nie powierzę żadnego żywego stworzenia. To nie zabawka. Ani pomoc w prowadzeniu śledztwa. Nie wiem, do czego pies miał panu służyć, ale go pan nie dostanie. A teraz proszę wyjść. Mamy porę karmienia.

– Ostra z pani dziewczyna – sierżant Fidybus z przyjemnością patrzył w twarz Agnieszki pozbawioną swojej zwykłej, chłodnej maski. Była prawdziwie piękna w tej złości. – Ale to nic nie pomoże. Ja już się dowiedziałem tego, czego chciałem, więc czy wyjdę natychmiast, czy za pięć minut, z psem czy bez, to nic nie zmieni. A pies przegra. Miałby dom, a tak...

– Mama, no mama! – chłopiec ciągnął Rosiakową za rękaw pełen rozpacz. – Jak ten pan Barego nie weźmie, to już chyba nikt go nie weźmie! Ja już go prawie namówiłem!

– Za co pani tak nienawidzi ludzi?

– Za ich wścibstwo, wsadzanie nosa w nieswoje sprawy, za fałsz, hipokryzję, za posługiwanie się dziećmi i zwierzętami do swoich brudnych celów – padła natychmiastowa, nie pozbawiona nader oczywistych aluzji odpowiedź.

– Pewnie to jeszcze nie koniec litanii, ale dla mnie wystarczy. Mogę wziąć kilometr tego czegoś długiego na krzywych nogach. A jak pani tak poważnie zwierzęta traktuje, to niech go pani spyta, czy chce ze mną iść. Ja go wezmę bez sznurka. Jak pójdzie, to dobrze, nie, to nie.

– A co pan z nim zrobi, jak się panu znudzi? – ochłonęła, poprawiła włosy.

– Odwiozę pani z powrotem i przyznam rację, ale chyba warto spróbować. Chodź! – gwizdnął sierżant. – Będiesz się nazywał Kilometr.

Pies spojrzął na Agnieszkę, na chłopca, zastanowił się i ruszył za nowym panem. Być może, on też uznał, że warto spróbować.

* * *

Każdy szanujący się detektyw uczestniczy w pogrzebie ofiary zabójstwa. Niewidzialny, dyskretny kluczy między grobami, zagląda sokolim okiem w twarze uczestników, szuka tego, kogo przywiódł tu tajemniczy imperatyw. Podporucznik Karbolek traktował swoją pracę bardzo poważnie, toteż nie mogło go zabraknąć na pogrzebie nieboszczki Sarnawieckiej, choć wietrzny, zimny dzień bynajmniej nie usposabiał do kluczenia wśród wybujałej roślinności cmentarza, a godziny pracy dawno się już skończyły. Stał jednak pod wierzbą nieopodal i obserwował zgromadzoną rodzinę, która właśnie ustawiła się wokół trumny. Pierwsi podeszli do niej Sarnawiecki z Krystyną. Szli szybko, w nogę, niemal marszowym krokiem. Ich podobieństwo było uderzające. Mieli oboje na twarzach taki sam wyraz urzędowej powagi, pod którą nie wiadomo co się kryło. Krystyna trzymała ojca pod rękę, przytulona do niego ufnie. Czasem zamienili ze sobą szeptem parę słów i wtedy ich twarze mimo woli jaśniały powściągliwymi uśmiechami.

Wyglądało na to, że odnaleźli się dopiero tu, na tym pogrzebie, i nigdy już siebie nie zgubią.

Za nimi szli Lolek i Marek. Kłócili się ciągle. Szeptem, ale zawzięcie. Marek sadił naprzód długimi zamaszystymi krokami, które trudno było dostosować do pogrzebowego rytmu. Zwalniał więc co chwila, dreptał w miejscu, a wtedy doganiał go brat na swych pulchnych, krótkich nóżkach i gestykulując żywo biegł przez jakiś czas obok. Potem historia powtarzała się od początku.

W trzeciej parze kroczyli państwo Solniccy. Ubrani na czarno od góry do dołu wyglądali na ludzi najgłębiej dotkniętych przez los, toteż nic dziwnego, że do nich właśnie zwróciło się w sprawie zapłaty za wykopanie grobu czterech osiłków z łopatami. Powstało małe zamieszanie, gdyż pan Solnicki nie był pewien, kogo ma wskazać jako ewentualnego płatnika, ale sprawę szybko załatwił Rosiak. Nie okazał się chyba jednak zbyt hojny, bo łopatomu nie mieli min zachwyconych, a ze strony Lolka musiała paść jakaś kąśliwa uwaga, bo Marek przez sekundę wyglądał, jakby miał ochotę rzucić się z pięściami na brata. Podporucznik Karbolek wyciągnął szyję, poprawił się na swoim obserwacyjnym punkcie, ale sprawa rozeszła się po kościach. Rosiak demonstracyjnie odwrócił się do brata plecami i wsadził ręce w kieszenie. W tej niestosownej, nonszalanckiej pozie dotrwał do końca pogrzebu.

Oprócz rodziny i Solnickich było tu tylko parę wiekowych uczestniczek wszystkich tego typu uroczystości, kruchych, wiotkich, maleńkich, które można było z góry wykluczyć z grona podejrzanych. Zbiły się w kupę na ostatnim miejscu i przymierzały bez wielkiej chyba satysfakcji do tego skromnego pogrzebu.

Kiedy złożono już wieńce i kwiaty, podporucznik uznał, że może wystąpić. Po namyśle uznał, że najzręczniejszym będzie złożyć kondolencje Sarnawieckiemu jako, formalnie rzecz biorąc, wdowcowi, po czym należało zawiadomić ich wszystkich, że mają się zgłosić u niego w komendzie dla podpisania zaprotokołowanych zeznań. Tylko czy wypadało o tym mówić w takiej chwili? Przecież to wysoce nietaktowne! Na szczęście

Rosiak wybawił go z kłopotu.

– Czy możemy już wracać do siebie, poruczniku? Wieczorem mam pociąg.

– Ja też bym już musiał pojechać... – przyłączył się Sarnawiecki.

– Oczywiście, tylko przedtem proszę do komendy w celu podpisania zeznań. Natomiast o każdorazowym wyjeździe z miejsca stałego zamieszkania proszę mnie zawiadamiać. Do zakończenia śledztwa.

– Jesteśmy pod kontrolą? Co to ma znaczyć! ? – obruszył się Lolek.

– Taka jest procedura – zignorował jego oburzenie Karbolek.

– Na razie to byłoby wszystko. Tylko pan – zwrócił się do Rosiaka – pozwoli ze mną. Mam jeszcze kilka pytań.

Podporucznik był już po telefonicznej rozmowie z sierżantem Fidybusem i miał wreszcie okazję, żeby zademonstrować swoją przewagę nad irytującym okularnikiem. Kiedy siedli naprzeciw siebie w komendzie, Karbolek przez długą chwilę milczał delektując się widokiem źle maskowanego niepokoju Rosiaka.

– Odczytam panu fragment pańskich zeznań, który budzi moje wątpliwości. Czy nie zechciałby pan tu czegoś sprostować? – odezwał się wreszcie. – Jeszcze jest czas... – Rosiak milczał. – „Tego popołudnia pracowałem cały czas w domu, w swoim pokoju. Może to potwierdzić niestety tylko moja rodzina, co dla panów...” No tak to nie należy do sprawy... Dalej... Aha! „Nie wychodziłem ani na chwilę. Syn odrabiał lekcje w holu. Gdzie była moja żona, nie zwróciłem uwagi. Spać położyłem się około godziny 12.30, również u siebie, na amerykance”. Nie jadł pan kolacji?

– Jadłem. Około ósmej albo dziewiątej.

– Z kim?

– Sam.

– Mimo że rodzina była w domu?

Rosiak milczał. Karbolek też. Sierżant zdążył dogadać się z synem Rosiaków. Chłopiec nie był wówczas w domu i nie odrabiał lekcji.

– Podpisze pan ten protokół?

- Tak.
- Niech pan tego nie robi. Radzę panu.
- Dlaczego?
- Ponieważ i pan, i ja doskonale wiemy, gdzie tego dnia była pańska żona...

* * *

Od przyszej żony Sarnawieckiego sierżant niewiele się dowiedział. Przestraszył ją tylko swoim wieczornym najściem zapomniawszy, że w puszczy dzień kończy się po zachodzie słońca. Legitymacja milicyjna, długo oglądana przez kobietę, przekonała ją co prawda, że to nie bandyta składa jej nocną wizytę pod nieobecność męża, ale nie pozbawiła nieufności. Leśniczyna otworzyła drzwi, a usta zamknęła. Kiedy doczytała się, skąd sierżant przybywa, z jakiego miasta, kiedy skojarzyła to sobie z wezwaniem, jej twarz zakrzepła w maskę bez wyrazu. Na wszystkie pytanie odpowiadała: nie wiem.

– Jak pani może nie wiedzieć, czy było ciemno, kiedy mąż wrócił z lasu, czy widno? – pytał po raz n-ty zniecierpliwiony sierżant.

- Nie wiem. Sprzątałam, nie patrzyłam przez okno.
- Światło się paliło?
- Nie wiem, nie pamiętam.
- Krowy były podojone?
- Nie mamy krowy.

I tak dalej. Przyjęła postawę kompletnej nieświadomości przekonana, że jej pan i władca jest najmądrzejszy na świecie i poradzi sobie z władzą, a ona, ze swoim małym babskim rozumem, może mu tylko coś niechcący popsuć i zaszkodzić. Kiedy dowiedziała się w końcu, że chodzi o morderstwo, jej stosunek do sprawy też się nie zmienił. Za niewinność Sarnawieckiego nie dałaby dwóch groszy. To było widać, ale wydawać się mogło, że nie jest to dla niej najważniejsze. Zabił czy nie zabił, ale był jej i chodziło tylko o to, żeby nie trafił do więzienia. Tylko o to walczyła i Fidybus zrozumiał, że nie nie wskóra. Na torturach i przez sen kobieta umiałaby teraz

jedynie powiedzieć: nie wiem.

Sierżant wściekły wyszedł przed dom. Księżyc stał nad lasem. Gadała ciemność. Odwalił kawał roboty. Z różnymi rezultatami, ale wszystko, co było zaplanowane. Jutro niedziela... Siadł za kierownicą i ruszył drogą w głąb lasu. Wiedział, czego szuka, ale dawno tu nie był i mógł już tej drogi nie znaleźć. Zamiast znajomych, starych drzew straszły gołe poręby. W końcu trafił nad rzeczkę. Po kładce z pnia zrobionej przebiegło coś małego i poszło w ciemność. Fidybus wyciągnął z bagażnika namiot, sięgnął po spirytusową kuchenkę, rozpałił, postawił wodę i siadł z papierosem na złożonym namiocie szykując się do ciężkiej pracy. Namiot był stary, jeszcze z wojny, nic w nim nie pasowało, nie składał się i nie rozkładał bez oporów. Ale sierżant w głębi ducha był sentymentalny, więc łątał rozłazącą się starzyznę, strugał coraz nowe kołki, wiązał pękające linki i ciągle nie mógł się zdobyć, żeby to wyrzucić.

Siedział, kopcił śmierdzącego sporta, skażał atmosferę i patrzył na wodę, w której odbijał się księżyc. Żółty, pełny okrągły... Żółty okrągły! Coś mu to przypominało! Co? Żółte kółko... Coś z nim było... Żółte kółko... Pluszowe! Wałek od kanapy, na którym złożył skolataną głowę po wypiciu odrobiny piorunującego trunku podczas pamiętnej nocy w mieszkaniu Sarnawieckiej. Ten wałek miał po obu stronach zakończenie w postaci okrągłych, płaskich nakładek wielkości dłoni. Taką właśnie nakładkę nocna zjawia usiłowała oderwać... Nic innego jej nie interesowało. Tylko to.

Zaklął szpetnie, wylał wodę, zgasił prymus i wrzucił cały dobytek znów do samochodu. Jechał z powrotem głodny i zły. Dusił gaz do dechy, skakał jak piłka po wyboistej drodze. Na szczęście w leśniczówce jeszcze się świeciło. Zapukał w okno. Nie od razu odsłoniła. Kiedy wreszcie zobaczył za szybą jej twarz, była zapuchnięta od płaczu.

– Muszę zatelefonować! Przepraszam, ale koniecznie muszę. Do województwa.

– Kiedy centrala nieczynna!

– Szlag by to!... A na posterunek tutejszy można? Nie macie z posterunkiem stałego połączenia?

– Nie. Tylko do straży można.

– Do straży! Spytać, czy dziś zabawa w remizie? Cholera!
Dobre i to!

Długo trzymał słuchawkę. Dyżurny strażak miał widać mocny sen.

– Co jest? Pali się? – ujawnił się wreszcie jako człowiek z osobliwym poczuciem humoru.

– Tak.

– Jezus Maria! Las!

– Jesteście przytomni?

– Gdzie? Ja... Tak jest! Już wydaję dys...

– Nic nie wydawać! – ton był zdecydowany i autorytatywny.

– Nigdzie się nie pali. Słuchajcie mnie uważnie. Macie kartkę, ołówek?

– Tak! Nie. A kto...

– Przynieście. Szybko!

– Tak jest! Wala! – zaszemrało w przysłoniętej słuchawce. –
Podaj. Tu, w szufladce!... Niech będzie zeszyt! Ale kto mó...

– Macie? Dyktuję: Do Komendy Wojewódzkiej MO w Łopatowie, podporucznik Janusz Karbolek. Tekst: Mieszkanie zostawić zabezpieczone, rodziny nie wpuszczać. Podpis: Fidybus. zapisaliście? Teraz pošlijcie kogoś biegiem na posterunek MO i powiedzcie, żeby natychmiast przekazali to do Łopatowa. Aha, kto przyjął?

– Strażak dyżurny Stanisław Pyzia, obywatelu... – tu nastąpiła króciutka chwila wahania – obywatelu kapitanie! – dokończył Pyzia dając tym wyraźny dowód swej inteligencji. Wiadomo bowiem, że człowiek który rozkazuje podporucznikowi, musi być conajmniej porucznikiem, ale nie daj Boże nazwać porucznikiem kogoś, kto już się dosłużył kapitana.

– Dziękuję – powiedział łaskawie sierżant Fidybus. – Spieszcie się. Czekam w leśniczówce na meldunek, jak załatwiliście sprawę.

Odłożył słuchawkę i zadowolony oparł się o ścianę. Przy pomocy niezawodnej i wielokrotnie sprawdzonej metody zaskoczenia został kapitanem i zamierzał nim na razie

pozostać. Karbolek może się poczuje urażony nieco kategorycznym tonem depeszy, ale jak to miało wyglądać, żeby podziałało na strażaka? Wyjaśni się chłopcu, o co chodzi. Zrozumie. Chyba dostanie telefonogram wczesnym rankiem. Nie zdąży ich wpuścić. Nie zdąży, miejmy nadzieję! Bo właściwie po co im ten dom? Rosiak i Sarnawiecki zaraz wyjadą po pogrzebie, Lolek też. Tylko ta mała, zbuntowana... przygarnie ją chętnie Solnicka. Stworzy sobie przez taki gest opinię osoby wielkodusznej i będzie trzymać rękę na pulsie wydarzeń. Tylko że ta smarkula nie da się przygarnąć. Nie zagra roli żalostnej sierotki. Co ona właściwie teraz zrobi? Tylko ona jedna prawdopodobnie nie ma jeszcze własnego życia...

Strażak nie dzwonił, głowa ciążyła. Kobieta leśniczego zostawiła go niby samego przy aparacie, ale czuł jej obecność za kotarą. Podsluchiwała i miała rację. Wszystko mogło być ważne. Przecież dzięki tej śmierci znalazła się tak blisko swego szczęścia.

Zadzwoił telefon.

– Obywatelu kapitanie, melduje się starszy sierżant Fudala, komendant gminnego posterunku MO w Rowkach. Melduję, że przekazaliśmy tekst natychmiast. Przyjął dyżurny kapral Godzikiewicz. Powiedział, że on natychmiast przekaze na prywatny telefon tego podporucznika nie czekając ranka i że prosi o przekazanie obywatelowi kapitanowi serdecznych gratulacji od całej komendy z powodu awansu.

– Dziękuję – omal nie zaklął głośno. – Wykonaliście wszystko, jak należy. Być może powodzenie tej sprawy będę zawdzięczał waszej operatywności – pełne zażenowania chrząkanie po drugiej stronie upewniły Fidybusa, że przełożeni sierżanta Fudali nie byli zbyt hojni w pochwałach i nie szafowali wyrazami uznania, których rowkowski komendant, jak widać, bardzo był spragniony... A więc wiadomość doszła. Oby się na coś przydała. Godzikiewicz pęka ze śmiechu i gratuluje zapewne spieszego awansu. I zbudzi Karbolka o północy, a ten dostanie furii. Kto by nie dostał? Niech dostanie, tylko niech wyrzuci rodzinę, jeżeli ją wpuścił, i niech zapieczętuje tę cholerną chałupę! Dopiero teraz zrozumiał

Fidybus, ile rzeczy przeoczono i jak trudno jest pracować z człowiekiem, który nie ma w małym palcu wszystkich rutynowych czynności związanych z prowadzeniem śledztwa. Dotychczasowa współpraca Fidybusa z poszczególnymi oficerami komendy nie obejmowała kolejnych, obowiązkowych etapów dochodzenia, całej tej żmudnej dłubaniny, w której nic nie wolno przeoczyć. Fidybus był na rozkazy i w ramach tych rozkazów otrzymywał wielką swobodę, z której umiał korzystać. Tymczasem tu powinien na dobrą sprawę przejąć dyskretnie kontrolę całości. Ale wcale nie miał na to ochoty. A Karbolek się gubił... To naturalne. Zrozumiałe...

Zaczęły mu się kleić oczy. Wstał. Szurnał nogą, żeby ostrzec gospodynię, która też mogła zdrzemnąć się na czatach. Miał rację – za kotarą dał się posłyszeć spłoszony tupot. Spojrzał na zegarek – było koło dwunastej, zanim dojedzie, zanim położy się spać, będzie już naprawdę niedziela.

Leśniczyna wypuściła go przez kuchnię, bo od frontu założyła sztaby. Zbiegł ze stromych schodków, skręcił w stronę samochodu i kątem oka zauważył jakby gęściejszą ciemność pod drzewem. Dzięki temu instynktownie zdążył się uchylić, a cios, który miał mu prawdopodobnie zdruzgotać czaszkę, tylko go oszołomił.

– Ty sukinsynu! – usłyszał z oddali męski głos, a potem kobiecy pisk pełen przerażenia.

– Tego nie było w programie... – zdążył jeszcze pomyśleć sierżant – ale skoro jest, to znaczy że... – i pograżył się w huczącą ciemność...

* * *

Podporucznik Karbolek poświęcił cały dzień na usystematyzowanie materiału, po czym wieczorkiem zapowiedział się na wizytę u kapitana Sołdaka, który wrócił już ze szpitala do domu i pędził tam nudny żywot rekonwalescenta pod opieką żony i dwóch córek. Karbolek przekonsultował ze starszym kolegą sprawę zjawiających się ciągle nowych drogocennych przedmiotów po nieboszcze Sarnawieckiej.

Kapitan skłonny był przywiązywać dużą wagę do tych znalezisk.

– Przekonacie się – mówił – że ludzie najczęściej zabijają się dla pieniędzy. W każdym ustroju, pod każdą szerokością geograficzną. Niejednokrotnie dla mniejszych sum niż ta, na jaką można globalnie szacować majątek Sarnawieckiej. Gdybyśmy wiedzieli, ile tego było i czego brakuje, mielibyśmy prawdopodobnie klucz do całej sprawy. A tymczasem nawet nie wiemy, co jeszcze wzięła Solnicka.

Właśnie ostatnim sukcesem podporucznika Karbolka było to, że wzięta w „krzyżowy ogień pytań” Solnicka przyznała się do kradzieży studolarówki, ale nie chciała się przyznać do niczego więcej.

– Odruchowo wzięłam. To leżało koło niej, akurat koło głowy – wyjaśniła.

– Wiedziała pani już wówczas, że sąsiadka nie żyje?

– Broń panie Boże! Zobaczyłam tylko, że ona leży nieprzytomna, w pokoju bałagan, to sobie pomyślałam, że złodzieje byli, a ona zobaczyła, że jest okradziona, i tak się przejęła, że zemdląca. Patrzą, a tu pieniądze leżą na podłodze! No to wzięłam, żeby kto nie ukradł.

– I nie odezwała się pani, kiedy pytałem, czy nikomu nic nie zginęło. Dlaczego?

– No bo mnie nic nie zginęło. Przecież to nie moje było – dama z bezbrzeżnym zdumieniem spojrzała na Karbolka, który znów poczuł się wobec jej osobliwej logiki mały i niezręczny.

Kapitan Sołdak nie zainteresował się koncepcją, według której morderczynią miałyby być Solnicka. Nie wykluczał natomiast możliwości, że przedsiębiorcza sąsiadka przywłaszczyła sobie sporą sumę lub kosztowne przedmioty.

– Trzeba by zwrócić baczniejszą uwagę na jej bezpieczeństwo. Oni wszyscy ciągle jeszcze czegoś szukają. Chyba nikt z nas nie chciałby drugiej zbrodni.

Podporucznik Karbolek zdrętwiał. Nie pomyślał o takiej możliwości. O tym, że przez jakieś jego niedopatrzenie może paść drugi trup. A przecież był zdany tylko na siebie. Nie miał nawet sierżanta do pomocy. Czyżby jego depesza miała

znaczyć, że właśnie takie niedopatrzenie zostało popełnione? Podał telefonogram Sołdakowi.

– Nie wiem, co mam o tym myśleć. Otrzymałem to w nocy jako bardzo pilne. Forma zwracania się niestosowna, a treść...

– Hm, krótko, lapidarnie, jak w depeszy. Nie doszukujcie się tu żadnych objawów lekceważenia – zbagatelizował kapitan, ale w duchu przyznał młodemu oficerowi rację. Fidybus dostał małego rozumu od tej bezkarności. Oj, żeby nie ta noga! Pogoniłby jego sierżanckiej mości kota! – Obrugać go możecie, a z wpuszczeniem rodziny się wstrzymajcie.

– Kiedy ja już oddałem im klucze. Po pogrzebie. Wydaje mi się, że nie było powodu do innego postępowania. Wydaje mi się, że już sporo wiem, tylko jeszcze muszę pewne rzeczy sprawdzić.

Poniedziałkowe rano miało go utwierdzić w tym przekonaniu, ale na razie była dopiero niedziela i podporucznik Karbolek nie wiedział wszystkiego, więc spytał pokornie:

– Czy uważacie, że powinienem ich usunąć?

– Skoro już są, to róbcie, jak uważacie – udzielił cennej rady młodszemu koledze kapitan Sołdak i była to naprawdę jedyna rozsądna rada.

* * *

Ocknął się z okładem na czole. Spod białego ręcznika widział tylko skrawek pokoju. Żelazne ramy łóżka, róg koronkowej serwety, kobiece łydki. Całkiem zgrabne, gładkie, młode. Nad nimi rąbek zielonej spódnicy. Gdzieś widział niedawno kobietę w zielonej spódnicy. Ale gdzie?... Świadomość wracała powoli.

– Jedź po doktora, ja ciebie proszę! To jakiś ważny kapitan od tego morderstwa – słyszał szept. – Nie daj Boże umrze, to wiesz, co będzie. Po co ty jego tym syfonem bił, no po co?

Syfonem!

Sierżant skoczył jak na sprężynie i siadł na łóżku. – Chory jestem – pomyślał – i majacząc na tematy zawodowe.

– Jaki tam kapitan! – przyciszony męski głos wydał mu się znajomy. – Co ty pleciesz, kobito! Twardy ma łeb, nic mu nie

będzie. No, pomyliłem się, cholera. Pomyliłem!

Pomylił się? Co to znaczy? Nie dobił czy niewłaściwą osobę kropnął? Następnym razem już się nie pomyli? Walnie tak, żeby nie było co zbierać! Tylko po co ten okład wobec tego? Po co ten okład?

Nic nie rozumiał. Myślenie sprawiało mu wyraźną trudność. Ale wiedział jedno – trzeba wiać! Kiedy człowiek jest słaby i zdany na łaskę ludzi, których intencji nie zna, najlepiej jest uciekać. Tylko zdrowy i silny mógłby w tej sytuacji czekać i patrzeć, co będzie dalej. Chory musi uciekać.

Podniósł się na łokciu i klapnął. Zakołowało mu w głowie. Następną próbę przygotował staranniej. Podciągnął się w górę na poduszkach i rozejrzał po pokoju. Jego sweter i spodnie leżały na krześle. Butów nie było. Zamiast nich stały przed łóżkiem kraciaste kapcie z pomponami. Okna były otwarte, drzwi uchylone. Chyba do kuchni. Tam poszli gospodarze. Wszystko to nie wyglądało groźnie. Czy to był głos Sarnawieckiego? A może ktoś inny go rąbnął, a Sarnawiecki się zaopiekował? Nie, przecież to on mówił, że się pomylił, że twardy łeb. Oj, niedobrze! Dziedzic Sarnawiecki – chłop na schwał – jak się nie pomyli, to święty Boże nie pomoże.

Nie mógł trafić w nogawkę od spodni, nie mógł się utrzymać na nogach, oderwać ręki od poręczy łóżka. W końcu zrobił desperacki krok w stronę okna, zatoczył się, odzyskał równowagę, utrzymał pion. W głębi domu albo w jego głowie warczał elektroluks. Żółty citroen stał na podwórku. Sierżant przesadził nogę przez parapet i najszybciej jak umiał podbiegł do samochodu.

Kiedy zapuścił silnik, wybiegli oboje. Machali rękami, ale sierżant strasząc klaksonem kury i gęsi wypadł za bramę. Pojękując na wybojach jechał leśnym duktem w głąb puszczy. Do miejsca, gdzie nie zdążył pobiwakować. Tam coś ważnego mu się przypomniało. Już nie wiedział co. Ale tam. Więc trzeba wrócić na to samo miejsce i pomyśleć.

Nagle zrobiło mu się gorąco. Pot wystąpił na czoło. Wysiadł. Niedaleko był strumyk. Ukląkł, zwlókł się na czworakach na sam brzeg, ale już nie dotarł do wody. Runął w wilgotną trawę i

tak został.

Pies wylazł za nowym panem niepewny, co to wszystko ma znaczyć. Służba u tego człowieka nie wydawała się łatwa. Pies przesiedział noc i pół dnia w samochodzie czekając na właściciela, a kiedy się go doczekał, też niewiele mu z tego przyszło. Pan leżał i żreć nie dawał. Przyzwyczajony radzić sobie samodzielnie, powędrował Kilometr w las. Wrócił z wodnym szczurem w pysku. Położył panu zdobycz koło głowy, ale pan nie reagował.

Kilometr chwilę poczekał, szczeknął nawet zachęcająco, w końcu zaczął sam ucztować. Pan leżał nadal, jakby nie słyszał smakowitego sapania i mlaskania.

* * *

W poniedziałek rano sierżant Fidybus nie stawiał się do pracy, ale podporucznik Karbolek nie odczuł tego zbyt boleśnie. Może nawet był zadowolony. W międzyczasie śledztwo posunęło się o tyle naprzód, wyszło na jaw tyle nowych okoliczności wskazujących niezbitnie na osobę mordercy, że właściwie można było je zamknąć. Głędzenie sierżanta tylko by go rozpraszało. Niemniej zasług podwładnego młody podporucznik bynajmniej nie zamierzał tuszować.

– Bardzo mi pomogło pewne drobne, ale istotne spostrzeżenie sierżanta Fidybusa – powiedział lojalnie na samym początku swojej rozmowy u szefa. – Mianowicie zauważył on, na podstawie zdjęć, że cios został zadany przez osobę znacznie wyższą od denatki, co pomogło mi zawęzić liczbę osób podejrzanych do trzech: Sarnawiecki, Rosiak i Rosiakowa, która do tego chętnie chodzi na wysokich obcasach, daje jej to więc jeszcze dodatkowe trzy, cztery centymetry wzrostu.

– A jakby wskoczyła na stół, to by jej dopiero dało dodatkowe kilkadziesiąt centymetrów – mruknął szef. – No dalej, dalej, nie przerywajcie sobie.

– Motyw zabójstwa miała każda z tych trzech osób. Może oprócz Rosiaka. Sarnawiecki potrzebował rozwodu. Motyw

mizerny, ale jest. Rosiak zwrócił na siebie uwagę składaniem fałszywych zeznań i w ogóle chęcią zagmatwania śledztwa. Mówił dużo, bez sensu, uparcie kierował nasze podejrzenia w stronę mordu rabunkowego. Tymczasem okazało się, że w dniu, kiedy zamordowana została Sarnawiecka, w Łopatowie przebywała Rosiakowa i ona właśnie miała najwyraźniejsze motyw. O nienawiści między synową i teściową wszyscy dookoła wiedzieli, nie było sensu tego ukrywać. Rosiakowa jest sprytna, więc przyjęła wobec sierżanta Fidybusa metodę pozornej szczerości. Tu mam taśmę z jej nagraniem. Sugerowała jednak, że istotnie obopólna niechęć istniała, ale od pewnego czasu teściowa nie mogła mieszać się w małżeńskie sprawy syna. A może obywatel komendant życzy sobie przesłuchać?

Major milcząco skinął głową. Rozległ się chłodny, niski głos Rosiakowej, nieco zniekształcony przez niedoskonałą technikę.

– A więc – triumfował Karbolek – podejrzana rzekomo nic nie wie o kontaktach męża z matką. Tymczasem Rosiak zeznał na ten temat, co następuje – tu Karbolek wyjął stenogram przesłuchania: – „Matka napisała do mnie list, w którym zażądała, żebym przyjechał i zabrał do siebie Krystynę, którą my zdeprawowaliśmy i zepchnęliśmy na złe drogi, więc żebyśmy ją sobie wzięli i chowali. Dostałem ten list na początku tygodnia. Chyba w poniedziałek. Odpisałem, że postaram się przyjechać i żeby matka nie popadała w histerię, bo nie ma potrzeby. Następnego dnia zadzwoniła i nie panując nad sobą krzyczała, że Kryśka zginęła, uciekła z domu, żebym jej szukał przez milicję, oddał do domu poprawczego i tak dalej. Chcąc przerwać tę scenę obiecałem, że na pewno przyjadę w czwartek koło południa i odłożyłem słuchawkę.”

Żona Rosiaka w tym czasie była jeszcze w domu. Sierżant Fidybus wydobyl te informacje od syna Rosiaków Roberta. A więc Rosiakowa mogła usłyszeć tę rozmowę, mogła znaleźć list teściowej. Krótko mówiąc mogła się zorientować, że mąż potajemnie utrzymuje stosunki z matką, które rzekomo uległy dawno zerwaniu. Mogła się poczuć zagrożona.

– Konkrety, konkrety! – przerwał major. – Wy mi tu nie

konstruujcie opowieści psychologicznej. Podawajcie fakty!

– Tak jest, obywatelu majorze. Fakty są następujące. Rosiakowa wyjeżdża służbowo do Łopatowa, a właściwie do rezerwatu znajdującego się o godzinę drogi od Łopatowa. Ale do rezerwatu trafia dopiero następnego dnia rano. Wieczorem nocuje w Łopatowie w hotelu. Po co to robi? Żeby śledzić męża? Sprawdzić, czy istotnie spotyka się z matką? To jeszcze sprawa do wyjaśnienia. Wracam do Rosiaka. Wyjeżdża z domu autobusem pospiesznym w czwartek o 8.26, po wyprawieniu syna do szkoły. Swoją wyprawę Rosiak trzymał w tajemnicy przed żoną. Przyznał się do tego bardzo niechętnie. Ale im bardziej to ukrywał, tym pewniej wzbudził jej podejrzenia. To oczywiste! A teraz proszę posłuchać, obywatelu komendancie, jak przedstawia się sobotni wieczór w zeznaniach Rosiakowej – tu Karbolek znów włączył magnetofon. – Mamy potwierdzenie jej zeznań przez wicedyrektora rezerwatu, który stwierdza, że Rosiakowa była obecna u nich do godziny 16.00 w sobotę. Następnie pożegnała się i poszła sama na dworzec. Nie życzyła sobie, żeby ją dyrektor odwiózł swoim wozem, jak również kategorycznie odrzuciła propozycję wspólnego wyjazdu do Łopatowa i spędzenia tam paru godzin czasu do wieczornego pociągu. Wolą ją jechać sama tą ciuchcią z rezerwatu i czekać kilka godzin na pociąg. Tę rozmowę słyszała sekretarka dyrektora. Mam tu również jej zeznanie. Twierdzi, że Rosiakowa odmówiła w sposób ostry i zdecydowany. A więc można sądzić, że zamierzała zostawić sobie czas na popełnienie morderstwa. A może nie zamierzała początkowo mordować? Może chciała tylko porozmawiać z teściową? Może zbrodni dokonała w afekcie? W wyniku tej rozmowy. To także sprawa do wyjaśnienia. Dużo mamy jeszcze tych spraw – westchnął Karbolek – ale wydaje mi się, że już bardzo jesteśmy zaawansowani. Wiemy, że mieszkanie Rosiakowa znała. Była tam kiedyś. O skrytkach mogła wiedzieć od męża. Stworzyła pozory rabunku. O tym, że teściowa chodzi do Solnickich na telewizję, też mogła wiedzieć od Lolka lub Krystyny, którzy utrzymywali kontakt z Rosiakami. A co najważniejsze – tu Karbolek zawiesił głos jak rutynowany aktor i wypalił – miała

klucze!

Trafił. Major spojrział na niego po raz pierwszy z zainteresowaniem i poprawił się na krześle.

– Pewni jesteście tego swego odkrycia?

– Absolutnie. Razem z tymi zeznaniami dyrektora i sekretarki kapral Masło przywiózł z rezerwatu jej długopis, który tam zostawiła. Potem wzięliśmy jeszcze wypełnioną kartę pobytową z hotelu. Nie ma najmniejszych złudzeń! Na kółku zapasowych kluczy do mieszkania Sarnawieckiej, które znaleźliśmy w szparze podłogi w sieni, znajdują się niewątpliwie ślady linii papilarnych Agnieszki Rosiakowej!

Podporucznik Karbolek skończył i czekał na pochwałę. Może nawet i zezwolenie na prokuratorską sankcję? Tymczasem major rysował na gazecie krasnoludki i milczał.

– No tak – sapnął wreszcie – zbierajcie dalej materiał dowodowy, przesłuchajcie formalnie tę Agnieszkę Rosiakowa, a tymczasem dajcie do mnie Fidybusa.

– Sierżant Fidybus nie stawiał się dzisiaj w komendzie i nie usprawiedliwił swojej nieobecności, ale sądziłem, że to uzgodnione z obywatelem majorem. Szczególnie że w sobotę otrzymałem od niego bardzo szczegółowy raport w sprawie Marioli Hacıur i Agnieszki Rosiakowej, a w nocy z soboty na niedzielę depeszę tej treści przekazaną przez gminny posterunek w miejscu zamieszkania Sarnawieckiego. I nic poza tym. Jak dotąd.

Major spojrział na tekst i zaciął zęby. Co tego durnia podkusiło, żeby używać takiego tonu? Jak do podwładnego! Nigdy tego nie robił. Nigdy nie afiszował się swymi uprawnieniami. Musiało się coś stać. Mikołaj jest potworem niezdiscyplinowania, ale jedno przykazanie ma wbite w mózg do końca życia – kontakt jest sprawą najważniejszą. Jeśli miał wrócić dziś rano, a został, to z końca świata dałby znać. W jakikolwiek, najdziwniejszy sposób. Jeżeli żyje...

Bzdura! Zapisał się, zabradziażył! Liczy na bezkarność, na stare sentymenty. Ale się przeliczył! Niech tylko wróci! Niech wróci, sukinsyn!

Podporucznik Karbolek nie miał pojęcia, dlaczego szef

spojrzał na niego nagle złym wzrokiem i warknął:

– Czego jeszcze tu siedzicie? Możecie odejść!

* * *

Obudził go smród. Słońce szło za wierzchołki sosen, od rzeczki ciągnęło wilgocią. Leśne powietrze powinno być świeże i pachnące, ale przy twarzy sierżanta Fidybusa leżały jakieś ochłapy, od których szedł fetor straszliwy. Za ochłapami, na tle krzaków siedział Kilometr i walił radośnie ogonem o ziemię.

– Kolację mi przyniosłeś? – spytał sierżant. – To ładnie z twojej strony, ale zjedz sam, stary. Nie krępuj się, ja nie jestem głodny.

To nie była prawda. Łeb bolał, gnaty też, ale w sumie Fidybus czuł się dużo lepiej i kiszki grały mu marsza jak zdrowemu. Wstał nieco chwiejnie, przejrzał się w lusterku od samochodu i splunął z niesmakiem. Plaster krwi zmieszanej z włosami zasechł nad czołem, wąs sterczał jak stara miotła, obfity zarost sypnął się brudnymi smugami na brodzie. Po jego intensywności można by sądzić, że dobroczynny sen na wilgotnym brzegu trwał dobre kilkanaście godzin. Sierżant obmył twarz, rozczesał palcami włosy i wąsy, po czym przejrzał się jeszcze raz i uznał, że może pokazać się już między ludźmi.

Wsiadł do samochodu, dobił do najbliższej wsi, odnalazł „Towary spożywczo-przemysłowe” i wszedł do sklepiku. Bosy, zarośnięty, okrwawiony. Cisza zapadła dzwoniąca. Kolejka usunęła mu się z drogi, więc podszedł do lady, oparł się o nią ciężko obiema rękami, bo jednak było mu trochę nijako ze słabości i z głodu.– Pan chce coś kupić? – spytała z niedowierzaniem ekspedientka, jakby się dziwiła, że on jeszcze nie wyciągnął zza pazuchy nagana i nie kazał sobie oddać kasy.

– Tak jest, królowo! Chleb, byczki w pomidorach, szproty w oleju i co tam jeszcze macie do jedzenia. Aby dużo!

Załadował, uczciwie zapłacił brzęczącą monetą, więc kolejka jakby wyzbyta obaw lekko się posunęła w jego kierunku. Wtedy przypomniała mu się maszynka i denaturat.

– Jeszcze pół litra niebieskiego daj, aniołku! Jaki dzień dziś

mamy?

– Poniedziałek – odparła cieniutkim głosem, a w kolejce zaszemrano ze zrozumieniem. Nie zbój to, znaczy, żaden, tylko wesóły chłop, co sobie nie żałował „niebieskiego”. Otoczył go tłum przyjazny, życzliwy.

– Dużo was? Starczy pół litra? – spytał rzeczowo stary chłop z kosą na ramieniu. – Chyba żeby winem doprawić...

Ale Fidybus nie skorzystał ze światłej rady, nie kupił „patyka”. Kiedy wychodził ze sklepu, znów zakreśliło mu się w głowie. Poleciał na drzwi, odbił w przeciwnym kierunku. Kolejka zachichotała.

– Starczy, starczy – podsumował jakiś kobiecy głos. – Jemu już wcale więcej nie trzeba.

Nie mógł w tym stanie jechać na szosę. A poza tym korcił go ten Sarnawiecki. Pomylił się, rąbnął, potem położył do łóżka z okładem. Kogo chciał rąbnąć? Na kogo czekał? Miało to związek z zabójstwem byłej żony czy nie?

Sierżant wrócił do lasu, zaparzył herbatę, nakarmił psa kaszanką i legł objedzony jak bąk, z blaszanym kubkiem w dłoni. Patrzył na rzekę, słuchał ptasich rozhovorów i sądził, że wreszcie odpoczywa. Ale przez te kwakania i gegolenia przedarł się po chwili jeszcze inny głos nie mający nic z matką naturą wspólnego. Z początku daleki, potem coraz wyraźniejszy. Sierżant Fidybus odruchowo uskoczył za grubą pień, ostrzegawczo przycisnął ręką łeb Kilometra, który szykował się do ujadania, i zerknął na drogę. Z górki powoli, ostrożnie zjeżdżał na motorze stary Sarnawiecki z dubeltówką przewieszoną przez ramię.

* * *

Następny dzień nie przyniósł nic rewelacyjnego. Podporucznik Karbolek wezwał na przesłuchanie Agnieszkę Rosiakową, przejrzał meldunki dotyczące pozostałych osób mieszkających przy ulicy Pratchawca oraz wysłał tam pracownika ze zdjęciem Rosiakowej, żeby sprawdzić, czy nikt jej sobotniego wieczoru nie widział.

Syn Solnickich istotnie przebywał w owym czasie służbowo za granicą, co prawda nie jako inżynier, ale jako kierowca wielotonowej ciężarówki, współlokatorzy domku pławili się wraz z dwojgiem nieletnich dzieci w Morzu Czarnym i naprawdę nie mieli pojęcia o kłopotach, w jakie zostaliby niechybnie wplątani, gdyby nie wzięli urlopu w tak dogodnym dla siebie okresie. Szeregowy Bolecki przespacerował się po ulicy Pratchawca ze zdjęciem Rosiakowej, ale nikt nie przypominał sobie tej osoby. Jedynie staruszka z pralni naprzeciwko, osoba w grubych, soczewkowych szklach, twierdziła, że pamiętnego dnia widziała kobietę ze zdjęcia, jak otwierała drzwi własnym kluczem i wchodziła do środka. Około godziny ósmej. Już po rozpoczęciu dziennika. Tylko że to była blondynka, a nie brunetka.

– Czy to mogła być córka Sarnawieckiej? – zainteresował się Karbolek. – Ona także jest blondynką.

– Pomyślałem o tym – odparł Bolecki. – Ale stara twierdziła, że doskonale zna córkę i że to nie była ona, tylko ta ze zdjęcia. O wiele szczuplejsza od Krystyny Sarnawieckiej. To by się zgadzało. A od czego peruka?

Owszem, zgadzało się. Jeśli Rosiakowa wybrała się do teściowej w jasnej peruce, całkowicie zmieniającej wygląd, to znaczy, że zależało jej na tym, żeby nie zostać rozpoznaną. A więc jednak morderstwo z premedytacją?...

„Zaplanować i wykonać – tak, ale uderzyć byle czym, co stoi pod ręką, to nie w stylu Agnieszki” – powiedział Leonard Sarnawiecki na pierwszym przesłuchaniu. Zgadzało się. Wszystko się idealnie zgadzało...

* * *

Pierwsze słowa Fidybusa były dziwnie beztroskie.

– Wiadomość pan dostał, oczywiście?

Karbolek spojrzał krytycznie na owiżaną głowę podwładnego, na jego nie ogolone policzki, przymięte odzienie i wycedził:

– Wypraszam sobie takie żarty, jeśli to były żarty. A jeśli nie,

tym gorzej dla was. Zdaje się, że będę musiał was pouczyć, gdzie kończą się wasze kompetencje.

– Ja nie mam głowy do nauki, panie poruczniku. Zaraz wszystko zapominam. Ale rodzinę pan wyrzucił i mieszkanie zapieczętował?

– Tak sobie wyobrażacie?

– To znaczy, że nie?

– Oczywiście, że nie. Oddałem im klucze z całą świadomością i nie będę dla waszego widzimisię zmieniał postanowień.

– O Boże! – jęknął sierżant chwytając się za obolałą głowę. A bolała nie tylko od uderzenia. Ponowne spotkanie z Sarnawieckim okazało się brzemienne w skutki. Stary znalazł sierżanta w lesie, sumitował się, przeproszał, wabił na sarnią pieczeń i naleweczkę własnej roboty, aż sierżant dał się skusić. I nie pożałował. Nalewka na tarnince nie miała sobie równych, krupnik na prawdziwym miodzie pachniał na cały las, a do pieczeni podano wiele subtelnych dodatków, bez których teraz życie mogło się wydać nudną pańszczyzną, a jedzenie twardym obowiązkiem. Ucztowali do świtu. O czwartej padł sierżant martwy w piernaty pani leśniczyny, a o szóstej zwiózł go, wedle polecenia, Sarnawiecki z pościeli, wsadził nieprzytomnego na motor i zygzakując po leśnym dukcie dowiózł go do stojącego spokojnie na polanie samochodu. Postawił obok i padł mu w objęcia.

– Ty jesteś człowiek, choć milicjant! Ty jesteś przyjaciel! Bóg mi świadkiem – przysięgał. – Myślałem, że ona gacha wypuszcza. Ja stary – wiadomo! Taka mnie złość chwyciła, taka złość, że chyba i jej bym przyłożył, żeby gdzie była pod ręką! Prawdę mówiąc to ja nigdy na kobietę ręki nie podniosę – poprawił się przypomniawszy, w jakim kontekście i do kogo rzecz została powiedziana. – Co to to nie! Ale dla gacha litości bym nie miał! Na szczęście twoje wąsy zobaczyłem! Poznałem! Drugich takich nikt nie ma! Poznałem i na kolana padłem koło ciebie, a ty jak martwy! Ale łeb masz twardy, chwała Bogu. Zresztą mocno nie chciałem uderzyć. Tylko dla postrachu... – zreflektował się po raz drugi, że nowy przyjaciel mógłby z jego szczerości niewłaściwe wnioski wyciągnąć i żeby monolog

zrećźnie zakończyć, rzucił się znów Fidybusowi na szyję. Tak się żegnali i całowali, aż sierżant bliżej brzegu stojący omsknął się do wody, która w tym miejscu była głęboka i rwąca. Popracował nogami, ramionami, napił się ustami i nosem. Wyszedł z tej kąpieli tak trzeźwy, że siadł natychmiast do wozu i z uderzeniem godziny ósmej znalazł się w komendzie. Ubranie tylko wydawało lekką woń szlamu, jako że schło na człowieku, a pod krzesłem spał zwinięty w kłębek odurzony wrażeniami Kilometr, którego sierżant nie zdążył nawet zawieźć do domu. Wziąwszy więc pod uwagę całą tę epopeję, nic dziwnego, że sierżant trzymał się za łeb i jęczał.

– Boże, będę chyba musiał zaraz zrobić tę cholerną maturę! Dlaczego pan jest taki niezłomny? – zwrócił się Fidybus z dramatycznym pytaniem do Karbolka. – Dlaczego pan nie raczył posłuchać mojej pokornej prośby przesłanej z narażeniem życia i zdrowia jako pilna? Czy ten pośpiech to pana nic a nic nie ruszył? Dlaczego?

– Pominąwszy niewłaściwą formę, w jakiej wyraziliście swoją... hm... prośbę – zaczął łagodnie zwierzchnik – to po prostu nie widziałem potrzeby. W końcu to ja odpowiadam za całokształt naszej pracy, a wy jako siła pomocnicza...

– No tak! Pan ma cholerne poczucie hierarchii! Boże! Dlaczego nie stworzyłeś mnie od razu majorem?

– Powinniście wiedzieć, że – zignorował podporucznik te mistyczne okrzyki – morderczynię mamy już prawie pod kluczem. Dziś składam wniosek o nakaz aresztowania. Zanim prokuratura się namyśli, zanim papiery przejdą swoją drogę, ona się przyzna.

– Solnicka?!

– Nie, mieliście rację, sierżancie, to nie ona. Muszę powiedzieć, że jestem wam naprawdę wdzięczny za zwrócenie mi uwagi na kilka szczegółów, które pozwoliły uniknąć tej fatalnej pomyłki.

– Boże! – wezwał sierżant po raz trzeci najwyższy autorytet na pomoc. – To może być jeszcze gorzej! Kto?

– Agnieszka Rosiakowa.

– Obywatel porucznik pozwoli, że usiądę. Mogłem się

spodziewać, ale nie przypuszczałem, że obywatel taki operatywny! Znaczący wszystko gotowe i prokurator nie będzie tu miał nawet co robić?

– Znajdzie się jeszcze trochę roboty i dla niego, nie obawiajcie się. A przecież dowody przeciwko Rosiakowej wy sami pomogliście mi zebrać.

– Mogę pomóc jeszcze. Jak kto się chce powiesić, to mu sznura nie odmówię. Wie pan, w co idą ich pieniądze? Myśli pan, że to zamożni ludzie, którym nie jest potrzebna forsa Sarnawieckiej? To niech pan wie, że oni ledwo koniec z końcem wiążą! Wszystko idzie w budy dla psów, w kasze i kości. A może nawet i w lekarstwa, bo diabli wiedzą, czy oni tam kradną cokolwiek na tych państwowych posiadach, czy nie? Tacy to nawet mogą i nie kraść. O rany, moja głowa!

– No sami widzicie, że motywy się mnożą i że... A w ogóle to kto was tak urządził?

– Sarnawiecki. Syfonem węgierskim.

– Syfonem!?

– Jota w jotę takim samym. No, co się panu teraz mnoży, poruczniku?

– Mówcie, jak to się stało! – rozkazał gorączkowo podporucznik, jakby nie słyszał pytania.

– Zwyczajnie. Kropnął, a potem położył do łóżka z kompresem. Ale co tam kompresy Sarnawieckiego! Porucznik to mi dał kompres! Szkoda gadać!

– Byliście u lekarza? Nie? No to zaraz pójdziecie. Ale zanim to zrobicie, porozmawiamy poważnie. Czy nie zauważyliście, że Rosiakowa jest osobą, która ma wszelkie powody, żeby zamordować Sarnawiecką?

– Poruczniku, ja też mam wszelkie powody, żeby w tej chwili zamordować pana. I co? Morduję? Nie, siedzę i gadam z panem jak ze światłym, wykształconym człowiekiem. Dlaczego? Bo gdybym teraz pana kropnął, to byłbym pierwszym podejrzanym. Tym, który miał wszelkie powody, żeby trzasnąć węgierskim syfonem, załatwić raz na zawsze śmiertelnego wroga i podreperować przy okazji własne sprawy finansowe. Tak właśnie jest z Rosiakową.

– Nie wiem, czy już wszystko wiecie? A przede wszystkim to, że na komplecie zapasowych kluczy, znalezionych przeze mnie w sionce, są odciski palców Agnieszki Rosiakowej.

Nie, tego sierżant Fidybus nie wiedział, a poza tym fakt ów tak nie pasował do całego obrazu sprawy, że mógł być tylko efektem czyjegoś przemyślnego działania. Morderca zyskiwał na aresztowaniu Rosiakowej. Choćby to miało być tylko zatrzymanie na 24 godziny. Zyskiwał, jeśli... Tę sprawę należało spokojnie przemyśleć. Nie teraz! Teraz należało tylko oddalić moment owego aresztowania, do którego młody podporucznik rwał się z dziecinnym zapalem. Dlatego sierżant powiedział pierwszą rzecz, jaka mu się nasunęła, a której za nic w świecie mówić nie powinien.

– Tak? A, to pewnie te klucze, które Rosiak miał u siebie i oddał je matce podczas ostatniego spotkania. Ma pan zdjęcia? To może bym sobie mógł popatrzeć? No, na te odciski Rosiakowej.

* * *

Odwiedził doktora, dostał trzy dni zwolnienia wraz z przyjacielską radą, żeby naprawdę położył się zaraz do łóżka i przynajmniej porządnie wyspał. Miał zamiar to zrobić, ale przedtem chciał się porozumieć z majorem. Nagrzeszył sporo i pora była się pokajać. Stał pod drzwiami, posłuchał i usłyszał, jak Kajtys ruga kogoś za wpuszczanie psów do komendy i żąda krwi tego gamonia, który jest właścicielem tego kundla! Sierżant bez trudu domyślił się, o jakiego kundla chodzi, i odskoczył od drzwi jak oparzony... Kilometra we własnym pokoju nie zastał. Obszedł kilka innych, w końcu trafił do dyżurki. Pies rozwalał się na prowizorycznym posłaniu, a obok niego leżały na gazecie sterty kanapek, ciastka, kawałki wędlin, które mogłyby starczyć na tydzień porządnej sforze. Brzuch Kilometra przybrał kształt napiętego łuku, co by znaczyło, że pracownicy komendy okazali się miłośnikami psów, gotowymi swoją sympatię okazywać przy pomocy niezwyklej wprost hojności.

Sierżant, spokojny, że nie dzieje się żadna krzywda zwierzęciu, za które wziął, bądź co bądź, pełną odpowiedzialność, zamknął cichutko za sobą drzwi dyżurki i postanowił również pohulać gastronomicznie. Myśl o milicyjnej stołówce odpędził ze wzgardą. Droga do najelegantszej restauracji kategorii „S” wiodła przez ulicę Pratchawca. Szedł sobie powolutku, pieścił się myślą o cielecym sznycelku z groszkiem i marchewką, jajeczkiem i plasterkiem cytryny, ale im bliżej był znajomej skrzypiącej furtki, tym wyraźniej wizję sznycelka wypierała wizja okrągłego przedmiotu, który mógłby się zmieścić w zakończeniach wałka od kanapy. Tylko że morderca szukał go przecież zupełnie gdzie indziej...

Sierżant nie miał nadziei, żeby ta rzecz znajdowała się nadal na swoim miejscu, ale mógł po niej pozostać jakiś ślad. Albo ślad zacierania śladów?

Przysiągł sobie po raz nie wiadomo który, że od nowego roku szkolnego weźmie się porządnie do roboty, zrobi dwie klasy w ciągu dziesięciu miesięcy, wykuje wszystko na blachę, a potem będzie się co dzień golił, prasował mundur, trząsał obcasami i przyjmował zasadniczą postawę, przychodził punktualnie zawsze i wszędzie, postępował regulaminowo z przeciwnikami i sojusznikami – jednym słowem zarabiał na pospieszny awans. Żeby już żaden nabity pewnością siebie głupi smarkacz nie mógł mu popsuć szyków. Bowiem tylko w mieszkaniu denatki można było znaleźć wyjaśnienie faktu, jakim cudem mogła popełnić morderstwo osoba, która absolutnie zrobić tego nie mogła, i dlaczego zrobić to musiała, choć może wcale nie miała tego zamiaru. Mimo grających kiszek i miłej sercu wizji sznycelka sierżant pchnął furtkę i nacisnął dzwonek do lewych drzwi na parterze.

Nikt się nie odezwał i nie było w tym nic dziwnego. Mieszkanie po świeżym trupie nie należy do najmilszych miejsc na świecie. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko wrócić tu nocą z kompletem wytryszków w kieszeniach. Sierżant jeszcze raz nacisnął dzwonek, po czym odszedł od drzwi nieświadom, że zza firanki obserwuje go para czujnych oczu.

* * *

– Czy ma pani w domu jasną perukę?

– Nie używam peruk.

– Po co poszła pani do teściowej w sobotę dnia 15 bm.?

– Ja do niej? Czy pan jest nieorientowany, jak układały się stosunki między mną a teściową?

– Jestem zorientowany, ale ambicja może czasem ustąpić przed bezpośrednim zagrożeniem. Pani małżeństwo było zagrożone.

– Pan się myli – odpowiedziała chłodno Rosiakowa. – A gdyby nawet tak było, to ta kobieta mogła być najwyżej pretekstem, ale nie przyczyną.

– Czy pani przyszła do niej z zamiarem zabójstwa, czy też uderzyła pani powodowana afektem? Może sprowokowana? To wszystko ma dla sądu kolosalne znaczenie. W pani interesie leży, żeby...

– Proszę mi udowodnić, że to zrobiłam.

Agnieszka Rosiakowa nie miała nerwów, nie znała zmęczenia. Przesłuchanie ciągnęło się już około dwóch godzin i nie doprowadziło do niczego. Podporucznik Karbolek próbował różnych znanych mu metod, wypalił siedemnaście papierosów – ona zaledwie dwa – wielokrotnie w rozmaitej formie zadawał te same pytania, ale bez rezultatu. Nie pomyliła się ani razu, nie zagmatwała, nie zmieniła wyrazu twarzy, uprzejmego, obojętnego tonu.

– Czy może pani zaprzeczyć, że miała pani powody, aby zamordować teściową?

– Mogę. Nie miałam żadnych powodów od momentu, kiedy już nie musiałam jej widywać.

– Ale odkryła pani, że mąż się z nią spotykał.

– Nigdy nie miałam nic przeciwko temu. To jego matka.

– Dlaczego więc robił to po kryjomu?

– Nie wiem. Proszę spytać jego.

– Gdzie była pani tego dnia i o tej godzinie, kiedy mąż spotkał się z matką?

– Nie wiem. Prawdopodobnie na terenie rezerwatu albo w swoim pokoju, albo w biurze.

– Nikt pani nie widział – zaryzykował mały bluff.

– Być może. Czy na ten okres także powinnam mieć alibi?

– Gdzie pani tego dnia jadła kolację?

– Nie jadam kolacji. Wypiłam szklankę mleka w swoim pokoju.

– Poszła pani wcześniej spać?

– Owszem. Po dziewiątej.

Podporucznik Karbolek wyciągnął z szuflady długopis Rosiakowej zostawiony u dyrektora rezerwatu. Przez chwilę ważył go na dłoni, po czym zabluffował. Już nieco śmieiej.

– Czy to pani własność?

– Być może. Miałam taki sam.

– A jeśli powiem, że na tym są ślady pani linii papilarnych?

– To znaczy, że to prawdopodobnie ten sam.

– Jak pani wytłumaczy, że właśnie ten długopis znaleziono w mieszkaniu zamordowanej?

– Nie podejmuję się tego wytłumaczyć. Zostawiłam go na biurku dyrektora w rezerwacie i nie miałam ochoty już po niego wracać.

– Dlaczego nie zgodziła się pani, żeby dyrektor odwiózł panią na dworzec w Łopatowie?

– To moja osobista sprawa.

– Nie ma osobistych spraw, kiedy chodzi o morderstwo.

– Ma pan rację. Po prostu dlatego, że po zakończeniu mojej pracy nie miałam obowiązku znosić nadal towarzystwa człowieka natrętnego, głupiego i źle wychowanego. To wszystko.

– Jak pani wyjaśni fakt, że na zapasowym komplecie kluczy od domu Sarnawieckiej znajdują się też pani odciski palców.

– Pan musi to wyjaśnić, jeśli chce mi pan udowodnić winę.

– Kiedy pani miała w ręku te klucze po raz ostatni?

– Nigdy.

– Zaprzeczenia na nic się nie zdadzą. Mąż nie potwierdził pani poprzedniej wersji, że klucze odwiózł matce na owe czwartkowe spotkanie, więc teraz usiłuje pani zmienić

zeznanie. Ale robi to pani nieudolnie. Klucze miała pani przez cały czas, ponieważ planowała pani zabójstwo już od dawna.

– Nigdy nie twierdziłam, że miał je mąż. Przynajmniej ja ich u niego nie widziałam.

– Jak to, więc pani zaprzecza? – Karbolek zemocjonowany poprawił się na krześle. Wreszcie przesłuchiwana zaczęła się plątać!

– Zaprzeczam.

– Dzisiaj. A parę dni temu, w rozmowie z sierżantem Fidybusem w Wagonowie zeznała pani, że do wyjazdu męża klucze te leżały u państwa w domu. W takim wypadku ślady pani palców na nich nie potrzebują żadnego wyjaśnienia. Są zrozumiałe – kusił Karbolek, ale Rosiakowa nie przyjęła pomocy.

– Proszę mi udowodnić, że coś takiego powiedziałam.

– W każdej chwili! – odparł żywo Karbolek i nagle uprzytomnił sobie, że się zagalopował. Tych słów nie było na taśmie ani w raporcie sierżanta. Zostały wypowiedziane w prywatnej rozmowie. Zrozumiał, że musi zrezygnować z zatrzymania Agnieszki Rosiakowej nawet na 48 godzin.

* * *

Zardzewiały gwóźdź ustąpił bez trudu. Klucz od spiżarki leżał na swoim miejscu między marynatami. Okazał się niepotrzebny, bo drzwi stały otworem. Fidybus postął, posłuchał, raczej z obowiązku niż licząc na czyjąś obecność w mieszkaniu zamordowanej, po czym pewnym, na ile pozwalały ciemności, krokiem minął kuchnię, wszedł do pokoju, schylił głowę przed półeczką z asparagusem i rąbnął czołem w drabinę.

Tego nie było w programie. Świecił księżyc i w jego świetle widać było tylko zarysy. Wysoka, podwójna, solidna drabina. Była tu nie na miejscu, nie pasowała do domu żałoby, choć pasowała do nastroju mieszkania, w którym ciągle ktoś czegoś szukał. A sufity, gzymsy i żyrandole znajdowały się na dobrej przedwojennej wysokości.

Sierżant stanął rozcierając sobie czoło i łowiąc uchem nocne szmery. Wszystkie one wydawały się być naturalne. I dostatecznie odległe, żeby się nimi nie przejmować. Gdzieś daleko szczekał pies, sunęły samochody, gwizdał pociąg. Bliżej śpiewali rzewni pijaczkowie, a w ogrodzie cykały świerszcze. Świadom, że dłuższe wsłuchiwanie się w nocną ciszę prowadzi do halucynacji, ruszył sierżant do swojej roboty.

Zdjął z tapczanu nieboszczki koc i zaczął go rozwieszać na oknie staranie utykając szpary. W tym momencie usłyszał wyraźnie skrzywienie podłogi. Za portierą przy drzwiach do pokoju Krystyny. Ponieważ nie wiedział, czy ów ktoś skrzypiący go widzi, czy nie, więc nie obejrzał się, nie drgnął. Zasłonił okno i dopiero wtedy odwrócił się pogwizdując cichutko przez zęby, rozejrzał się powoli, jakby czegoś szukał, i przesunął się wzdłuż ściany tak, że musiał zniknąć z pola widzenia człowieka ukrytego za kotarą. Teraz przylgnął do ściany i bezszelestnie sunął w stronę, gdzie stał tajemniczy ktoś. Sierżant słyszał nierówny, wstrzymywany oddech. Spokojnie oparł się o ścianę i czekał.

Czekanie było, jego zdaniem, zajęciem równie konkretnym, jak na przykład zakładanie kajdanków pojmanemu przestępcy, a dawało nierównie więcej satysfakcji. Lubił te momenty, kiedy nieznany przeciwnik o niewiadomych zamiarach jest blisko, na odległość ręki, a wszystko zależy od tego, kto tę rękę wyciągnie w najwłaściwszym momencie. Nigdy w takich przypadkach nie miał przy sobie broni. Prawdę mówiąc, nie było sytuacji, kiedy by jej chętnie używał. Obciążała niepotrzebnie kieszeń, w której mogły znaleźć miejsce o wiele sensowniejsze narzędzia, jak wytryzki, dłutka, klucze itp. Umieszczona na szelkach krępowała ruchy. Może zdawałaby egzamin przytroczona do uda kowbojskim obyczajem, ale sierżant widział oczyma ducha minę Kajtysa, któremu jakiegokolwiek podwładny ośmieliłby się ukazać w takim przebraniu. A w ogóle robiło toto dużo huk, zaś jego, kiedy był jeszcze bardzo młody, nauczono walczyć cicho i przerażająco skutecznie. Wpojono umiejętność trwania w kompletnym bezruchu, a na dodatek odpoczywania w tej nieruchomości.

Stał więc teraz oparty o ścianę, odprężony nerwowo, przygotowany do walki i pewny, że zmęczy tamtego czekaniem prędzej lub później. Usłyszał w końcu, jak tamten za portierą oddycha nieco swobodniej, co znaczyło, że jest człowiekiem jeszcze mniej doświadczonym niż można się było spodziewać. Usłyszał ostrożny szelest, a więc być może tamten ostrożnie wyciąga rękę, dotyka zasłony, próbuje ją odsunąć i przebić wzrokiem ciemność. Kiedy sierżant zlokalizował sobie dokładnie wroga i doszedł do wniosku, że stoi on bokiem, a nie przodem, zrobił jeden błyskawiczny ruch, zarzucił portierę na jego głowę, całym ciałem przycisnął szamocącego się wroga do framugi drzwi i skrzyżował mu ręce na plecach. Kiedy już to uczynił, bezbłędnie, jak na pokazie walki wręcz, stwierdził, że trzyma w ramionach uległe damskie ciało.

– Znowu baba! – jęknął i zluźnił uścisk. Ale nie puścił, a dama nie rwała się na wolność. Poczuł się jeszcze głupiej niż wtedy, kiedy Krystyna zastała go śpiącego. To, co w wypadku mężczyzny byłoby błyskawicznym unieruchomieniem wroga, w wypadku kobiety stało się, co tu gadać, całkowicie jednoznacznym, choć nieco brutalnym porwaniem w ramiona.

– I znowu pan... – usłyszał tuż przy uchu szept podszyty śmiechem. – Znowu składa mi pan wizytę po nocy...

– A pani pewno mnie z utęsknieniem oczekiwała, prawda? – burknął niezbyt z siebie zadowolony.

– A jeśli powiem, że tak?

– To podziękuję za ostrzeżenie.

– Co to znaczy?

– Nic, dziecino. Jeśli mi tak wyraźnie dajesz do zrozumienia, że chcesz mnie uwieść, to znaczy, że za drugimi drzwiami czai się ktoś, kogo kryjesz, i albo chcesz coś zagmatwać, albo czegoś się dowiedzieć, albo czegoś nie powiedzieć. I to wszystko na jedno wychodzi. Jestem już dość stary, żeby mieć w tych sprawach niejaki doświadczenie, ale jeszcze za mało stary, żeby zgłupieć doszczętnie od dotknięcia twojego nabitego jak armata i cholernie młodego ciała. Więc nie rób durnia z człowieka pracy, bo cię rychło pan Bóg za to skarże. I nie gryź do cholery!

– Ty durniu! Ty świniu! – szarpała się z niespodziewaną siłą i usiłowała raz jeszcze dosięgnąć zębami jego ramienia. – Myślisz, że jestem dziwka, tak? Puść mnie, bo narobię wrzasku na całą chałupę i jak będziesz wtedy wyglądał, ty milicyjny dewocie! Ty... – szept narastał, lada chwila mógł zamienić się w krzyk. Fidybus wiedział doskonale, że gdyby dziewczyna spełniła swą groźbę, wyglądałby nietępo, więc przegiął ją w tył, żeby łatwiej zatkać otwarte do krzyku usta, i znów uświadomił sobie, że robi coś śmiesznego. Tą nienaturalną pozę znał ze starych filmów, w których namiętny kochanek tak przeginał swoją damę, kiedy chciał złożyć na jej wargach niemniej namiętny pocałunek. Zirytowany zluźnił uścisk, ale zatknął jej usta ręką i dopiero wtedy szepnął prosto w ucho:

– Albo będziesz milczeć, albo cię zwiążę, zaknebluję, a potem będę odpowiadał za samowolę. Ale ty będziesz żuła własną pończochę, dopóki nie skończę swojej roboty tutaj. Jasne?

Zamruczała uspokajająco. Zdjął dłoń z jej ust.

– Puść! Boli... Ty durniu!... Jesteś gangster, a nie milicjant. Masz ramiona jak z żelaza, ty...

– Znowu zaczynasz? Powiedz po ludzku, kto mi tu zaraz da w łeb? Braciszek? Narzeczony? Tatuńcio? No przecież nie siedzisz tu sama w tej trupiarni!... Przepraszam...

– Nie ma za co. Chcę, to siedzę. Kto mi zabroni? Może siedzę tu i czekam, żeby znów przyszedł taki głupi, wąsaty gliniarz szukać swoich wymaginowanych przestępców czy diabeł wie czego i żeby znowu grzmotnął mną o podłogę, wydarł garść kłaków, wytarł mi. A ja otrzępię się jak ta kura z dowcipu i powiem „szatan nie kogut”. Może właśnie na to czekam? No, wolno mi? Wolno? – jej szept znowu rósł w siłę, a Fidybus coraz mocniej przyciskał dziewczynę do piersi, jakby chcąc zdusić ten potok wymowy, który lada chwila mógł się stać dla niego realnym niebezpieczeństwem. – Wiesz, dlaczego nie zapaliłam światła? Bo wiedziałam, że to ty. Spodziewałam się! Chciałam, żeby było tak jak wtedy. Widziałam cię tu dziś po południu. Ale nie otworzyłam, bo mi się wtedy nie chciało. Wtedy byłbyś urzędowy, ważny. A ja chciałam, żebyś wrócił w nocy. W ciemności jest inaczej. Wiesz, kiedy siedziałam tu u

braci pod kocami, u Solnickich, i usłyszałam twój głos, to koniecznie chciałam cię zobaczyć. Udawałeś takiego niemrawego gniotka, ale ja już wiedziałam, że jesteś szybki i mocny... I pomyślałam, że muszę zrobić coś, żeby tamto jeszcze raz się powtórzyło. I żeby było nie tylko tamto. Ale zapomniałam, że jestem jedną z podejrzanych, a ty jesteś gliniarzem na służbie, a nie człowiekiem. Teraz już to wiem, chociaż jednego nie wiem – po co mnie jeszcze trzymasz, skoro już wiesz, że ci nie ucieknę?

– Po pierwsze dlatego, że jestem gliniarzem „na chorobie”, a nie na służbie, więc mogę robić to, co mi sprawia przyjemność, po drugie muszę cię trzymać, bo jesteś podstępna, fałszywa, z piekła rodem... No i jaka jeszcze? Nie wiem, ale lepiej, żebym cię miał blisko przy sobie, bo jak cię puszcze, to mi jeszcze jakiś paskudny kawał wystrugasz.

– Skoro jesteś na zwolnieniu, to nie idziesz jutro do pracy?

– Oczywiście, że nie.

– Skoro nie idziesz, to możesz zostać ze mną na noc. Zostaniesz?

Czuł, jak jej brzuch drga z tłumionego śmiechu, i taka złość go porwała na tę skorą do żartów dziewczuchę, że zdecydował się bez namysłu.

– Zostanę.

Milczała chyba nieco zaskoczona. Zgodził się zbyt szybko, zbyt łatwo. Nie była na to przygotowana. Czekala jeszcze chwilę, jakby sądziła, że on zechce się usprawiedliwić, uzasadnić jakoś swoją decyzję. On milczał i czekał, kiedy dziewczyna powie, żeby się wynosił do diabła, żeby sobie nie wyobrażał i że w ogóle żarty się skończyły. Pamiętał przez cały czas, że ma dwa razy tyle lat co ona i nigdy nie grzeszył oszalamiającą urodą. Pamiętał również o tym, że mógł się omylić nie biorąc jej pod uwagę jako morderczyni.

– Nie boisz się, że cię wciągam w zasadzkę? – przemówiła wreszcie niezbyt pewnym głosem.

– Jestem przekonany, że to robisz.

– Więc po co?...

– Zasadzka przecież jest po to, żeby ktoś w nią wpadał.

Wiesz, ile rzeczy wtedy się wyjaśnia? Tylko – dodał melancholijnie – można nie zdążyć ich wykorzystać...

– Co ci grozi, jeśli cię złapią ze mną w łóżku?

– Czy ja wiem? Chyba wyleją albo wyślą na wieś. Zawsze mnie wysyłają na wieś, jak narozrabiam... A w ogóle kto ci powiedział, że będę z tobą w łóżku? Mogę przesiedzieć całą noc na fotelu.

– Ale będziesz?...

* * *

Podporucznik Karbolek wyjął z szuflady linijkę, ołówek, podzielił starannie kartkę papieru na stosowne rubryczki i zabrał się do koncepcyjnej pracy. Pierwsza rubryka nosiła tytuł: „Mord rabunkowy – kto potrzebował pieniędzy?” Wpisał tu wielkimi literami Sarnawieckiego, Rosiaków, Krystynę, zastanowił się nad osobą Lolka, którego krajowe dzinsy, flanelowa koszula i przetarte na piętach skarpety świadczyły, że albo ich właściciel nie przywiązuje absolutnie wagi do ubrania, albo też jego sytuacja finansowa jest mizerna. Sarnawiecka, jak widać, nie zwykła inwestować w dzieci. Niemniej kandydatura Lolka wydała się podporucznikowi mocno dyskusyjna. Miał wyjechać do pracy do Londynu, a wiara w miliony zarobione na zachodzie jest w naszym społeczeństwie dość silna, Lolek mimo swoich narzekań na brak pieniędzy i braterską lekkomyślność miał już podróż opłaconą, i to podróż samolotem, wizę i paszport również. To samo odnosiło się do Marioli Hacıur. Czy wobec tego kilka złotych obrączek, trochę funtów, trochę dolarów warte były tyle, ile ów „złotodajny” wyjazd? Podporucznik postanowił Lolka do tej rubryki nie wpisywać. Tak samo zastanawiał się nad Solnickimi. Im także w końcu darował. Żyli sobie dostatnio, jak na parę emerytów nawet bardzo dostatnio, a zachłanność mogła panią Solnicką pchnąć najwyżej do kradzieży. Chyba jednak nie do morderstwa.

Natomiast w drugiej rubryce: „Mord rabunkowy jako pretekst” znalazłoby się miejsce na sąsiadkę, ale na nią zawsze jeszcze będzie czas. Na razie podporucznik wpisał osoby, co do

których nie miał wątpliwości, że miały silny motyw emocjonalny i mogły ze znajomością rzeczy zaaranżować rabunek: Rosiakowa i Sarnawiecki. Oni oboje i tylko oni nie mieli na interesujący okres żadnego alibi, choć właściwie alibi Rosiaka było też diabła warte. Siedział w swoim gabinecie i pracował. Kto to potwierdzi? Syn. Kilkuletni malec, który w dodatku wcale nie był wówczas w domu, tylko w schronisku i widział światło w pokoju ojca. Cóż łatwiejszego, jak wyjść i zostawić zapaloną lampkę. Szczególnie jeśli dziecko jest przyzwyczajone, że do pokoju ojca się nie wchodzi i nie przeszkadza. No dobrze, a kolacja? Kto temu małemu dał tego dnia kolację? I o której?

Raport sierżanta Fidybusa z jego podróży służbowej nie mógł być uznany za wzór dokładności. Przecież to ważne, o której mały wrócił do domu i czy w ogóle tego wieczoru widział ojca, czy nie.

Podporucznik nakręcił numer Fidybusa i długo trzymał przy uchu słuchawkę. Była niemal północ i Karbolek liczył się z tym, że sierżant już śpi, ale całkiem świadomie postanowił mu się zrewanżować za budzenie po nocy tym idiotycznym telegramem ze straży pożarnej. Położył więc słuchawkę na stole i czekał. Jednostajny sygnał telefonu musi wyrwać ze snu nawet umarłego, ale sierżant żywy czy umarły słuchawki nie podnosił przez dobre kilka minut.

– Wyłączył bydlak! – mruknął Karbolek i postanowił, że rano nie omieszka nawiązać do tego tematu. Odpowiedzialnemu pracownikowi MO nie wolno wyłączać telefonu, ale sierżant Mikołaj Fidybus nie był pracownikiem odpowiedzialnym.

Podporucznik cisnął słuchawkę na widełki i wrócił do swoich rubryczek. Po godzinie wyteżonej pracy, kiedy oczy już sklejały mu się ze zmęczenia, otrzymał całkiem przejrzysty obraz sytuacji. Wszystko się zgadzało. Oprócz tego cholernego klucza! Dlaczego oboje utrzymują, że nigdy go nie mieli? Przecież przyznanie się, że został on zwrócony Sarnawieckiej na dwa dni przed morderstwem, automatycznie zdejmuje z Rosiakowej podejrzenia. Więc dlaczego?

Może dlatego, że istnieje jeszcze trzeci komplet, dorobiony

przez Rosiaków na podstawie tamtego? Trzeci, o którym nikt nic nie wie...

* * *

Wstał, zasłonił dokładnie kocem okno, zapalił światło. Krystyna leżała z nosem wtulonym w poduszkę. Usiadł obok niej. Podniosła głowę. Patrzyli na siebie, jakby widzieli się po raz pierwszy albo ostatni.

– Jaki ty właściwie jesteś? – spytała dziewczyna. – Taki jak teraz, czy taki jak w ciemnościach?... Oj, co ty masz na czole? Kto cię tak urządził?

– Panienci tatunio. Człowiek gołębiego serca, ale mocny w garści. Wyobraził sobie, że się po nocy dobieram do jego małżonki, więc kropnął w łeb bez sądu nowym nabytkiem prosto z Argedu.

– A ty co? Naprawdę się do niej dobierałeś?

– Przecież ona jest w ciąży.

– No to co?

– Nic. Nieapetyczna.

– Tylko tyle? Słuchaj, czy ty w ogóle nie masz moralności?

– A co to jest ta moralność?

– Nie zgrywaj się. Jak zgodziłeś się ze mną zostać, to myślałam, że traktujesz to jak coś w rodzaju służbowego zadania. Umierałam ze śmiechu na myśl, że będziesz usiłował godnie się znaleźć, może zechcesz naprawdę przesiedzieć w fotelu? A ja ci to uniemożliwię, sprowokuję, a potem będzie ci lyso, bo przecież jesteś stróżem moralności, no nie?

– Stróżem moralności jest twoja sąsiadka Solnicka na przykład, a ja mam całkiem inne zajęcie. Jest nim tropienie i łapanie morderców. Rozumiesz? A w ogóle co ma wspólnego z moralnością fakt, że byłem z tobą w łóżku. To nie jest niemoralne, tylko bardzo nieostrożne.

– Ty jesteś wspaniały! Ale czy nie rozumiesz, że ciągle ode mnie żądają takiej „łóżkowej” moralności? A ja po prostu mam temperament i nie widzę powodu, żeby się hamować. I ciebie to naprawdę nie gorszy?

– A ty lubisz, żeby gorszyło? Tak? Dlatego to wszystko zrobiłaś? – a jednak poczuł się oszukany. – Bo miałaś nadzieję, że mnie zgorszysz, tymczasem sprawiłem ci zawód.

– Przestań! Zresztą masz rację, przecież mówiłam, początkowo chciałam się twoim kosztem zabawić. Ale to trwało bardzo krótko. Potem już wiedziałam, że zabawy nie będzie. Może być dobrze, ale nie śmiesznie. A co ty myślałeś? – owinęła się kocem i siadła na kanapie. – Daj papierosa! I powiedz, co to jest według ciebie ta moralność. Twoja własna. Bo pewnie masz własną, jak mówisz takie herezje.

– Ej, dziewczyno, nie wciągaj mnie na światopoglądowe dyskusje po nocy, bo ja strasznie lubię gadać. Oka nie zmrużysz do rana. Coś ty zrobiła z tym pokojem! ? Niech cię licho porwie! – stał na środku i patrzył smętnie na jaśniejące świeżą farbą ściany.

– Nie schodź z tematu! Powiedz, dlaczego tropisz morderców?

– Żeby wyrównać cudze krzywdy. Jeśli ktoś już sam tego zrobić nie może, nie umie.

– A może po prostu wcale tego nie chce! Skąd wiesz, kiedy to jeszcze jest krzywda, a kiedy już zemsta? Tropisz tego, kogo nazywasz przestępcą, nie wiesz, kim on naprawdę jest. Może to zamordowany był potworem, a ten, co go zabił, wybawicielem ludzkości? A może tylko nie mógł dłużej wytrzymać? Ale ty musisz go złapać i wsadzić do więzienia bez względu na okoliczności, bo według prawa on jest przestępcą. Tylko że prawo jest martwe i nic nie wie o ludziach. Ty też nie wiesz!

– Staram się wiedzieć.

– I co z tego? Nawet jeśli się dowiesz, że on jest naprawdę niewinny, chociaż przed prawem jest, to co robisz? Uratujesz go?

– Może.

– Nie nawijaj! Co ty możesz? Romantyk! Co ty możesz przeciw sędziom, prokuratorom, komendantom, a nawet przeciw twemu lalusiowatemu porucznikowi? Jesteś tylko sierżantem milicji w wojewódzkim mieście.

– Ale sierżantem na wariackich papierach.

Parsknęła śmiechem, jednak nie był to śmiech wesoły.

– Fajny jesteś! Skończmy tę rozmowę, bo jeszcze się w tobie zakocham.

– Tylko tego brakowało! – burknął sierżant nieuprzejmie.

– Nie bój się – spoważniała. – To ci nie grozi. Ja wiem, że ty pewno masz w domu żonę w przydeptanych pantoflach, dzieci, rodzinę i teraz się zastanawiasz, jak się im wytłumaczysz ze swojej nocnej nieobecności. Może porucznik da ci alibi? Pewno się boisz, że będziesz miał przeze mnie kłopoty, więc ci oznajmiam, że mnie guzik obchodzi twój e rodzinne sprawy. Było fajnie, nie mam nic przeciw temu, żeby jeszcze kiedyś tak było, ale ja się nigdy nie motam. Sama ponoszę konsekwencje tego, co robię. A jakby co, to żebyś wiedział, że łykam pigułki, więc i z tej strony nic ci nie grozi. Jak chcesz, to odchodzisz i nigdy się więcej nie spotykamy. Albo lubimy się nadal i przychodzisz tak długo, zanim nie zastaniesz drzwi zamkniętych. Nie wiem, jak było za twoich czasów, ale...

– Ty głupi zwierzaku – roześmiał się Fidybus. – Moje czasy są teraz – przesunął dłonią po jasnych włosach dziewczyny. – Razem z twoimi. I nie wiem, co będę myślał za godzinę. Więc daj pokój temu planowaniu naszej przyszłości. Czy ty musiałaś właśnie wczoraj wziąć się do tego malowania?

– Musiałam! Ja chcę tu żyć! Wreszcie mam dom dla siebie! Nigdy go nie miałam. Tylko więzienie. Z wychodzeniem na przepustkę. Ja tu wszystko przemaluję, poprzestawiam, powyrzucam na śmietnik! Wszystkie stare gra ty! Kupię nowe!

– Za co?

Spuściła głowę, zaczęła skubać supełki koca.

– Dlaczego nie chodzisz w mundurze? – spytała drżącym głosem. – Pamiętałabym, z kim rozmawiam. Pamiętałabym, że to ciągle śledztwo, że z każdego słowa muszę się rozliczać! – wyglądała tak, jakby się miała zaraz rozplakać, więc sierżant siadł koło niej, objął ramieniem. Wtedy się rozbeczała. Oparłszy twarz na jego piersi chlipała głośno, rozpaczliwie. Moczyła mu sweter łzami, rozmazywała je pięściami na policzkach. Sierżant siedział trochę przerażony, trochę ogłupiały. Zrozumiał, że ta samotna i w gruncie rzeczy bardzo

jeszcze smarkata dziewczyna stworzyła sobie poza samodzielną, dorosłej kobiety, afiszowała się ze swoją swobodą, cynizmem i bardzo dbała, żeby nikt nie wiedział, jaka jest naprawdę. Nagle odezwało się pukanie. Krystyna skoczyła na równe nogi. Łzy obeschły natychmiast.

– Kto tam?

– Krysiu – odezwał się znajomy głosik pani Solnickiej – z kim ty rozmawiasz, kochanie? Zdawało mi się, że słyszałam głosy...

– Jak pani słyszy głosy, to niech się pani da zbadać psychiatrom! Święta Teresa się kłania! A choćby nawet, to nie pani interes!

Ale charakterek! – pomyślał sierżant, choć przed chwilą patrzył na Krystynę jak na bezbronne dziecko. – Jeśli matka z Solnicką nie dały jej rady, to w co ja się pakuję?

– Moja droga – grucha słodki głosik za drzwiami – przecież ja tylko z dobrego serca.

Krystyna wzięła ze stołu ołówek i boczkiem podeszła do drzwi. Wsadziła go w dziurkę od klucza i pchnęła aż do końca. – Och! Ty dziwko, ty! Bezwstydna szmato! Poczekaj, ty mnie popamiętasz! Jeszcze popamiętasz!

Szybkie kroki na schodach oznajmiły odwrót wroga. Krystyna odrzuciła ołówek. Na jej twarzy nie było widać już śladu łez.

– Widzisz? Tak tu było zawsze. Na pokaz słodkie słówka, troskliwość, a ślipie przytknięte do dziurki od klucza! Przepraszam, zrobiłam ci niezły koncert. Nie wiem, co mi się stało. Ja nigdy nie beczę... Ale to z zaskoczenia. Bo taki niby przyjaciel byłeś, tak pięknie mówiłeś o moralności i nagle bach! Jak kubłem zimnej wody! Śledztwo! Glina! „Za co kupisz”. Chcesz wiedzieć, gdzie pieniądze? To znajdź! Szukaj! Przewróć wszystko do góry nogami. Przecież po to tu przyszedłeś. No, zaczynaj! Ja ci pomogę! Zostało tu jeszcze parę niewypatroszonych foteli! – chwyciła nożyczki i zaczęła wbijać je z furią w wałek do kanapy, po chwili stała znów z rękami skrepowanymi do tyłu i miała nad sobą podłużną, ciemną twarz, jak ze starej ikony.

– Cichaj, paskudztwo – mrucał sierżant Fidybus. – Ty gorsza jesteś od dziesięciu Solnickich. Posłuchaj, daj powiedzieć.... Guzik mnie obchodzą twoje pieniądze, bo ja cię pytam „za co” jak stary, doświadczony ramol, a nie milicjant. To jest moje prywatne życie tu z tobą, bo...

– Nieprawda, nie kłam! Ty nawet wtedy... no jak byliśmy razem, to też oczami na boki strzygłeś.

– To ze strachu, królowo. Myślisz, że ja mam ochotę oddać duszę Bogu w momencie, kiedy, jak mówią w romansach, ty mi oddajesz swe ciało?

– Nie zbywaj mnie głupimi żartami.

– Nie zbywam cię, tylko ciągle nie mogę uwierzyć, że ty ze mną jesteś, bo tego chcesz. I chyba nie wolno mi w to uwierzyć...

– Dureń! A ty dlaczego ze mną jesteś? Powiedz prawdę. Proszę cię, niech to będzie prawda najgorsza, ale powiedz, po co tu przyszedłeś?

– Dobrze. Powiem ci prawdę, ale ty mi też odpowiesz na jedno pytanie bez łgarstwa.

– Ładuj!

– Co znalazłaś tu nad framugą z lewej strony drzwi? – przystawił sobie krzesło, zajrzał, ale za gzyms naścikało tyle świeżej farby, że o żadnym śladzie nie mogło być mowy.

– Nic. Teraz na ciebie kolej! Po co przyszedłeś?

– Właśnie po to. Po płaski, okrągły, cenny przedmiot, który powinien znajdować się właśnie tutaj. A może był choć jakiś ślad? Powiedz prawdę, ja nie spytam, czy ten przedmiot masz i gdzie. Tego pytania nie będzie. Chcę wiedzieć tylko, czy tam coś było. Tam albo w nakładce wałka od kanapy.

– To są dwa pytania. Jedno o wałek, drugie o ślady. Odpowiadam po kolei: ślad był. Takie jaśniejsze, nierówne koło, jakby tam było coś wciśnięte na duś. A co do wałka, to owszem, znalazłam, ale ci nie powiem co. W każdym razie to nie było ani okrągłe, ani... zresztą mogę ci powiedzieć. Co mi zrobisz? I tak nie znajdziesz. Tam było trochę pieniędzy. Możesz szukać do rana. W domu ich nie ma.

– Oj, głupi szczeniak z ciebie, cholernie głupi... Chwała Bogu,

że masz z czego żyć. Jakiej wielkości był ten ślad?

– Mniej więcej jak twoja dłoń. Ale teraz ja pytam. Mam trzy pytania. Pierwsze: czy podejrzewasz, że to ja zabiłam?

– Nie mam co podejrzewać. Ja prawie już wiem, kto zabił. Jedna z dwóch osób, ale żadna z nich nie jest tobą.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Albo kobieta, albo mężczyzna.

– Z powodu tego przedmiotu?

– Nie wiem tego na pewno, ale być może. Skup się teraz i pomyśl, czy znasz w domu jakąś cenną rzecz, która miałyby ten kształt i mogłaby się zmieścić za tym gzymsem?

Milczała. Dlatego, że się zastanawia, czy dlatego, że nie chce mówić? Zdawał sobie sprawę, że ta zabawa w szczerłość jest niepoważna, choć Krystyna wydawała się traktować ją serio. Ale przecież każde z nich dwojga może kłamać. I nic mu w tym nie przeszkodzi. Mimo to powiedział:

– Nie spytam cię również, gdzie jest ta rzecz. Tylko czy istniała.

– Możesz sobie pytać. Nie mam nic takiego. To mógłby być tylko stary Patek. Taki zegarek na dewizce. Po rodzinie ojca został. Bo ona nawet rodzinnych pamiątek mu nie dała, kiedy odchodził! Ale ten zegarek nie był cenny. To imitacja. Tomek go oglądał kiedyś, jak tu był. A Tomek się zna, bo pracuje w Londynie u antykwariusza.

– Często przyjeżdża?

– Kto? Tomek? Nie bardzo. Tak mniej więcej raz na trzy lata.

– A teraz? – spytał sierżant skojarzywszy sobie monstrualne zapasy z oczekiwaniem na dawno niewidzianego gościa.

– Wiesz, ile pytań już mam u ciebie? Trzy! No więc tak, miał przyjechać. Może nawet z narzeczoną, ale coś im tam wypadło, że nie. Potem zaczęli się umawiać z Lolkiem, no i w końcu nie wiem, na czym stanęło, ale chyba jak Lolek miał jechać do niego, to on nie jechał do nas. Nie wiem, mało mnie to obchodziło! O tym, żeby mnie zaprosić, to świnią nie pomyślał! Myślisz, że ten zegarek był tam za gzymsem?

– Tak wygląda.

– Kto by go wziął? Solnicka? Może myślała, że on jest

wartościowy?

– A ty uważasz, że nie był? To po co go szukałaś?

– Ja?

– Popatrz – wziął wałek od kanapy, przybliżył do światła. Teraz widać było dokładnie, że okrągłe nakładki niedawno odpruwano i przyszyto byle jak świeżymi nićmi. W momencie, kiedy pruł sam ten wałek i wyciągał z niego złote obrączki, przeszycia znać nie było. Miał dobrą pamięć wzrokową i mógł być pewny, że się nie myli.

– To niezupełnie tak było – powiedziała pośpiesznie Krystyna. – Lolek prosił, żeby przy okazji znaleźć ten zegarek dla Tomka, bo będzie głupio. W końcu matka mu obiecała. I że Solnicka może ukraść, jako zabezpieczenie za te swoje dolary, które jej tu przepadły.

– Czekaaj,czekaaj, powoli! Masz do czynienia ze starcem o zwapniałym umyśle. Nie rozumiem, dlaczego przepadły?

– A co? Udowodni komuś swoje prawa? Ile się dostaje za handel walutą?

– Rozmaicie – już rozumiał. Studolarówka w szlafroku, standard życiowy wysoki jak na parę emerytów, długi okres czasu, jaki przebywała sąsiadka w mieszkaniu zamordowanej, nim wezwała męża lub też nim oboje wezwali milicję. Zrozumiał nawet, dlaczego Marek wolał, żeby wszystkie pieniądze i kosztowności nieboszczki Sarnawieckiej znalazły się w milicyjnym depozycie.

– Mniejsza o to. Bezkarne by jej nie przeszło, więc słówka nie piśnie. Ona się asekurowała, dlatego skarbiec był u matki. Chyba nawet przed starym to ukrywała. On był za porządny. Przedwojenny kolejarz, honorowy, uczciwy. Solnicka na początku handlowała ciuchami. Ona ma łeb! On jej zawsze dygował walizy do pociągu, wsadzał do pierwszej klasy ze swoją kolejarską zniżką, ale ciągle się krzywił, że to takie niegodne zajęcie. Więc jak się skończyło z ciuchami i zaczęło z walutą, to ona mu nic nie powiedziała. Dla niepoznaki brała w walizeczkę parę szmatek i jechała do stolicy. Ze niby wszystko jak kiedyś, tylko na mniejszą skalę. To ten głupi się cieszył. Żeby wiedział, toby chyba umarł ze wstydu. Słuchaj, coś mi przyszło do głowy!

Ten twój lalusz pytał o drugi klucz! On musi być u Solnickiej! To pierwsza rzecz, jaką by ona złapała, jeśli tu weszła, kiedy matka już nie żyła. Gdyby mnie tu nie było, już by ryła! Ale ja się nie ruszę! Zrób rewizję u Solnickiej! Nie możesz?

– Nie. A sprawa z tym kluczem chyba jest bardziej skomplikowana.

– To ją odkomplikujemy! – zawołała wesoło Krystyna. – Ja mogłabym ci dużo pomóc. Jeśli chcesz. No i oczywiście jeśli mi ufasz.

– Na tyle, ile ty mnie.

– To wystarczy – roześmiała się. – Chodź do kuchni, zrobię kawę. I coś do jedzenia. Już świta. Chodź.

– Nie – powiedział ponuro sierżant. – Sama wypijesz kawę. Ja muszę wracać do domu. Zapomniałem na amen! Przecież ja mam psa! Ostatni raz jadł i wychodził wczoraj rano... Ona miała rację, że mi go nie chciała dać. Cholera! Miała rację!

– Ona?... – spytała Krystyna, a jej mina nie wróżyła nic dobrego. – Jaka ona?

Ale sierżant nie odpowiedział. Biegł przez ogródek przydeptując sznurowadła, gnany nie tyle niepokojem o mieszkanie, które nie było nigdy wzorem porządku, ile wyrzutami sumienia. Znał wspaniałomyślność psiej natury i był pewien, że Kilometr mu wybaczy, ale tym bardziej właśnie czuł się głupio.

* * *

– Jak długo jeszcze będę, u diabła, wysłuchiwał bredni i fantazji bez pokrycia! Dlaczego nie dokonaliście konfrontacji!? Gdzie Fidybus? – szalał major Kajtys.

– Na zwolnieniu, obywatelu komendancie.

– Znowu? Co to? Szpital, sanatorium? Wszyscy ciągle na zwolnieniach. Zabraniam – trzasnął pięścią w stół – dawania jakichkolwiek zwolnień Fidybusowi! Niech padnie na posterunku! To symulant! Walecki, możecie moją decyzję zakomunikować doktorowi!... A może panowie – z jadowitą uprzejmością zwrócił się w stronę siedzących w milczeniu

wokół stołu oficerów – uważacie ją za niesłuszną? Może powinienem ją z wami przekonsultować? A może zwolnienie to rzecz święta? Tak uważacie, kolego Karbolek? – zamilkł na chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi, więc ryknął na zakończenie: – Z grobu można człowieka podnieść, żeby go stawić do oczu, nie tylko z łóżka!

Cisza wokół stołu gęstniała. Wałęcki stał przy drzwiach wyprężony na baczność i nie wiedział, czy ma iść natychmiast komunikować ową decyzję dotyczącą Fidybusa doktorowi, czy czekać na dalsze rozkazy. Ponieważ doświadczenie zbiorowe uczy, że lepiej jest nie zrobić nic, niż zrobić coś źle w chwili, kiedy rozwścieczony zwierzchnik wydaje sprzeczne ze sobą rozkazy, więc prężył się służyć, milczał i usiłował wniknąć w ścianę koło drzwi, żeby stać się niewidocznym. Major Kajtys przemierzył parokrotnie pokój szybkim, marszowym krokiem i odezwał się nieco spokojniej.

– No więc? Co to za mętna brednia z tym kluczem i nakazem aresztowania? Na jakiej podstawie chcielibyście je otrzymać? Powiedźcie wreszcie jasno i bez jąkania! – Karbolek nie mógł wydobyć głosu. – Wałęcki! Po Fidybusa! Jak jest chory, to powinien leżeć w łóżku.

– Nie leży, nie leży – odezwał się zrzędliwym głosem zastępca komendanta – bo mu kochany doktorek napisał, że może chodzić. Dzwoniliśmy – nikt nie odpowiada.

– Wałęcki! Wykopcie mi go spod ziemi! Żywego czy umarłego! No więc co z tym kluczem? Pytam was przecież! Was pytam, Karbolek!

– W mieszkaniu Sarnawieckiej – zaczął drżącym głosem podporucznik – znaleźliśmy komplet kluczy, a w dwa dni później drugi, na którym były odciski palców Rosiakowej.

– Już to słyszałem. Następny etap!

– Sierżant Fidybus wróciwszy z podróży służbowej przywiózł wiadomość, że Rosiakowie mieli u siebie ten drugi komplet do dnia, kiedy Rosiak spotkał się z matką i te klucze jej zwrócił. Tymczasem Rosiakowa zaprzecza stanowczo, jakoby ona lub jej mąż mieli te klucze w ręku. Komunikowałem się z Rosiakiem. On też zaprzeczył.

– Porozumieli się – powiedział autorytatywnym tonem porucznik Pąk. – Uzgodnili zeznania, jasne jak słońce! Teraz będą się ich trzymać.

– Jedno mnie dziwi – zabrał głos zastępca – że Fidybus, który potrafi się truc narkotykami, łamie ręce i nogi, ryzykuje nieraz głowę sprawdzając zgodność zeznań, Fidybus, który nie wierzy nikomu, nawet sobie, nagle przyjmuje na wiarę zeznanie tej kobiety. Może ona właśnie skłamała wtedy...

– Ty sobie lepiej popatrz, co to za kobieta – porucznik Pąk podsunął na środek stołu zdjęcie Rosiakowej – to przestaniesz się dziwić.

Amatorskie zdjęcie podejrzanej obiegło cały stół. Oficerowie oglądali je z wyraźnym zainteresowaniem. Aż komendant musiał znów huknąć pięścią w stół.

– Dosyć! Daj to! – zdjęcie przedstawiało roześmianą kobietę w kolorowej, letniej sukience. – Dziwka to nie jest... – zadumał się major. – Piękność na pewno... Czy wy, u diabła, nie macie nic innego do roboty, tylko fotki oglądać? Karbolek, schowajcie to w tej chwili do teczki – oprzytomniał major, kiedy się już napatrzył do woli. – Walecki! Aha, już go nie ma! No więc jakie wnioski z przedstawionych faktów, panowie?... Żadne, jak widzę. Oczywiście, bo do tego trzeba by pomyśleć, a to już dodatkowa praca ponad wasze siły...

Zameldował się Walecki i to uchroniło zespół od dłuższego monologu szefa. „Adiutant” Kajtysa miał twarz poważną, ale oczy mu błyszczały złośliwą radością.

– Melduję obywatelu komendancie, że odnalazłem sierżanta Fidybusa.

– Gdzie?

– Na miejscu przestępstwa.

– Co on tam robił, u cholery?

– Melduję – Walecki wyraźnie czekał na to pytanie – że malował mieszkanie nieboszczki. W danej chwili kiedy wszedłem, to nie malował, tylko...

– Tylko co?

– Tylko siedział pół goły na drabinie i całował się z dziewczyną.

– Z jaką dziewczyną?

– Prima sort! Blondyna taka! – tu Walecki wyciągnął rękę przed siebie w międzynarodowym geście uznania dla kształtów opiewanej damy i zastygł w tej pozie pod miażdżącym wzrokiem komendanta.

– Walecki – powiedział ze złowieszczym spokojem komendant – radziłbym wam odejść i bez wezwania szybko mi się nie pokazywać. Fidybusa po skończonej naradzie chcę widzieć u siebie w gabinecie. Jedźcie i przywieźcie go tu natychmiast. Karbolek, możecie odejść. Jutro chcę mieć raport na piśmie. Tylko bez literackiej fantazji. Fakty i tylko fakty. Czego jeszcze, Walecki? Czego wy tu jeszcze sterczycie!?

– Chciałem zameldować, że sierżant Fidybus jest już w komendzie.

– Dawać!

Walecki wyskoczył jak z procy. Wiedział, że teraz się zacznie. I miał nadzieję, że nic z tego spektaklu nie umknie jego uwadze. Sierżant wygląda tak, że major musi dostać szału na sam jego widok. Zwolnienie zwolnieniem, a niebieskie wąsy, spodnie poplamione na różne kolory i zielony wąż namalowany olejną farbą na kosmatym torsie wyłazającym z przyciasnej koszuli nie będą na miejscu w gabinecie władzy najwyższej.

Istotnie, kiedy sierżant wszedł, twarz majora Kajtysa przybrała odcień sinofioletowy. Przez chwilę trwało ciężkie milczenie. Ktoś dusił w sobie narastający chichot i usiłował ukryć go w nagłym ataku kaszlu. Ktoś głośno i długo wycierał nos.

– Mam nadzieję, sierżancie, że wasza choroba nie jest śmiertelna i fakt, że kazałem was tu sprowadzić, nie odbije się fatalnie na waszym zdrowiu – opanował się wreszcie komendant. – W waszym raporcie są pewne niejasności, w związku z czym podporucznik Karbolek ma do was pytania. Ja też będę miał. Ale później – zabrzmiało to złowieszczo. – Proszę, podporuczniku.

Karbolek wolałby nie mieć żadnych pytań. Zrobiło mu się po prostu żal sierżanta, który stał tu przed nimi wszystkimi jak przed inkwizycją. Prywatny, śmieszny, bezradny. A będzie

jeszcze bardziej śmieszny, kiedy zacznie się publicznie tłumaczyć z tego, co zrobił. Że dał się nabrać na piękne oczy Rosiakowej, że zapomniał nagrać albo nawet wykasował taśmę. A te oczy muszą być piękne, kiedy o coś proszą... W tym momencie jednak przypomniał sobie, że według słów Waleckiego sierżant całował się dziś na drabinie z Krystyną Sarnawiecką, której przepaścisty dekolt utkwiał też podporucznikowi w pamięci, może nawet bardziej wyraziście niż oczy Rosiakowej, i wszystkie ciepłe uczucia dla sierżanta minęły, jak ręką odjął.

– Chciałbym, żebyście mi dokładniej naświetlili sprawę z drugim kompletem kluczy, który znajdował się uprzednio w posiadaniu Rosiaków. Kto wam o tym powiedział? Ona sama?

– Nie, obywatelu poruczniku – odparł po chwili milczenia sierżant – ja to zmyśliłem na poczekaniu.

– Po co?

– Żeby obywatel podporucznik wstrzymał się z wystąpieniem o aresztowanie Rosiakowej – odpowiadał na pytanie Karbolka, ale robił wrażenie, że nie mówi do niego. Zwrócony twarzą w stronę biurka patrzył prosto w oczy komendanta.

– Więc wy świadomie wprowadziliście mnie w błąd? – spytał żałośnie Karbolek.

– Tak jest, obywatelu podporuczniku...

Zrobiła się cisza absolutna. Major Kajtys okrążył biurko, stanął naprzeciw sierżanta. Szeroki, barczysty, z głową pochyloną jak do uderzenia „bykiem”, z twarzą nabiegłą krwią. Stał i patrzył.

– Gdybyś – powiedział w końcu przez zęby – zrobił to każdemu z nas, możebym ci i darował, ale ty zrobiłeś to najmniej doświadczonemu, najmłodszemu, któremu powinieneś pomagać... To już jest poza urzędową nomenklaturą, to jest po prostu normalne świństwo!... Panowie, możecie wrócić do siebie. Pan także, podporuczniku.

Po wyjściu oficerów major z zaciśniętymi pięściami podskoczył do Fidybusa.

– Ty błźnie! W cyrku powinieneś pracować, a nie w milicji! Jakim prawem robisz z siebie pośmiewisko, a tym samym farsę

z naszej pracy! Kompromitujesz mnie, kolegów, służbę! Sam się kompromitujesz! Jak ty wyglądasz!?

– A po co wkraczasz w moje życie prywatne? Po co mnie wzywasz jak na pożar?

– Nie ma życia prywatnego dla ludzi, którzy reprezentują prawo!

– Ja niczego nie reprezentuję! Jestem urzędnikiem państwowym jak każdy inny i zarabiam na życia tropieniem morderców.

– Ty śmiesz mówić o tropieniu morderców! Ty, który nie wahasz się dla osłaniania ładnej baby, której sytuacja jest istotnie podejrzana, na takie draństwo!

– To nie tak było, zrozum – sierżant też tracił spokój. – Myślałem, że tymczasem zdążę dostarczyć dowody – drżącymi nieco rękami wyciągnął z kieszeni paczkę sportów. Major wytrącił mu ją z ręki.

– Pozwoliłem ci palić? Jak stoisz? Milcz! Nie chcę słyszeć twoich wykrętów!

Sierżant przykleknął na jedno kolano, pozbierał rozsypane papierosy, a kiedy wstał, był już spokojny. Powiedział powoli głuchym, ochryplym głosem.

– Nie będę milczał i nie zamierzam się wykręcać. Nie jestem na służbie i przyszedłem tu z dobrej woli, choć mogłem Wałęckiego odesłać do wszystkich diabłów. Stoję tu przed tobą jako osoba prywatna i jako taka mówię ci, że nie masz prawa na mnie wrzeszczeć. Zrozumiałeś, Jurek?

Sapanie Kajtyasa przypominało odgłos lokomotywy ciągnącej podwójny skład pod górę.

– Zrozumiałem – powiedział w końcu major. – Zrozumiałem, że przeholowaliśmy obaj. Ty w bezczelności, a ja w dawaniu ci swobody. Dobrze, dziś jesteś osobą prywatną, bo masz zwolnienie lekarskie, ale fałszowałaś dane w śledztwie jako osoba urzędowa. Znasz konsekwencje takiego czynu i możesz być pewien, że żadne okoliczności łagodzące tu nie zaistnieją. A teraz, ponieważ do sprawy Sarnawieckiej już nie wrócisz, możesz przekazać mnie wszystko to, co miałbyś do przekazania Karbolowi. Lepiej wyjdzie, jeśli nie będzie musiał

korzystać bezpośrednio z twoich informacji.

Sierżant Fidybus milcząco sięgnął do kieszeni. Wyciągnął owinięty w bibułkę tandetny breloczek w kształcie świnki z urwanym łańcuszkiem.

– Leżał na deszczu. Prawdopodobnie nic tu nie znajdziecie, ale może przyda się do akt zamkniętej sprawy. A ty, zanim zgodzisz się na aresztowanie Rosiakowej, obejrzyj zdjęcia i zastanów się razem z Karbolkiem, jak można otworzyć drzwi nie dotykając kluczy...

– Siadaj – westchnął major. Wyglądał tak, jakby uszło z niego powietrze. – Przecież wiesz, że nikt mu nie da nakazu aresztowania. Gdzie to znalazłeś?

– Tam, gdzie i to – wyciągnął z drugiej kieszeni kawałek brudnej tłustej szmaty, również pieczołowicie zawinięty w bibułkową serwetkę.

– Co z tego wynika?

– Że ktoś, komu potrzebne były odciski palców Rosiakowej, trzymał w tej naoliwionej szmacie klucze. Tutaj, w dziupli drzewa rosnącego obok sionki. Brelok leżał pod drzewem. W trawie. Zgubiony? Wyrzucony? Ale szmata była wewnątrz. Nie zdążyłem dać do zbadania. Jeśli to zrobicie, okaże się pewno, że na kluczach jest ten sam smar.

– A ślady palców Rosiakowej tylko na kółku?

– Tak.

– A na kluczach?

– Wytarte. Nie ma.

– No tak... – sapnął major. – Czy ty zawsze musisz tak pokrętnie? Znaczy ktoś ją wrabia... Ale ty naprawdę nie możesz wrócić do tej sprawy. Zrobiłeś głupio. Gorzej – ja cię chyba powinienem zamknąć...

* * *

Podporucznik Karbolek zjadł w milczeniu późny obiad i wyszedł na spacer. Przekazane mu przez majora Kajtysa przedmioty wprowadziły go w fatalny humor. Sierżant łąził, łąził, aż wyłąził! Tyle drzew w tym ogrodzie, a on znalazł

właściwe. Z dziuplą i z dowodami rzeczowymi, które wskazują, że istotnie ktoś usiłuje wrobić Rosiakową. Właśnie! Z tą Rosiakową!... Czy sierżant musiał tak głupio postąpić? Gdyby powiedział, jak człowiek, że jeszcze nie czas, że ma wątpliwości, że... Gdyby tak powiedział, to podporucznik Karbolek odpowiedziałby mu, że proszę bardzo – sierżantowi wolno się bawić w wątpliwości, ale on ma dość materiału, żeby zamknąć śledztwo i aresztować podejrzaną. Po czym usiłowałby to zrobić. Tak był pewny siebie, taki genialny, a teraz wstyd!

Podporucznik Karbolek był zawstydzony szczerze i naprawdę. Raz dlatego, że się wygłupił, a dwa, bo nie wiedział, co ze znalezionymi przez Fidybusa przedmiotami zrobić. Dla sierżanta miały one zapewne wyraźną wymowę, ale dla Karbolka były niejasne. Wiedział tylko, że za jednym pociągnięciem Rosiakowa z osoby najbardziej podejranej stała się kimś poza podejrzeniami. Ona jedna nie zamieniałaby kółka od kluczy, żeby na siebie samą rzucić podejrzenie. Kółko... To cholerne kółko. Podporucznik Karbolek miałby ochotę zabić siebie samego za nieuwagę. „Jak można otworzyć drzwi nie dotykając kluczy?” Oglądał te zdjęcia przed Fidybusem. Jeszcze wilgotne, jeszcze ciepłe. I co? I nic! Oszałał ze szczęścia, że jakiegokolwiek ślady tam są, ale nie pomyślał, że to nienaturalne. Czytał opis. Wyraźnie było tam „na kółku od kluczy...” I nadal nic! Jakby go zaćmiło! A teraz wszystko się potwierdziło. Ekspertyza wykazała, że klucze leżały w naoliwionej szmacie, a łączące je kółko nie. Na łańcuszku tylko ślady rdzy. Tak jak przewidywał Fidybus. Ale Fidybusa nie ma i przy tej sprawie już do końca nie będzie. Tak zapowiedział major Kajtys. Karbolek odczuł równie wielką ulgę, jak i niepokój. Miał wrażenie, że nie umiejąc pływać został rzucony na głęboką wodę i musi sobie za wszelką cenę sam poradzić. Nie ma nikogo, kto by mu pomógł, ale również może być spokojny, że nie ma w pobliżu nikogo, kto dla psich figlów może go pociągnąć za nogę...

Tak rozmyślając znalazł się podporucznik na ulicy Pratchawca obok pralni świadczącej nadal swe usługi dla ludności. Udał sam przed sobą szczerze zdumienie, że się tu

znalazł, ale skoro już się znalazł, postanowił ten fakt wykorzystać równie produktywnie, jak zrobiłby to sierżant Fidybus. Należało znaleźć urzędowy pretekst do odwiedzin, wejść, spojrzeć na mieszkanie świeżymi oczyma, porozmawiać w pozornie lekkim, nieobowiązującym tonie z urodziwą spadkobierczynią... Nie, jeśli urzędowy pretekst, to i urzędowa rozmowa, jeśli zaś nieobowiązujący ton, to i wizyta może być prywatna. Przynajmniej na pozór, bo oczywiście nie ma wątpliwości, że zostanie ona odbyta wyłącznie dla dobra śledztwa...

– Halo, poruczniku! – usłyszał Karbolek głos Krystyny Sarnawieckiej i z pewnym zażenowaniem stwierdził, że przez cały czas rozmyśla tuż obok furtki do domku denatki. – Jak to miło widzieć pańską wytworną postać. Może się wreszcie od pana dowiem, kiedy mi dacie trochę świecidełek i pieniędzy? Czy wasz depozyt otwiera się tylko w jedną stronę?

Karbolek przełknął ślinę i postanowił, że koniecznie musi zobaczyć ową dziuplę, w której sierżant Fidybus znalazł szmatę. Niestety, kiedy spojrział na Krystynę, zrozumiał, że nie uda mu się wmówić w siebie, że interesuje go tylko dziupla i nic więcej. Zdążył już zauważyć, że Krystyna jest ładna i bezwstydną, ale nie wiedział, że do tego stopnia. Stała teraz wdzięcznie oparta o grabie, jasne włosy miała związane w infantylne pędzelki, ale jej bynajmniej nie infantylny biust okryty był tylko mikroskopijną zieloną przepaską. Krótkie obcisłe spodenki ledwo zakrywały fertyczną pupę, co Krystyny bynajmniej nie peszyło. Stała tak, w tym plażowym stroju, doskonale widoczna z ulicy, niefrasobliwa i urzekająca.

Ona z Fidybusem na drabinie! – jęknęło coś w Karbolku. – O, nie!

– No, niech pan powie coś sensacyjnego, poruczniku. Wsadziliście już moją bratową za kratki?

– Czy pani naprawdę nie lubi nikogo ze swój ej rodziny?

– W każdym razie trudno lubić Agnieszkę. Można ją szanować, podziwiać, ale lubić? To nie jest człowiek do lubienia.

– Tak pani sądzi?

– Owszem, sędzę. Czy mój osobisty sąd to okoliczność obciążająca?

– Skądże znowu! Dlaczego?

– Bo już nie wiem, jak rozmawiać z glinami. Co powiem słowo, to się gryzę w język, że może to komuś zaszkodzi.

– Ja nie jestem taki pochopny w swoich sądach – powiedział podporucznik, ale Krystyna nie podtrzymała tematu. Rozmowa się urwała. Podporucznik jednak nie odchodził.

– Pani pracuje? – spytał w końcu, kiedy już nie mógł dłużej milczeć. Spojrzała kpiąco.

– Jak pan widzi. A może chce mi pan pomóc? Mam ściany do drapania, dywany do trzepania, okna do oleju i ścieżki do pielenia. Co pan woli?

– Ja...

– Rozumiem! Pan jest oficerem śledczym na spacerze służbowym i takie zajęcia nie licują z pana godnością. No tak, sierżant to co innego... A propos sierżanta – spytała nienaturalnie nonszalanckim tonem – gdzie go pan odkomenderował? On świetnie rozrabiał kolor.

– Tajemnica służbowa – odparł równie lekkim tonem Karbolek, ale poczuł w sercu wyraźne ukłucie zazdrości. Ta dziewczyna naprawdę chciała się czegoś dowiedzieć o Fidybusie i bardzo niezręcznie maskowała swoje zainteresowanie.

– Mniejsza o to! Może pan ma ochotę zamknąć tę furtkę od wewnątrz i zapalić ze mną papierosa?

– Ja... chętnie! Oczywiście! Jeśli tylko nie będę pani przeszkadzał – szybko znalazł się za ogrodzeniem. Krystyna poszła naprzód, otworzyła szeroko drzwi do mieszkania i stanęła czekając na zachwyty. Ściany i sufit salonu pomalowane były na kolor błękitny. Ten sam, który Fidybus miał na wąsach. Znikła komoda, tremo, ciężka kanapa z oparciem. Został z niej tylko tapczanik, wąski, nieduży, przykryty cepeliowskim kilimem. Ocalały jeszcze z pogromu dwa głębokie klubowe fotele, które przedzierał mały, jasny stoliczek. Chyba świeżo kupiony. W kącie stał kamienny garnek pełen jaśminu. Odurzający zapach snuł się po pokoju.

– No i co? Można tu teraz żyć? – zrzucając po drodze klapki wskoczyła obiema nogami na fotel i zwinęła się tam w kłębek. – Jak się panu podoba? Gdzie te papierosy? To pan ma mnie poczęstować. Ja pana tylko zapraszam, ale nie mam ani jednego – kiedy pochyliła się, żeby przypalić papierosa, zauważył, że piersi ma tak samo opalone jak ręce i nogi. Wyobraził ją sobie leżącą nago na piasku, rozleniwioną, bezwolną i... zapalka sparzyła go w palce. Wypuścił ją na świeżo froterowaną podłogę. Krystyna popatrzyła na niego roześmianymi oczami. Dałby głowę, że odgadła jego myśli i kpiła z nich na potęgę.

– Widzi pan, to tylko część roboty – odezwała się po chwili poważnie. – Jutro miałam robić sufit w tamtym pokoju, ale potrzebuję do tego wysokiego mężczyzny bez urzędowej godności. No, niech się pan przyzna, co pan zrobił z wąsatym? I niech mi pan go odda jeszcze na trochę. Zwrócę nieuszkodzonego po remoncie.

– Niestety – powiedział surowo Karbolek – sierżant Fidybus leży w szpitalu.

– Co się stało? Czy można by go odwiedzić? – w głosie Krystyny była odrobina prawdziwego niepokoju i Karbolek poczuł, że bydlę zazdrości znów ugryzło go w samo serce.

– Nic szczególnego. Po prostu doktor położył go do łóżka, bo uznał, że z rozbitą głową nie należy malować sufitów – odciął się podporucznik.

– To fatalnie! Kto mi dotrzyma towarzystwa dzisiejszej nocy? Może pan, poruczniku?

– Ja...

– Pan się waha? Jestem zawiedziona! Jedyne mężczyzna, na którego jeszcze mogłam liczyć! Jedyne, który jest za pan brat z mordercami i duchami! O, jakie to przykre zaskoczenie... – teatralnym gestem założyła dłonie na kark, odgięła się na oparciu fotela. Mimo całej sztuczności tej pozy była ona tak kusząca, że Karbolcowi zrobiło się duszno.

– Powinna się pani dobrze pozamykać – ratując resztki godności wstał z fotela i podszedł do drzwi. – Zaraz obejrzę wszystkie zamki. Okno od spiżarni też trzeba wreszcie

zabezpieczyć. Już nie musi się pani zakradać do domu po kryjomu.

– Mam pozamykać okna?

– Oczywiście.

– W taką noc?... – wstała, przeciągnęła się leniwie. – Czy pan nie czuje, jak dziś parno?... – mówiła zmysłowo, powoli, jakby parodiując filmowe gwiazdy dawnych lat.

Wiedział, że ona się tym bawi, że robi to dla żartu, ale nie potrafił wpaść w ten sam ton.

– Tak... taki niepokój w powietrzu... – wybąkał. – Ja... – nie wiadomo kiedy dziewczyna znalazła się między nim a ścianą. Miał tuż przy swojej twarzy jej ruchliwe, pełne wargi, przymknięte oczy. Chwycił ją wpół i przyciągnął ku sobie. Bolesnie uderzyła go łokciem w dołek.

– Co to? Na żartach się pan nie zna?

– Widocznie się nie znam. Przynajmniej nie na takich – poczuł się jak obłany kubłem zimnej wody. – Przepraszam panią i żegnam. Mam nadzieję, że bez trudu znajdzie się ktoś odpowiedniejszy, kto dotrzyma pani towarzystwa – obciągnął mundur, bo mimo upału chętnie chodził w mundurze, i położył dłoń na klamce.

– Za co się pan obraził? – spytała pojednawczo. – Za to, że nie jestem dziwką, którą każdy może sobie obmacywać? Czy za to, że śmiałam zażartować?

– Skąd miałem wiedzieć, że to żarty? Z sierżantem się pani naprawdę całowała! – wybuchnął. – Na drabinie! Kolega widział! Więc co ja miałem myśleć?

– Całowałam się! I nie tylko! Jaki stąd wniosek? Że każdy może do mnie z łapami? Nie, kochasiu! To, co robiłam z nim, to moja prywatna sprawa. Moja i jego.

– Ależ ja... to znaczy on...

– No co pan, co? – stała z rękami na biodrach, oparta plecami o ścianę, okrutna w swojej urodzie. – Między nim a panem nie ma żadnego znaku równości. Pan jest schludny, zaprasowany na kant świntuszek. Myśli pan, że ja nie widzę, jak mnie pan obmacuje wzrokiem, jak się pan ślini zaglądając mi za dekollet? Sądzi pan, że ja nie wiem, co pan przed chwilą

myślał? Szukał pan stosownego pretekstu, usprawiedliwienia przed samym sobą, żeby móc skorzystać z okazji. Bo pan jest z tych, którzy na wszystko muszą mieć okazję. A on się nie ślinił i nie szukał pretekstów. Został ze mną, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie. Został, bo chciał. I tak samo odszedł. Skoro odszedł, to przestał dla mnie istnieć, ale jeśli wróci, będzie znów tak samo, jak było... Pan tego nie potrafi. Pan w ogóle powinien chodzić na płatne dziwki albo ożenić się z jakąś porządną, stosowną dziewczyną i egzekwować od niej regularnie małżeńskie świadczenia. To jest właśnie forma kurewstwa odpowiednia dla pana!

Przeciw czemu ona się tak buntuje? – myślał Karbolek. – Co chce osiągnąć? I dlaczego prowokuje w sposób tak oczywisty?... Miał ochotę uderzyć dziewczynę albo zamknąć jej usta pocałunkiem. Pocałunkiem, po którym nie mogłaby złapać tchu, po którym zwisłaby w jego ramionach uległa i na zawsze zwyciężona. Tego chciał, do tego możeby dążył, gdyby nie fakt, że ona mówiła o Fidybusie jak o swoim kochanku. Niemożliwe! A może zrobiła to, żeby wzbudzić zazdrość podporucznika Karbolka? Może chciała mu pomóc przełamać opory? Może ona lubi, żeby z nią postępować twardo? Brutalnie nawet!

Postąpił krok naprzód. Nie cofnęła się. Była tak blisko, że czuł ciepło jej wspaniałego ciała. Był gotów do zdecydowanego ataku. Wtedy wycedziła przez zęby:

– Niech pan już sobie idzie. Bo jeśli dotknie mnie pan choć jednym palcem, oberwie pan po swojej ślicznej buzi... A ja mam rękę Sarnawieckich!

Chwycił czapkę i wybiegł. Na ulicy ochłonał. Zwolnił. Wiedział, że zachował się głupio. Najgłupiej jak można. Od początku do końca. Przecież takie prowokowanie i odstraszenie równocześnie to normalna babska gra. Każdy to wie, tylko, że równocześnie w wykonaniu Krystyny stała się ona niezwykle gwałtowna, pełna pasji i prawdziwej namiętności. Za to jakie wspaniałe byłoby zwycięstwo! Ta dziewczyna ma w sobie wulkan!... A może wrócić?... Wrócić! Wejść bez słowa, zagarnąć ramieniem, nie dać ani chwili czasu... A jeśli o to jej chodzi? Jeśli ma za zadanie sprowokować jego, oficera prowadzącego

śledztwo? Zawrócić mu głowę, zmącić jasność myśli! To perfidna, wyrachowana dziewczyna. Z sierżantem jej się udało. To wszystko mogła być prawda! Na tej drabinie i nie tylko... Stracił głowę! Nic dziwnego. Może dlatego narobił głupstw? Licho wie, kiedy go rozpracowała? Taka dziewczyna może zrobić ze starzejącym się mężczyzną wszystko, co zechce. Nieraz się o tym słyszało. Może go sobie owinąć dookoła palca. Czy on jej zdradził coś ważnego? Jakies tajemnice śledztwa? – Karbolek przyspieszył kroku. – Trzeba się z sierżantem porozumieć, trzeba również zadzwonić, żeby jej przypadkiem do niego nie wpuszczono, bo przecież... – stanął uderzony nagłą myślą – przecież Krystyna jest jedyną osobą, o której wiadomo, że ma niepodważalne alibi, a więc według pewnej starej, przewrotnej teorii jedyną, która może być winna morderstwa... Przecież każdy to wie, że pierwszą rzeczą, o jaką stara się człowiek mający na sumieniu przestępstwo, jest dowód, że on tego przestępstwa nie mógł popełnić...

* * *

Doktor Gatunek, naczelnny „trupolog”, wcale nie kochał swojej pracy. Wolał zajmować się żywymi. Toteż otwarcie niedużego szpitaliku przy komendzie powitał z euforyczną radością i nie spoczął, dopóki nie został naczelnym lekarzem. Miał roboty co niemiara, ale wciąż za mało. Przynajmniej teraz. Ludzie latem niechętnie kładą się do łóżek, o co lekarz miał stałą pretensję. Zajrzał, schodząc z dyżuru, do swoich niewielu chorych, stwierdził, że wszyscy oni, poza jednym funkcjonariuszem, który otrzymał postrzał w otrzewną, kwalifikują się w najbliższym czasie do wypisania, i na koniec wszedł do separatki, gdzie umieścił swój „przypadek specjalny”.

– Jak się czujesz, stary? Może ci coś potrzeba? Sierżant Fidybus siedział na oknie i czytał „Psychologię wieku dojrzewania”. Łypnął na lekarza złym okiem spod bandaży, którymi Gatunek obficie, niż trzeba, owiązał mu głowę.

– Oczywiście, że trzeba! Kopa w dupę, żebym się znalazł

daleko od tej twojej cholerne] budy. Daj zapalić!

– Jesteś niewdzięczny – doktor wyciągnął papierosy i przysiadł na łóżku. – Gdyby nie ja, Kajtys wtrąciłby się do ciemnicy razem ze szczurami.

– Miałbym przynajmniej jakieś miłe towarzystwo. Nauczyłbym je paru pożytecznych sztuczek, którymi potem mogłyby zarabiać na życie w cyrkach, kiedy by już Kajtys przestał oddanych pracowników wrzucać do lochu. Oddaj mi moje portki!

– Nie ma mowy.

– Pożycz. Na parę godzin. Rano zwrócę

– Powiedziałem, że nie ma mowy! Odpowiadam za ciebie. Jesteś poddany ścisłej obserwacji. Grożą ci poważne powikłania. Aha, dzwoniła twoja gospodyni. Nie może wejść do mieszkania, bo dostępu broni jakiś straszny pies. Kłapie i warczy.

– Powiedz jej, żeby mu dała jeść, a potem otworzyła drzwi na dwór. To jest inteligentny pies. Zje i wyjdzie sobie na spacer. Ona wejdzie i wtedy on będzie tam gościem, a ona gospodarzem. Ona będzie wtedy mogła na niego kłapać i warczeć. Wytlumaczysz jej to?

– Spróbuję – podniósł się doktor.

– Nie dasz portek?

– Nie dam.

– To przekaz Karbolkowi kartkę.

– Tyle mogę dla ciebie zrobić. Co piszesz? W sprawie śledztwa? To nie pisz.

– Dlaczego?

– Nie wrócisz już do tej sprawy – burknął lekarz niechętnie.

– Komenda aż się trzęsie, wszyscy oburzeni, żeś usiłował podłożyć świnie młodszemu koledze. Wyszło na jaw, że mu bruździłeś od samego początku, że kpiłeś z jego pracy, że...

– Powiedz Karbolkowi, żeby się ze mną zobaczył.

– Nie przypuszczam, żeby on miał na to ochotę. Nie pchaj już nosa do tej sprawy. Po co ci to? Najpierw zachowujesz się niepoważnie, ja wiem, że nie ze złej woli, tylko z debilizmu, ale potem są nieobliczalne skutki. Kajtys teraz leje oliwę na te

wzburzone fale, Karbolek chodzi w aurze skrzywdzonej niewinności, Pąk rozpowiada, że gdyby nie miał tych handlarzy na łbie, to w dwa dni zakończyłby to, coście rozbabrali z Karbolkiem, i niewykluczone, że on właśnie przejmie tę sprawę, bo handlarze są już prawie u prokuratora. No, to byłoby tyle plotek na dzień dzisiejszy. Aha, chciała się z tobą widzieć szalowa blondynka, ale uprzedzono mnie, że mam jej nie wpuszczać. Dała coś dla ciebie. Czekaj, taki całkiem mały pakiecik... Gdzie ja go mam? – macał się po kieszeniach

– Znajdź – powiedział sierżant. – Myślę, że to ważne.

– Na pewno zostawiłem w gabinecie... O, jest! Czy to też w związku ze sprawą?

– Tak – sierżant rozwinął pakiecik. Była w nim odrobina białego proszku. – Pożycz portki!

– Do jasnej cholery! – ryknął doktor. – Czy ty nie słyszysz, co do ciebie mówię?! Czy ty nie masz już ani odrobiny ambicji? Słusznie czy niesłusznie, ale wszyscy mają cię w tej chwili za człowieka, któremu nie można wierzyć. Prawdopodobnie nikt w komendzie nie chciałby z tobą gadać! Czy ty nie rozumiesz, że ja cię chcę przetrzymać tu, dopóki ta sprawa nie ucichnie?!

– No to pożycz portki. Muszę się zrehabilitować.

– Ośle uparty! – doktor bliski był apopleksji. – Może bym ci nawet dał te portki, bo cię znam nie od dziś i wierzę, że świnia nie jesteś, ale czy ja mogę mieć pewność, że tu nie chodzi o jakąś twoją wyimaginowaną sprawiedliwość, o jakieś jednostkowe racje, których nikt nie podziela, a które tobie wydają się najważniejsze? Mieliśmy z tobą takie przypadki?

– Mieliście.

– No to idź spać i przestań czytać na noc takie ciężkie książki. Wziąłbyś lepiej od panny Basi coś dla rozrywki. Jakiś romans albo kryminał.

– Czytujesz dla rozrywki opisy sekcji?

– Nie, bo je robię.

– Widzisz. Co do romansów to ja je też jeszcze czasem robię, a z bajeczek o dzielnych nieomylnych i ofiarnych oficerach MO już wyrośłem.

Po omacku podszedł do nocnej lampki, przykrył ją, zasłonił okno i dopiero wtedy zapalił światło. Krystyna leżała na wznak przykryta cienką narzutą z tapczanu, pod którą jej kształty rysowały się całkiem wyraźnie. Nie można powiedzieć, że sierżant Fidybus tego nie zauważył, ale zdawał sobie sprawę, że nie po to tu przyszedł. Krystyna zamamrotała przez sen i odwróciła się tyłem do światła. Znów oddychała miarowo i sierżant pomyślał z podziwem, że ta dziewczyna jest naprawdę odważna. Niewielu znał ludzi, którzy potrafiliby zasnąć spokojnie w mieszkaniu, gdzie przed kilku dniami popełniono morderstwo, a ona spała tu zupełnie sama, świadoma, że morderca jeszcze jest na wolności i że ten dom jest ciągle terenem penetracji dla różnych osób. Dla niej zresztą też. Czy chciwość, zachłanność dawały jej to złudne poczucie bezpieczeństwa, dodawały upor i siły do „trwania na posterunku”?

Delikatnie położył dłoń na ramieniu dziewczyny. Otworzyła oczy. A jednak przez moment był w nich strach. A potem błysk radości rozjaśnił półprzymknięte spojrzenie. Skoczyła na równe nogi, była naga. Przyłgnęła do niego całym ciałem ciepłym od snu.

– To ty! Jesteś! Puścili cię? Uciekłeś! Co ty masz na sobie!

– Ukradłem. To doktora.

– Zrzuć natychmiast!! – popatrzyła na niego i zaczęła niepowstrzymanie chichotać. – Co ty masz za pomysły! Czekaj, znajdę może coś z mojego ojca. Zrzuć te szmaty! Wszystkie! I chodź do mnie! Blisko... – przedarła się wreszcie przez zwoje obszernej szaty sierżanta i przycisnęła twarz do jego kosmatej piersi. Obejmował ją nadal nieufny. Kiedy pochylał się nad dziewczyną, czuł wyraźnie swój odsłonięty na ciosy kark. Czuł za plecami ciemność, w której powinien ukrywać się ktoś zdecydowany. Jakiś młody byczek, z którym ta mała kładzie się do łóżka z prawdziwą przyjemnością, bez udawania. Gdyby uwierzył, że jej przyspieszony oddech, jej rozedrgane wargi, słowa urywane, śmiech pełen radości, że to wszystko jest

szczerze, dla niego i przez niego spowodowane, wtedy zginąłby z kretesem. Przypominał więc sobie co chwila, kim jest, ale mimo to ogarniało go rozrzewnienie. Pochylony muskał wąsiskami pachnące włosy i mruzczał bezradnie jakieś szorstkie czułe słowa, choć tak bardzo nie chciał być śmieszny.

– Ty szczeniaku... no czego? Ty głupi szczeniaku, uciekaj do łóżka, bo zmarzniesz... Goły jesteś i głupi! No, uciekaj! Drżysz przecież...

– To ty jesteś głupi! Ja nie dlatego! Ja chcę ciebie! Bardzo chcę! I dlatego... Był tu dziś ten twój porucznik. On nie winien, że on przy tobie... no, że jego wcale nie ma! A ja musiałam komuś o tobie mówić! Że ty i ja... Czy ty musisz zaraz odejść?

– Muszę. Ale nie odejdę. Jeśli zechcesz coś dla mnie zrobić.

– Wszystko! Tylko bądź ze mną! Bądź!... Mnie nie wpuścili do ciebie! Wiesz o tym? Ale oddałam. Dostałeś?

– Tak. Gdzie to znalazłaś?

– Na półce z książkami w moim pokoju. Ale ja tego tam nie kładłam. Słowo daję! Nie wiem, skąd się wzięło. Co to jest?

– Prawdopodobnie trucizna.

– O Boże, omal nie spróbowałam! To naprawdę nie moje...

– Pewnie że nie twoje – mruknął sierżant. W dniu morderstwa przejrzał wszystkie książki w całym domu w poszukiwaniu listów. Na półce Krystyny nie było nic. Pakieciki z proszkiem, jak i drugi komplet kluczy zostały podrzucone już po morderstwie. Kiedy? W niedzielę? Dlaczego akurat z niedzieli na poniedziałek nie przyszło mu na myśl, żeby się przespać w mieszkaniu denatki? Tajemniczy ktoś miał cały dzień i noc na fabrykowanie fałszywych śladów. Jednak sierżant był przekonany, że ten, kto je fabrykował, prawdopodobnie robił to dopiero wtedy, gdy zjechała już cała rodzina. Nie tylko dlatego, że wtedy podejrzenia padają na wszystkich. W niedzielę jeszcze chyba nie był gotowy...

– Tylko z tego powodu przyszedłeś?

– Nie tylko. Ale z tego także...

Westchnęła. Nic nie powiedziała. Mocniej przycisnęła ją do siebie.

– Nie oszukujesz... To może i lepiej. Ale ja jestem dość ładna,

żebyś mnie chciał, nawet jeśli nie po to przyszedłeś, prawda? Powiedz!

– Przestań gadać! Przestań! – zapomniał o śmieszności, szorował zapamiętałe wąsikami po twarzy dziewczyny, po jej karku i ramionach. Nie chciał pamiętać, po co uciekł ze szpitala ani o tym, że musi być czujny i przytomny.

Nie zdążył wrócić przed świtem. Stróż już wyszedł zamiatać podwórze. Sierżant Fidybus dygotał w porannym chłdzie, ćmił papierosa ukryty za śmietnikiem i zastanawiał się, czy Gatunka budzili w nocy, czy nie. I czy dozorca zauważy zwisający z jednego okna sznur upleciony z wielu elastycznych bandaży.

Na szczęście stary nie był pedantem. Machnął parę razy miotłą i wrócił do dyżurki na dalszą drzemkę. Sierżant dwoma susami przebył podwórze i uchwyciwszy koniec sznura szybko wspiął się na pierwsze piętro, przełożył nogę przez parapet i... stanął oko w oko z doktorem Gatunkiem odzianym w szpitalny szlafrok, spod którego wystawały włochate nogi. Bez spodni, jako że miał je na sobie sierżant Fidybus.

* * *

Krystyna Sarnawiecka ze zgrzytem wrzuciła trójkę i ogromnym, jak sądziła, pędem przejechała do następnego skrzyżowania. Tam znowu, złana potem, manipulowała biegami odpornej maszyny. Ktoś za nią trąbił, ktoś ją wymijał pukając się demonstracyjnie w czoło. Zanim uporała się ze zdezelowaną skrzynią biegów, zmieniło się światło i dziewczyna, ku swemu przerażeniu, wjechała na białe pasy przy czerwonym roztrącając tłum spłoszonych przechodniów. Gwizdek milicjanta i karzący gest dłoni w białej rękawiczce zmusił ją do zjechania na bok.

– Obywatelka nie zna przepisów? – zaczął surowo zadartonosy blondynek, ale zajrzawszy do wozu pojaśniał od wewnątrz i dodał pojednawczo: – Ja wiem, że trudno jest jeździć w obcym mieście, ale tym bardziej trzeba uważać. Obywatelka jest z Łopatowa, prawda? Bardzo miłe miasteczko – spojrzał jeszcze raz na numer rejestracyjny i nagle twarz mu

spoważniała: – Niech obywatelka zjedzie tu na bok. Ja zaraz wrócę – powiedział urzędowym tonem.

– Po co? Ja mandat zapłacę, ale niech mi pan nie każe czekać. Spieszę się. Mam jeszcze taki kawał drogi przed sobą...
– uśmiechnęła się prosząco.

– To nie potrwa długo. Musimy coś sprawdzić. Kartę wozu proszę!

Odszedł. Na środku ronda stał drugi. Przez chwilę rozmawiając spoglądali w jej kierunku, potem zagłębili się w studiowanie karty wozu. O co im chodzi? Niedługo się zacznie szarówka, a temu gratowi wysiadł jeden reflektor. W ogóle co za trup! Złomowisko! A tak się cieszyła, kiedy Mikołaj powiedział, że mogłaby wziąć jego samochód w tę „służbową” podróż. Samochód! Trzeba mieć czelność, żeby nazywać toto samochodem!

Przerwała te rozmyślenia, bo do wozu podszedł drugi milicjant. Starszy i niezbyt, sądząc po minie, zadowolony z życia. A już na pewno nie skłonny ulec urokom sexbomby za kierownicą.

- Dokumenty proszę.
- Dałam prawo jazdy i kartę wozu tamtemu panu.
- Poproszę dowód osobisty obywatelki.

Podawała. Studiował uważnie, porównywał zdjęcie z oryginałem i wsadził dowód do raportówki.

– Obywatelka dalej nie pojedzie. Proszę tu poczekać. Zaraz funkcjonariusz odprowadzi do komendy.

– Ale co się stało? Dlaczego? Ja muszę jechać do domu! Co to wszystko znaczy?

– Na komendzie obywatelka się dowie.

– Proszę pana, niech pan będzie miły, niech pan jeszcze raz wszystko sprawdzi – poprosiła pokornie tłumiąc złość. – Może to jakaś pomyłka? Może to wcale nie o mnie chodzi? Wiem, że musiało zajść jakieś nieporozumienie, ale jak zaczniemy to wyjaśniać dopiero w komendzie, to się zrobi późno, a ja się boję jechać po nocy...

– Może i nieporozumienie, ja nie wiem – jednak trochę zmiękł – ale nie można inaczej. Był meldunek o kradzieży tego

WOZU.

* * *

Rezultaty przeszły wszelkie oczekiwania. Porucznik Pąk, odkomenderowany w końcu do sprawy Sarnawieckiej, promieniał, ale starał się nie okazywać swej wyższości Karbolcowi.

– Wierzcie mi, kolego – mówił łaskawie – to wcale nie moja zasługa. Wyście zrobili całą przygotowawczą robotę. Bardzo często tak bywa, że w łamigłówce wszystko pasuje, tylko brak jeszcze jednego klocka. I tego klocka można szukać bardzo długo.

– Tak – powiedział smętnie Karbolek. – Tylko cała rzecz w tym, że ja układałem tę łamigłówkę z nie istniejących klocków, a kolega tylko przyszedł, spojrzął w materiał dowodowy i okazało się, że cała budowla na nic.

– Ależ nie róbcie sobie wyrzutów! – pocieszył go Pąk. – Przecież to wyście zwrócili uwagę, że alibi Krystyny jest, można by rzec, zbyt doskonałe. Kilkunastoosobowa grupa, wszyscy są cały czas razem... No, może gdybym był z wami od początku, mielibyśmy już w tej chwili sprawę dawno z głowy. Bez niepotrzebnej straty czasu, ale grunt, że wszystko się dobrze skończyło, że nie został popełniony błąd, który mógłby mieć nieobliczalne następstwa. Jak ona zręcznie naprowadziła was na tę swoją bratową. Wcale się nie dziwię, że w pierwszej chwili daliście się zasugerować...

Tak, teraz wszystko wydawało się oczywiste. Krystyna mogła wejść do domu, kiedy nikt się jej tam nie spodziewał, podrzucić klucze z odciskami Rosiakowej, zniszczyć listy, oprócz tego jednego, który siłą rzeczy nie mógł wtedy ujść uwagi milicji, mogła świadomie wykorzystać sytuację, kiedy bratowa była w Łopatowie, a ona sama rzekomo na wycieczce w Stęporku, o dwadzieścia parę kilometrów stąd. Szef grupy i dwaj przesłuchiwani uczestnicy wyrazili opinię, że Krystyna była z nimi przez cały czas, że nigdzie się nie oddalała. Powtórne przesłuchanie, przeprowadzone fachowo przez porucznika

Pąka, ujawniło luki w tym „całym czasie”. Dalej alibi Krystyny zaczęło się sypać, jak spróchniały dach.

Przebywała w 14-osobowej grupie. Porucznik Pąk zadał sobie trud przesłuchania wszystkich, pozostających obecnie na miejscu uczestników wycieczki. Było ich dziewięcioro. Wszyscy zgodnie twierdzili, że na pewno widzieli Krystynę między 17 a 18 podczas zwiedzania kościoła. Jak również w kawiarni około godziny 18. Z kawiarni wyszli wszyscy razem przed 18.30 i wracali grupkami przez las do obozu. Krystyna była z nimi. Grupki rozbiły się wkrótce na mniejsze grupeczki. W ostatniej fazie Krystyna szła z Jackiem i Michałem. Od tego czasu właściwie nikt jej nie widział aż do 20.50.

Porucznik Pąk zatrzymał obu chłopców w osobnych pomieszczeniach i dał Karbolkowi pokazową lekcję, jak należy prowadzić przesłuchanie.

– To nie salon, kolego, ani proszona kolacja – rzekł po skończeniu pracy. – Ludzie wcale nie tak chętnie, jak wam się zdaje, pomagają milicji.

Rozbieżności w zeznaniach chłopców ujawniły się natychmiast. Michał twierdził, że postanowił w końcu odłączyć, bo wydawało mu się, że przeszkadza, Jacek zeznawał, że Krystyna została z Michałem i celowo zgubili się w lesie. Skonfrontowano obu chłopców i po krótkiej a gwałtownej wymianie zdań między nimi Jacek zeznał, co następuje:

„– Krycha po obiedzie powiedziała, że musi pojechać do matki po pieniądze. Autobusy chodzą co godzinę, więc nie było sprawy. W kawiarni powiedziała, że najlepiej będzie dziś, bo matka zawsze ogląda teatr Kobra, a mało prawdopodobne, żeby matka dała, więc ona woli wziąć sama, jak jej nie będzie. Odprowadziłem Krystynę na przystanek na autobus o 19.15. Autobus spóźnił się pięć minut. Miałem na nią czekać w klubokawiarni przy telewizji. Liczyłem, że wróci po 21, czyli ostatnim autobusem. Ale ona przyjechała jeszcze przed tą godziną. Nie wiem, ile, spojrzałem na zegarek, ale nie zapamiętałem, ile przed. Chyba nie dużo – może pięć, dziesięć minut. Przyjechała stopem. Była bez pieniędzy. Powiedziała, że matka wróciła wcześniej i ona musiała uciekać przez okno. Nie,

nie była zdenerwowana. Raczej wściekła. Mieliśmy swoje plany i nic z nich nie wyszło bez pieniędzy. Ja miałem za mało.”

Na siedzącego samotnie Jacka zwróciły uwagę dwie dziewczyny, które również zauważyły powrót Krystyny o 20.50. Ich zdaniem Krystyna Sarnawiecka była w stanie „skrajnego wzburzenia”.

Takie oto rewelacyjne zeznania wyciągnął z uczestników porucznik Pąg, więc nic dziwnego że Karbolek miał smętną minę. Natyrał się jak głupi, został ośmieszony przez jakiegoś idiotycznego sierżanta, ośmieszył się sam niedojrzałymi koncepcjami na temat Solnickiej i Rosiakowej, o których trąbił niepotrzebnie na całą komendę, wziął po uszach za opieszałość, a kolega Pąg przyszedł niemal na gotowe i będzie zbierał laury. Mówi już „nasza” sprawa, „nasze” śledztwo. Niedługo będzie mówił „moja”. Ponadto szybkość i sprawność, z jaką kolega Pąg dążył do celu, przygnębiały podporucznika. Czuł się zbędny, poklepywany protekcjonalnie po plecach, zaledwie tolerowany. W najgłępszym na świecie odruchu zatęsknił nagle za człowiekiem, który go oszukał i sam dał się oszukać dziewczynie, który okazał się niegodny miana podoficera MO, ale miał wątpliwości i mnóstwo irracjonalnych pomysłów, które przecież jednak jakoś posuwały śledztwo. Przypomniał sobie poranną wizytę Fidybusa, wręczone mamie kwiatki z rabatek pani Solnickiej, potem rozważania snute na kanapie Sarnawieckiej i uśmiechnął się blado. Był w tym wszystkim jakiś romantyzm... Natychmiast jednak skarcił sam siebie za uleganie nastrojom. Praca w MO, jak mu to wbijano niejednokrotnie do głowy, nie ma być romantyczną przygodą, ale twardym obowiązkiem wykonywanym dla dobra społeczeństwa. Sierżant sprzeniewierzył się tej zasadzie, potraktował rzecz lekceważąco, a właściwie robił to ciągle i w tej chwili sprawa jego wyglądała źle. Mało źle – odrażająco! I wszelkie uśmiechy były tu nie na miejscu.

Sprawa Krystyny również. Nie stawiała się na wezwanie w komendzie, nie było jej w domu. Wewnątrz, widoczne przez okno, stały kubły z farbami, leżały nieporządnie rozrzucone osobiste rzeczy. Na sznurze między drzwiami wisiały już trzeci

dzień dwie uprane bluzki. Wszystko wskazywało na to, że podejrzana o morderstwo Krystyna Sarnawiecka zdążyła uciec. Kto mógł jej w tym pomóc? Kto najlepiej wiedział, że ujawnienie jej winy jest już tylko kwestią bardzo krótkiego czasu?... Sierżant Fidybus był pracownikiem o wiele bardziej doświadczonym od Karbolka i to, co podporucznikowi mogło się jeszcze wydawać wątpliwe, dla niego musiało być całkiem jasne. On dużo wcześniej wiedział, kto jest winien, i w tej sprawie oszukał Karbolka po raz drugi. Także z premedytacją...

Świadek Solnicka stwierdziła, że ostatnio Krystyna stale przyjmowała „nocne, męskie wizyty”, że przed domem zwykły był wówczas stawać czasem dziwaczny samochód żółtego koloru i że od paru dni nikt tego samochodu przed domem nie widział. Sąsiadka sierżanta Fidybusa, a zarazem jego gospodyni dodała, że dwa dni temu, rano otworzyła go kluczykami młoda osoba i niezbyt wprawnie, ale ostro ruszyła z miejsca. Gospodyni nie miała powodów do interwencji, bo przecież dziewczyna się nie włamała. Przyjrzała się jednak uważnie i bez trudu na zdjęciu rozpoznała w komendzie Krystynę...

Cóż można było dodać do tej historii? Karbolek już dawno powiązał wszystkie fakty w całość. Krystyna była nie tylko morderczynią, ale również osobą cyniczną i perfidną. Uwiodła Fidybusa i usiłowała następnie uwieść i podporządkować sobie również jego samego, Karbolka, który na szczęście okazał chwalebny przytomność umysłu. Ten wieczór, parny, duszny wieczór w mieszkaniu Sarnawieckiej, kiedy to omal nie uległ zakusom wyrafinowanej uwodzicielki, mógł być przełomowym momentem w jego karierze. Uświadomił sobie, ile niebezpieczeństw czyha na oficera prowadzącego śledztwo i jak różnaitą mogą przybierać postać.

W tej sytuacji wierny Fidybusowi okazał się tylko doktor Gatunek. Z prawdziwym poświęceniem trzymał go w izolatce i stawiał czoło zarówno atakom furii majora Kajtysa, jak i zgryźliwym uwagom ostatnich funkcjonariuszy. Doręczył komendantowi potężny elaborat, gęsto tkany łąciną, z którego wynikało, że rana w głowie sierżanta jest sprawą niezwykle poważną, a może nawet grozić niebywałymi komplikacjami,

jeśli chory nie będzie miał idealnego spokoju. Sugestie porucznika Pąka, żeby Fidybusa postawić w stan oskarżenia, przesłuchać i dowiedzieć się, gdzie ukrył Krystynę, sprowokowały lawinę wymowy lekarza. Gatunek, korzystając z tego, że nikt w komendzie wykształcenia medycznego nie posiadał, urządził godzinny wykład, z którego nic nikt nie rozumiał poza jednym – drzwi izolatki Fidybusa nie zostaną otwarte. Chyba po trupie lekarza.

Siedział więc sierżant w szpitalnym areszcie i czekał. Na stosowny moment... Doktor znosił mu plotki z placu boju.

Podporucznik Karbolek z ciężkim sercem podpisał nakaz zatrzymania żółtego citroena i jego pasażerki. Zgłoszenie kradzieży wozu było wyjaśnieniem przekonywującym i nie wzbudzającym sensacji. Podpisał, ale bardzo chciał, żeby wszystko okazało się pomyłką. Ta zbrodnia była zbyt ohydna, żeby mógł bez zastrzeżeń uwierzyć, że popełniła ją dziewiętnastoletnia dziewczyna. Morderczyni własnej matki... Dla zdobycia pieniędzy i swobody. Przecież to potworne! Ale na głowicy syfonu były świeże, choć nieco zamazane ślady jej ręki... Nie nakładały się na nie żadne inne.

Nie mógł sobie wyobrazić Krystyny w więzieniu. Brzoskwiniowa cera będzie żółkła z każdym dniem. Zamiast dołeczków pokażą się szybko pierwsze zmarszczki. Potem będzie ich coraz więcej. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie z więzienia, będzie zgrzybiałą staruszką. Ale przecież jej się to należy! Jest matkobójczynią! Jest z całą pewnością! Kioskarz widział ją około 20 w pobliżu domu. Dowody mnożyły się jak na zawołanie. Fakty nie kłamią. A faktów jest dość.

– Jesteśmy u mety! – w drzwiach zjawił się z triumfującą miną porucznik Pąk. – Przed godziną koledzy ze stołecznej drogówki zatrzymali ją u zbiegu Alej Palestyńskich i Starego Świata... Posłałem Kłopockiego. Powinni tu być około południa.

* * *

– Byłam w lesie. Z wszystkimi.

- To znaczy z kim?
- Różnie. Byliśmy w grupie.
- Ile osób? Wymienić nazwiska!
- Przecież pan ma zapisane nazwiska.
- Czy do końca dnia wszyscy byli razem?
- No... niezupełnie... Byłam z Jackiem Groszakiem i Michałem Sałackim.
- Do końca?
- Tak.
- Mam pani udowodnić, że to nieprawda? Milczała. Porucznik Pąk wziął ze stołu zeznanie Jacka i odczytał wyraźnie, akcentując każde słowo! – No więc?
- Świnia! Przysięgał, że nie powie!
- Potwierdza pani te...
- Potwierdzam, potwierdzam! Co mogę zrobić innego?
- Pani wie, co grozi za fałszywe zeznania.
- Wiem. Odpowiem.
- Nie wątpię. W pani sytuacji to naprawdę niewiele zmienia. Dlaczego pani zamordowała matkę?
- Pan chyba zwariował – wzruszyła ramionami. Była dziwnie spokojna, zrezygnowana. – Nie zamordowałam. W ogóle się z nią wtedy nie widziałam. Jak usłyszałam klucz w zamku, to uciekłam.
- Ślicznie! Chętnie wysłuchamy pani bajeczki.
- Nie będzie żadnej bajeczki. Wlazłam przez moje okno, otworzyłam drzwi do bielizniarki i nic więcej nie zdążyłam. Usłyszałam, że ona wchodzi. Dałam dyla, bo nie miałam zamiaru wysłuchiwać kazań.
- Pąk założył ręce do tyłu i z szyderczą miną przypatrywał się dziewczynie.
- Ślicznie! – powtórzył. – Wobec tego dlaczego zataiła pani ten fakt podczas pierwszego przesłuchania?
- Nie chciałam, żeby mnie zaczęli podejrzewać.
- Coraz lepiej! Więc nie otrzymała pani pieniędzy od matki?
- Przecież mówię, że jej nawet nie widziałam.
- Nie otrzymała pani i dlatego ją pani zabiła?
- Nie zabiłam. I w ogóle nie liczyłam na żadne

otrzymywanie. Złotówki leżały zawsze w bieliźniarce. Chciałam mieć ze trzysta, czterysta złotych na wyjazd nad morze.

– A jednak nie wyjechała pani ze Stęporoka następnego dnia, choć pani koledzy opuścili tę miejscowość.

– Przecież nie miałam pieniędzy. Jacek też miał już resztki.

– Dlaczego pani zabiła?

– Przecież mówię, że nie zabiłam!

– Radzę się przyznać. To będzie jedyna w tym wypadku okoliczność łagodząca.

– Nie mam do czego się przyznawać oprócz tego, że chciałam ją trochę podskubać. A i to mi się nie udało.

– Matka odmówiła?

– Przecież mówię, że jej nie widziałam! – zaczynała tracić cierpliwość.

– Więc dlaczego pani zabiła?

– Nie zabiłam, do jasnej cholery! Kataryna nakręcona pan jest czy co?

– Proszę się liczyć ze słowami. Gdzie pani zamierzała uciec?

– Nigdzie. Wracałam do domu.

– Dlaczego pani zabiła?

– Chryste, ja zwariuję! Nie za-bi-łam!

– Proszę szanownej obywatelki – porucznik Pąk oparł obłądzone dłonie o stół, pochylił się nad dziewczyną i wyskandował dobitnie: – jak obywatelka wytłumaczy fakt, że na narzędziu zbrodni znajdują się jej własne odciski palców? I tylko one stanowią ślady świeże. Wszystkie inne pochodzą sprzed wielu dni i są mocno zatarte. Stąd wniosek że pani dotykała narzędzia zbrodni ostatnia.

– Lipa! Pan kłamie! O, cholera! Piłam wodę!

– Piła pani wodę – powiedział powoli Pąk z sarkastycznym uśmiechem. – Przed czy po morderstwie?

– Tak! Tak! Piłam! Weszłam do domu, był upał i pierwsze, co zrobiłam, to napiłam się wody! Moje ślady muszą być nie tylko na syfonie, ale i na szklance. Czy szklanką też kogoś zabiłam?

– Nie było żadnej szklanki.

– Była! Była! – już nie panowała nad sobą. – Co pan chce mi wmówić? Była! Zawsze stała obok syfonu!

– Pani kłamie.

– Prawdopodobnie była – wmieszał się Karbolek – i została stłuczona. Znaleźliśmy tylko obok stołu mnóstwo kawałków szkła. W protokole jest o tym wzmianka, że...

– Dziękuję – Pāk spojrział na młodszego kolegę lodowatym wzrokiem i zwrócił się ku podejrzaney: – Pytam po raz ostatni, dlaczego pani zabiła. Jeszcze daję pani szansę przyznania się, jeszcze...

– Odpieprz się, bałwanie! – wrzasnęła przez łyzy.

– Odpowie pani za obrazę!

– Odpowiem za wszystko! Za waszą głupotę też odpowiem!

– Ostrzegam panią...

– Może pan mnie długo ostrzegać! Bandyci! Jeśli uda się wam wsadzić mnie za kratki, to tylko dlatego, że nie umiecie złapać prawdziwego mordercy!

– Dlaczego pani uciekała?

– Nie uciekałam. Powtarzam raz jeszcze, że wracałam do domu, kiedy zatrzymali mnie ci z drogówki. Ja jechałam na polecenie... – zawahała się.

– Czyje?

– Milicji właściwie...

– O! – ironiczny uśmiech nie schodził z twarzy Pąka. – Od kiedy to milicja zleca specjalne zadania osobom podejrzanym o morderstwo?

– Ja nic nie wiem, niech pan się porozumie z sierżantem Fidybusem.

– Już się porozumieliśmy – odparł z wielką pewnością siebie Pāk. – Właśnie sierżant Fidybus zgłosił kradzież tego samochodu, którym usiłowała pani uciec z miejsca zbrodni.

– Nie! – wyglądała jak uderzona. – To niemożliwe!

– Czy pani sądzi, że bez tego znaleźlibyśmy panią tak szybko?

Porucznik Pāk miał wiele cennej pewności siebie. Powiedział to wszystko tak przekonywającym tonem, że Karbolek na moment uwierzył. Czy byłoby to takie dziwne, gdyby Fidybus, chcąc się ratować, użył wybiegu i zrzucił całą winę na kobietę, która go tak niecznie podeszła? Chyba nawet nie, ale Fidybus nie miał kiedy tego zrobić. Siedział zamknięty w separacie u

doktora Gatunka i z nikim się nie kontaktował. Kiedy podporucznik Karbolek zdał sobie z tego sprawę, poczuł jak kamień spada mu z serca. Nie wiadomo, zresztą, dlaczego.

– Wszystko glina, wszyscy tacy sami– Krystyna spuściła głowę, straciła całą energię. – Macie mnie sadzać, to sadzajcie... Prędeż. Jestem zmęczona...

– Czy obywatelka przyznaje się do popełnienia zbrodni?

Nie odpowiedziała. Nie było to zresztą konieczne. Zwłaszcza że w jej torebce znaleziono potem kółko od kluczy, identyczne z tym, jakie miał drugi komplet kluczy do mieszkania Sarnawieckiej, znaleziony w sieni przez Karbolka. Były na nim ślady dziecięcych rąk i ślady palców Rosiakowej.

– A więc zbrodnia była przygotowywana – zawyrokował porucznik Pąk. – Dość starannie przygotowywana i sprytnie jak na nastolatkę... Z tych kluczy, jak widać, korzystało dziecko i osoba dorosła, a więc musiały leżeć gdzieś w dostępnym miejscu. Dziewczyna bez trudu dokonała wymiany kółek licząc, że się na to nabierzemy. No i niewiele brakowało, żeby miała rację – dodał ironicznie, a Karbolek splonął prawdziwym, ceglastym rumieńcem. – Tylko dlaczego, u licha, ona tego nie wyrzuciła? Po co zabierała ze sobą?

Nie udało im się tego dowiedzieć. Krystyna, po zatrzymaniu w areszcie, przestała w ogóle odpowiadać na pytania. Podczas przesłuchań patrzyła tępo w ścianę i milczała. Więc nie dowiedzieli się również, do czego w podróży miała jej służyć taśma magnetofonowa z nagraniem piosenki „Chryzantemy złociste”.

* * *

– Ten twój cholerny pies nie chce jeść kaszanki. Tęskni albo co? – zagaił swoją wieczorną pogawędkę doktor Gatunek. – A w ogóle to już nie wiem, co z tobą robić. Wiedziałem, że jesteś wariat, ale nie myślałem, że aż taki. Sądziłem mimo wszystko, że coś tam przewąchałeś, czego na razie nie możesz ujawnić – nieraz tak bywało – więc ci pomagałem, ale nie przypuszczałem, że pomagam staremu satyrowi, któremu

druga młodość na mózg padła. Żebyś ty się tak dał nabrać dzierlatce! Zakochałeś się czy co? Żeby dać morderczyni swój własny samochód!

– Jakiej morderczyni?!

– Nie udawaj naiwnego! Naiwność jest ostatnią cechą, jaką można ci przypisać. Ona siedzi pod kluczem, a ty będziesz siedział obok niej, bo moje możliwości się skończyły.

– Czy wyście wszyscy powariowali? Czy tylko ty jeden? Kto siedzi pod kluczem i dlaczego?

– Cholera cię wie – doktor z troską przyglądał się Fidybusowi. – Wyglądasz, jakbyś naprawdę nic nie wiedział... No cóż, nic dziwnego... Ty stary i samotny, ona młoda i cholernie ładna. Czy to tak trudno zgłupieć?... Klasyczny przypadek! Ty prawdopodobnie nigdy nie uwierzysz w jej winę. Dla ciebie ona zawsze będzie niewinna lilija. Tylko wobec tego po kiego licha umożliwiłeś ucieczkę tej chodzącej niewinności?... Mówię o Krystynie Sarnawieckiej, oczywiście... A może ona naprawdę ukradła ci ten samochód?

– Przestań bredzić – powiedział ostro sierżant – i opowiedz wszystko po kolei.

Doktor westchnął, osadził w lufce papierosa i zaczął od momentu, kiedy złapano Krystynę na rondzie w Wagonowie, skończył zaś na ostatnim przesłuchaniu, podczas którego dziewczyna nie odezwała się ani słowem. Nie licząc paru niecenzuralnych odzywek bliżej ze sprawą niezwiązanych.

– Kto współpracuje z Karbolkiem? – zadał niespodziewane pytanie sierżant wysłuchawszy relacji doktora.

– Pąk.

– Nie mogło być gorzej. Od kiedy?

– Od trzech dni. I trzeba przyznać, że ostro wziął się do roboty. Jak na pokaz!

– Ja mu zrobię pokaz! Co przeciw niej mają?

– Wystarczy, żeby udowodnić zbrodnię. Naprawdę tym razem wystarczy. Nie gorączkuj się, bo i tak nic nie zwojujesz.

– Muszę się z nią skontaktować i z Karbolkiem.

– Jesteś beznadziejny!

– Muszę! Ona ma dla mnie coś ważnego.

– Nie sędzę, żeby chciała z tobą rozmawiać. Nawet gdyby to było technicznie wykonalne i gdyby istotnie coś dla ciebie miała. Porucznik Pąg powiedział jej, że złożyłaś doniesienie o kradzieży swego samochodu, a ta pełna temperamentu osóbką zareagowała podobno w sposób dość gwałtowny i przestała cię darzyć swym zaufaniem.

– Skurwysyn!

– A ty stary głupiec. Wiedziałaś, że ona się urwała z wycieczki i była w domu gdzieś między 20 a 20.15?

– Oczywiście że wiedziałem – odparł sierżant z wielką pewnością siebie, ale zrobiło mu się cholernie głupio, bo przecież nie wiedział.

– I o tym że na głowicy syfonu najświeższe ślady należą właśnie do niej?

– Nie! – ryknął sierżant. – Bo mnie nie interesują ludzie, którzy piją wodę!

– A jeszcze do tego uzgodniliście zeznania! Ona też tak tłumaczyła. Tylko że nikt tego nie potraktował poważnie.

– Jak to? Przecież były zdjęcia.

– No właśnie. Gdybyś się czasem posługiwał materiałem fotograficznym zamiast wyłącznie własną intuicją, to może...

– Zamknij się – powiedział spokojnie Fidybus. – Zawsze zaczynam od makulatury i poezji. Obejrzałem zdjęcia i wyczytałem z nich, że osoba, która zostawiła tam wyraźny ślad spoconej ręki, była ostatnią osobą, która nacisnęła dźwigienkę. Po niej był już tylko morderca, który nosił rękawiczki, dzięki czemu zatarł nieco ten ślad poprzedni, ale go nie wytarł. Potem przeczytałem twój poetycki opis ciosu, którym pozbawiono życia Sarnawiecką. Wynikało z tego opisu, że... Nie, idź do dyżurki, przynieś tu syfon, ujmij go tak jak Krystyna tamten i walnij mnie w łeb na śmierć. No, walnij! Czekam!

– Hm – mruknął niezdecydowany doktor. – Nie jest to niemożliwe, choć niezbyt wygodne. Może właśnie ona chciała, żebyś tak myślał? I dlatego ujęła syfon tak z góry... Nie, gdyby pomyślała o tym, to prościej było w ogóle zetrzeć swoje ślady... Coś w tym jest, co mówisz, ale mimo wszystko...

– Dawaj klucz od magazynu z ubraniami! Ja wychodzę!

– Mikołaj, nie szalej! – krzyknął doktor.

– Dawaj! Szybko!

– Mikołaj! Nie! – doktor się cofnął, bo Fidybus miał w pochylonej sylwetce niepokojącą gotowość i zdecydowanie. – Tobie źle z oczu patrzy! Jeśli zrobisz krok w moim kierunku, to ja... – wyciągnął rękę do dzwonnka, ale nie zdążył. Sierżant podciął mu nogi, zatkał usta jaśkiem i wbił ręce na plecy japońskim sposobem. Lekarz usiłował wypluć pierzasty róg, ale sierżant, nie patrząc, poprawił knebel i grzebał spokojnie w kieszeniach lekarskiego fartucha.

– Jest tu ten, co trzeba? – wyciągnął pęk kluczy. Doktor skinął głową. – Ten? Nie? Ten może? – doktor znów pokiwał i jęknął żałośnie. Sierżant spojrział na niego współczująco: – Przepraszam, ale musiałem cię poczęstować tym jaśkiem, bobyś mi z dobrego serca biedy narobił. Licho wie, czy nie zaczniesz wrzeszczeć, jak ci wyjmę? Zaczniesz! Na pewno! To nie wyjmę. A jeszcze na dodatek muszę cię zostawić na tej zimnej podłodze, bo jesteś wielki, ciężki i nie wtaszcę cię na łóżko. A może? Jak pomożesz, to spróbujemy.

Zasapali się obaj, bo wcale nie jest łatwo ciągnąć w górę stukilowy worek sadła, który w dodatku ma za złe, jęczy i postępuje. W końcu jednak doktor legł wygodnie oparty na poduszkach. Sierżant ściągnął z niego fartuch, wdział na siebie, a paskiem związał lekarzowi ręce i rzekł przyjaźnie:

– Tak ci będzie wygodniej, stary... Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale inaczej nie mogę... Myślę, że niedługo ktoś cię uwolni. Za dwie godziny pora karmienia. Jakoś wytrzymasz...

* * *

Minęło parę dni aresztu, ale Krystyna nadal nie przyznawała się do morderstwa. Popadła w apatię, nie odpowiadała na pytania, nie jadła. Zdawało się, że nie ma dla niej znaczenia, jak potoczy się śledztwo. Wynajęty przez Rosiaków adwokat wyszedł z celi z niczym. Podporucznik Karbolek, gdy zobaczył dziewczynę po raz pierwszy od owego pamiętnego

doprowadzenia, poczuł ukłucie w sercu. Krystyna wyglądała o dziesięć lat starzej. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu współczuć morderczyni, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że coś się tu nie zgadza. Jeśli nastąpiło tak kompletne załamanie, to powinna się przyznać. Dlaczego tego nie robi? Poza tym gdzie ona chciała uciekać samochodem, który zapamięta każde dziecko? I czy naprawdę chciała uciekać? Złapano ją w najruchliwszym punkcie stolicy. To znaczy chyba, że się nie ukrywała? Podporucznik Karbolek podzielił się swoimi wątpliwościami z porucznikiem Pąkiem, który popatrzył na niego ironicznie.

– Nie wiecie, że najłatwiej się ukryć w dużym skupisku ludzkim? Wszyscy doświadczeni przestępcy to wiedzą.

– Tak, ale Krystyna nie jest doświadczoną przestępczynią.

– Za to miała doświadczonego protektora... Natomiast pani Karbolkowa potraktowała wątpliwości syna z pełnym zrozumieniem. Wysłuchiła uważnie opowieści o roli sierżanta Fidybusa i osiągnięciach porucznika Pąka.

– Owszem – zakończył syn. – Kolega Pąk bardzo mi imponuje. Jego pewność siebie, zdecydowanie, umiejętność dobrania trafnych pytań do przesłuchań jest na razie dla mnie wzorem. Ale równocześnie wydaje mi się, że porucznik jest, jakby to określić... zbyt bezkrytyczny wobec materiału dowodowego.

– Najważniejszą rzeczą jest intuicja – rzekła stanowczo mama. – Najwięksi detektywi byliby niczym, gdyby im zabrakło tej iskry bożej. Tego szóstego zmysłu, który pozwala odróżnić prawdę od fałszu. Mam nadzieję, że tobie go nie brakuje? Reszta przyjdzie z czasem. Twój świętej pamięci ojciec, choć nie zajmował, jako woźny sądowy, eksponowanego stanowiska, zawsze potrafił odróżnić, kiedy aresztowano przez pomyłkę uczciwego człowieka, a kiedy drania. Uniknięto by wielu omyłek sądowych, gdyby zasięgano czasem rady pracowników pośredniej rangi, ale za to mądrych i doświadczonych. Wiesz co? Moim zdaniem powinieneś się porozumieć z tym twoim starszym kolegą, który tu kiedyś był rano. Bardzo sympatyczny, przyniósł mi kwiaty, pamiętasz? A

właściwie dlaczego przestaliście współpracować. Czyżbyście się o coś popszykali?

– Popszykali! – jęknął Karbolek. – Mamo, wydaje się, że wszystko rozumiesz, a potem zadajesz takie pytanie, że rozpacz! No, po prostu rozpacz! Przecież to był właśnie sierżant Fidybus! Ten, który umożliwił Krystynie ucieczkę, który ośmieszył mnie przed całą komendą, który...

– Co ty powiesz... – zamyśliła się pani Karbolkowa. – A nie wyglądał...

– To jeszcze mało! – powiedział podporucznik z oburzeniem i dodał do swej relacji znamienne słowa Krystyny dotyczące nocnych wizyt sierżanta, a świadczące, że ów pośredniej rangi funkcjonariusz nie zachował się u owej młodej damy jak džentelmen.

– Wobec dziewcząt, które same rozpowiadają o takich sprawach, nie obowiązuje džentelmeneria – rozstrzygnęła sprawę z imponującą łatwością pani Karbolkowa. – Zresztą teraz panują całkiem inne obyczaje. Czy ty nie jesteś przypadkiem zacofany? Może ten twój kolega popełnił błąd z miłości?

– Mamo! – jęknął po raz drugi Karbolek. – Przecież on po pierwsze należał do ekipy prowadzącej to śledztwo, a po drugie on chyba mógłby być jej ojcem!

– Twój ojciec też mógłby być moim ojcem, ale nie był i dzięki temu byliśmy przez wiele lat bardzo szczęśliwi. Powinieneś tę sprawę rozplątać. Jak najszybciej!

– Ależ...

– Żadne „ależ” – ucięła mamusia. – To jest obowiązek uczciwego człowieka. Jej powinieneś powiedzieć, że sierżant nie zgłaszał żadnej kradzieży samochodu, jemu, że ona gniewa się na niego przez nieporozumienie wyłącznie...

– Mamo! – jęknął Karbolek po raz trzeci, ale nie miał już sił na wyjaśnienia, że jednak cała sprawa rozgrywa się nie w tych kategoriach i że chodzi tu o morderstwo, o pomoc udzieloną morderczyni, a nie o to, kto się na kogo gniewa i czy słusznie. Mama odebrała tylko warstwę romansową jego opowieści i dlatego jej rady były wzruszające w swojej naiwności, a

jednocześnie tak proste, że szkolony podporucznik najchętniej by się do nich zastosował. Niestety, jego chęci nie miały tu żadnego znaczenia.

Przesłuchał jeszcze raz taśmę znaną w torebce Krystyny. Jakaś dziewczyna śpiewała „Chryzantemy złociste”. Parokrotnie dłuższa przerwa nastąpiła po słowie „fortepianie”. Potem dziewczyna zaczynała od początku.

– Fortepianie!... Fortepian to na pewno jakaś wskazówka! – gorączkowała się mama Karbolkowa. – Może właśnie tam schowano coś, co powinieneś koniecznie odnaleźć?

– Może, tylko cała bieda w tym – odparł syn – że w mieszkaniu Sarnawieckiej nie ma żadnego fortepianu.

– A u kogo jest?

– U kogo?... Zaraz, zaraz... u kogo?...

* * *

Mżyło. Sierżant Fidybus dopiero w bramie zorientował się, że popełnił błąd. Mógł wziąć ze szpitalnego magazynu jakiegokolwiek pasujące ubranie i płaszcz. Może nawet znalazłby się parasol? Przystępstwo nie byłoby dużo większe, za to każdy strój byłby lepszy niż jego połatane dżinsy i zapačkany farbą podkoszulek, w którym został zabrany z mieszkania Krystyny.

Do domu pójść nie mógł, bo nie wiadomo, czy cierpliwość doktora nie wyczerpała się i czy nie postawił on na nogi całej komendy w celu odnalezienia zbiega. Pomyślał o Krystynie i szatach jej rodzica wiszących w szafie Sarnawieckich, ale Krystyna przecież znajdowała się w areszcie, a mieszkanie pod obserwacją. Jeśli nie kolegów z milicji, to na pewno sąsiadki Solnickiej.

Stał więc w bramie i myślał, że oto nadarza mu się niepowtarzalna okazja, żeby znaleźć się w skórze ściganego przestępcy i raz wreszcie dowiedzieć się, jak on reaguje, co myśli, czego się najbardziej boi? I jak sobie radzi? Ba, ale prawdziwy przestępca ma zadanie ułatwione. Bierze cegłę, zasada się w bramie, czeka na stosownych wymiarów faceta i puszcza go gólką w miasto, a sam wychodzi elegancko

odziany. Ciepło mu, chędogo wygląda, ludzie na niego podejrzliwie nie patrzą... No tak, ale ten sposób nie wchodzi w grę... Chyba, żeby w pewnym sensie tylko... bez cegły i nikomu nie robiąc krzywdy... No i oczywiście zaraz potem ubranie odesłać! Z metką chemicznej pralni i z podziękowaniem... Ale to oczywiście nie mógł być przypadkowy przechodzień... Na szczęście sierżant już wiedział, kto to może być.

* * *

Podporucznik Karbolek błagał na próżno. Doktor Gatunek ani słyszeć nie chciał o żadnych odwiedzinach.

– To jest mój pacjent i mam zamiar go wyleczyć zamiast robić mu sekcję zwłok! Nic mnie nie obchodzi wasze śledztwo i wasi mordercy! On musi mieć idealny spokój! Czy pan sobie zdaje sprawę, jakimi komplikacjami grozi ten wypadek?

– Ale ja tylko chciałem wyjaśnić jedną sprawę. Zaraz wyjdę.

– Obejdzie się, młody człowieku. Sprawę macie przecież zapiętą na ostatni guzik. Czego jeszcze chcecie?

– To nie my, to ja sam. Zaszły nowe okoliczności... A właściwie nic nie zaszło, ale ja nie jestem pewny...

– Ach tak! – rozgniewał się lekarz. – Najpierw się z człowieka robi durnia, oszusta, łobuza, oskarża się go niemal o współudział, a jak wychodzą okoliczności, z którymi chłopczyki nie mogą sobie poradzić, to wtedy do Fidybusa! Tak?

– Właściwie to tak może wyglądać – odparł po prostu Karbolek – ale tak nie jest. To tylko ja sam, z własnej inicjatywy – spojrzał śmiało w rozgniewaną twarz doktora – chciałbym się z nim zobaczyć. On jeszcze szukał, jeszcze miał wątpliwości. Może nie wiedział o niej... o Krystynie tyle co my? A może wiedział więcej? Może naprawdę po coś ją posłał i ona wcale nie uciekała?... Chciałbym mu pokazać przedmioty, które u niej znaleźliśmy. Może on będzie wiedział, jakie jest ich znaczenie? I... i może będzie wiedział, kto z tej rodziny ma fortepian?...

– Fortepian! I co jeszcze? Kanarka na złotym łańcuszku nie potrzeba?

– A jeśli nie można z nim rozmawiać bezpośrednio – Karbolek nie reagował na żarty – to może chociaż przez telefon?

– Chodź pan ze mną – zdecydował się Gatunek i poprowadził Karbolka do separatu. Otworzył drzwi. Była pusta. – Tu leżałem – wskazał na łóżko – prawie dwie godziny. Ręce miałem związane. To – potrząsnął Jaśkiem – trzymałem w zębach. Bo nie chciałem wydać mu ubrania i puścić do miasta. Ja go nie oskarżam – siadł ciężko na łóżku – i mam nadzieję, że pan też tego nie robi, ale muszę pokazać panu ten pusty pokój na dowód, że jemu rzeczywiście na czymś okropnie zależało. To się stało wtedy, kiedy się dowiedział, że aresztowaliście Krystynę Sarnawiecką. O czym świadczy jego szaleństwo? Dalibóg nie wiem. Najprościej powiedzieć, że się zadurzył, ale pan nie zna Fidybusa, a ja go znam wiele lat. Nigdy w ten sposób nie zbzikował dla kobiety, chociaż... czy ja wiem – może istotnie przysłała na niego pora?... Aha, jakby pana interesowało, to on przedtem mówił, że trzeba jeszcze raz sprawdzić alibi jakiegoś Lolka z telewizją. Czy pan coś z tego rozumie?

* * *

Koperta była zaklejona, stała oparta o cukiernicę na stole i miała wyraźny napis: „Sz.P.ppor. Janusz Karbolek – do rąk własnych.” Nic więcej.

– Kto to przyniósł? – spytał podporucznik.

– Przyniósł? – mama nieufnie obejrzała kopertę ze wszystkich stron – tu nikt nic nie przynosił. Skąd to się wzięło?

– To ja cię pytam! – zniecierpliwził się syn. – Przecież dopiero przyszedłem. I znalazłem ją na stole. Sama chyba nie weszła?

– Wygląda na to, że sama – pisnęła cienko mamusia i cofnęła się, jakby syn trzymał w ręku bombę, którą teraz zdecydowanym ruchem rozerwał. Wyjął kartkę papieru zamazaną szerokim, niechlujnym piśmem.

„Szanowny Panie Poruczniku! – czytał. – Wziąłem koszulę w kratę, ortalionową kurtkę i jedno skarpetki. A także 1289

złotych i 40 groszy. Pańska Mamusia jest właśnie na targu, więc za moje czyny nie ponosi odpowiedzialności. Zanim pan się zdecyduje rozesłać za mną listy gończe, niech pan się trochę namyśli, czy warto. I niech pan się postara, żeby Lolkowi Sarnawieckiemu dali szybko pozwolenie na wyjazd. Ciekawe, czy skorzysta? Ukłony dla Szanownej Mamusi. Nie miałem innego wyjścia – wszystko wytłumaczę – Fidybus.”

Trudno powiedzieć, czy podporucznik Karbolek był w tym momencie bardziej zły, czy rozbawiony. Zajrzał do szafy – istotnie brakowało kurtki i koszuli. Spodnie leżały zrzucone z wieszaka i to był jedyny ślad czyjś gospodarowania w szafie. Swoją drogą trzeba mieć nie byle jaki tupet, żeby w takiej sytuacji, kiedy jest się niemal przestępcą, wydawać jeszcze dyspozycje. Ale tupetu prawdopodobnie nigdy sierżantowi nie brakowało. Karbolek przypomniał sobie znów telefonogram i zgrzytnął zębami. Pozwolenie na wyjazd! Dla Lolka! A dlaczegoż to, jeśli łaska, obywatel sierżant uważa, że młody Sarnawiecki powinien wyjechać? I to w wielkim pośpiechu? A jeśli istotnie nie zechce z tego pozwolenia skorzystać? To co? Należy go zmusić? Czy jak? Dlaczego nie ma wyraźniejszych rozkazów?

Podporucznik Karbolek zmiął kartkę i wrzucił do popielniczki. Dość tego! Owszem, można nie zauważyć, że z domu zginęły jakieś drobiazgi, można nawet przez parę dni nie wiedzieć o braku pieniędzy w skrzyneczce, ale nie można robić z siebie idioty i pozbywać się ważnego świadka. Do tego na pewno podporucznik Karbolek ręki nie przyłoży! Swoją drogą, co za doskonale włamanie! Gdyby nie ten list, nikt by o nim nie wiedział. Nawet klucz wszedł i obrócił się gładko, jak naoliwiony. Kim właściwie jest ten cholerny sierżant?! Może ma kryminalną przeszłość? Na to wygląda! Więc dlaczego trzymają go w poważnej instytucji? I dopuszczają do takich spraw? Oto są, zresztą, skutki... A może jednak przynajmniej sprawdzić alibi Lolka? Z Białoboku do Łopatowa jest niecałe 100 kilometrów?...

Swoje pierwsze kroki w stolicy skierował sierżant do mlecznego baru. Upojny zapach gotowanych ścierek zatrzymał go w progu, ale głód był silniejszy, a niewielka ilość kradzionych pieniędzy nie pozwalała na hulanki i swawole w stołecznej gastronomii.

– Daj, serdeńko, duży kubek mleka, żeby w miarę możliwości było w nim cokolwiek poza wodą i kozuchami. A nie – rzekł wyjmując muchę – o mięsie nie mówiłem. Przecież wiem, że nasz kraj ma przejściowe trudności. Do tego dwie bułki. Jak by nie były z zeszłego miesiąca, tylko sprzed tygodnia, to byłbym wielce zobowiązany. Do tego dwie porcje masła. Masła, kiciuniu, masła! Nie kraj tej margaryny! Masła, takiego od krowy! No i porcję twarożku. To jest cała porcja? Znaczą popraw na cztery porcje, aniółku!

– Może pan by już przestał grymasić – skarciła go następna w kolejce staruszka, choć panienka z okienka szybko i sprawnie spełniała jego zachcianki. – Zupkę mleczną pani będzie łaskawa. I bułeczkę.

Pani była mniej łaskawa dla staruszki niż dla wybrednego sierżanta. Gwizdnęła talerzem, aż chlupnęło na wszystkie strony. Dostało się również kraciastej porucznikowskiej koszuli. Sierżant zaklął bezgłośnie, ale soczyście. Teraz, gdyby nawet miało być czterdzieści stopni ciepła, będzie się smażył w ortalionie. Bo jak z płamą na brzuchu iść do czytelnicy, do muzeum albo do Desy, gdzie wytworni panowie i panie przynoszą z melancholijnymi uśmiechami resztki rodowych fortun, a uczone, przytomne kobiety w najmodniejszych kreacjach oceniają je fachowo i nie robią wielkiej nadziei na korzystną sprzedaż. Chyba żeby się trafił amator... Ale takiego trzeba znaleźć, a szukanie kosztuje. Tylko że takich rzeczy się nie mówi. Takie rzeczy w tych sferach się wie.

Zanim jednak zdecydował się „sprzedać” lub „kupić” coś z arcydzieł sztuki dawnej, wstąpił do uniwersyteckiej czytelnicy i poprosił o wszystkie fachowe książki dotyczące zegarków i zegarów, dawniej, dziś i w czasach zamierzchłych. Urosła przed nim sarta. Przerzucił nawet dzieła o naprawach i regulacji, o

zegarach słonecznych i o perspektywach sztuki zegarmistrzowskiej wieku atomowego. Trafił w końcu na krótką historię firmy Patek, opatrzoną szczerze przypisami i teraz już wiedział, gdzie szukać bliższych informacji.

W dziale starych czasopism spędził znów parę godzin i nagle stwierdził, że zmarnował cały cenny dzień. Zostało mu niewiele czasu do zamknięcia salonów Desy. Dobiegł zdyszany do najbliższego. Była za piętnaście siódma.

– Chciałbym sprzedać zegarek – powiedział wchodząc. – Jeden z pierwszych zegarków firmy Patek.

Posągowa blondyna obdarzyła go sennym spojrzeniem.

– O tej porze? Nie przyjmujemy.

– On wygląda mniej więcej tak – nie zwracając uwagi na wyniosłą minę blondyny, podsunął jej niezdarne, ale dość drobiazgowy rysunek zegarka Sarnawieckich, wykonany z pamięci przez Krystynę. – O, tu ma taki znaczek, a tu literkę...

W oczach damy z salonu Desy zauważył sierzant drapieżny błysk, ale musiał przyznać, że była to osoba doskonale opanowana. Za chwilę podniosła na niego spojrzenie jeszcze bardziej senne i wyniosłe.

– Naprawdę sądzi pan, że to autentyk? – spytała obojętnie.

* * *

Podporucznik Karbolek potknął się na wystającej wycieraczce, kopnął staruszkę, przeprosił zły na siebie i na nią, wyminął dwóch splecionych uściskiem pijaków i wpadł jak bomba do poczekalni. Przy jednej otwartej kasie stał kilometrowy ogonek. Trzy okienka były zamknięte. Na zapleczu trzy panienki gawędziły niespiesznie oglądając importowane sweterki.

– Przepraszam – zwrócił się podporucznik do kolejki – mam za trzy minuty pociąg... Czy mógłbym kupić bilet?...

– Co pan sobie myśli? Każdy by tak chciał! – w kolejce zawrzało. – Ja też mam zaraz pociąg!

Gdybym był w mundurze! – myślał ze złością biegnąc na peron bez biletu – toby, dranie, nie odmówili! Topy jeszcze

prosilu uprzejmie! Żeby raczył! A ja nawet legitymacji służbowej ze sobą nie mam! Dlaczego nie mam? Idiota! – wskoczył do pociągu i wychylony rozejrzał się za konduktorem, żeby mu zgłosić swoją obecność, ale nigdzie go nie było. Siadł więc między zażywną przekupką a jegomościem z fioletowym nosem i z tępą rezygnacją wpatrzył się w przeciwległą ścianę. Nie miał munduru ani legitymacji, która została w mundurowej kieszeni, ponieważ zrobił sobie prywatną wycieczkę do Białoboku. Zmarnował piękne sobotnie popołudnie, teraz zmarnuje pół nocy, dowlecze się do domu blisko świtu, zbudzi niepotrzebnie mamusię, jutro będzie zapyziały, niewyspany przez cały dzień, a w poniedziałek znowu do pracy! W poniedziałek otrzymują niezbędne podpisy i zapinają, wraz z Pakiem, sprawę na ostatni guzik. Soldak pocieszył Karbolka mówiąc, że proces będzie poszlakowy i dobry adwokat potrafi wiele zdziałać. Krystyna prawdopodobnie całego życia w więzieniu nie spędzi, ale podporucznik miał dla niej coraz mniej względów. Znalaziona w jej rzeczach trucizna i kółko od kluczy świadczyły, że zbrodnia była planowana. Uparte milczenie dowodziło bezradności, ale i prawdopodobnie poczucia winy. Krystyna nie miała nic do powiedzenia na swoją obronę. Zdawała sobie sprawę, że zaprzeczanie też nic nie da. I miała rację...

Podporucznik Karbolek wierzył w jej winę, a jednak w idiotyczny sposób chwycił się każdego pretekstu, który niby mu pozwolił w nią zwątpić. Dlatego siedział w tej chwili w pociągu osobowym, wlokącym się z szybkością 30 km/godzinę z Białoboku do Łopatowa i czuł się wystrychnięty na dudka. Jeszcze raz wystrychnięty, podjudzony, zrobiony w przysłowiowego konia przez tego koszmarne sierżanta. Ale przecież sam był sobie winien! Sam z własnej woli wyrwał jak zając spod miedzy, kiedy się dowiedział, że sierżant napomknął o sprawdzeniu alibi Lolka. No i sprawdził! Czego się dowiedział? Tego, że sierżant idzie znów fałszywym tropem, czego można się było od początku spodziewać.

Kiedy Lolek przyszedł do kuchni po wodę, przy telewizorze siedzieli i oglądali mecz syn, szwagier i mąż gospodyni. Nie

mogli się mylić wszyscy trzej naraz. A więc Lolek na dojazd i powrót miałby półtorej, niecałe półtorej godziny. Takie obliczenia przeprowadził podporucznik na początku. W międzyczasie wyszła na jaw jeszcze jedna okoliczność. Tego dnia nadawano tylko połowę meczu. A więc nie półtorej godziny, a najwyżej czterdzieści minut. Na przejechanie 90 km? Czym? Samolotem? Własną awionetką?

Może Lolek i miałby motywy? W końcu nawet wyjeżdżając na zachód dobrze jest mieć przy sobie jakiś złoty zegarek na wszelki wypadek. Jakąś złotą obrączkę, którą można spieniężyć w razie potrzeby? Między Tomem a Lolkiem najwyraźniej wielka miłość nie kwitła. A przynajmniej nie wyrażała się, można sądzić, w formie świadczeń natury finansowej. Zaproszenie tak, ale co dalej? Czy Lolek i Mariola nie mieli powodów, żeby troszczyć się o jakieś zabezpieczenie? A czy skąpa Sarnawiecka naprawdę skłonna byłaby wyposażyć syna w swoje „skromne oszczędności” na drogę? Można wątpić...

Można, ale co z tego? Cztery osoby widziały Lolka w pięć minut po rozpoczęciu meczu, a w czasie oglądania teatru szwagier zauważył, jak na palcach, bez butów, cichutko przemknęła mrocznym korytarzykiem, za plecami gospodyni Mariola. Do łazienki i z powrotem. Czyli żadne z nich! Czyli po prostu Krystyna...

– Bilety do kontroli proszę! – usłyszał nad głową Karbolek i zrozumiał że dziś żadne niepowodzenie nie zostanie mu oszczędzone.

– Co za hańba! – pomyślał. – Żebym tylko miał tyle pieniędzy, ile trzeba na zapłacenie kary! Przecież nie mogę, za nic nie mogę dopuścić, żeby wyszło na jaw, że jestem milicjantem. Bez biletu na prywatnej wycieczce!

* * *

Ostatnia wizyta, jaką sierżant zamierzał złożyć w Wagonowie, była najtrudniejsza. Może dlatego właśnie była ostatnia? – Ale czas nie pracował tu na korzyść sierżanta. W ogóle głupio jest przyjść z samokrytyką do osoby niezycziwej,

wręcz wrogiej, a jeszcze głupiej przyjść z tym o północy, zrywając ze snu cały dom. Licho wie, o której oni się kładą? Pewno wcześniej, bo dziecko. Do północy było jeszcze daleko, ale w niektórych oknach na Stalipalskiej światła już pogasły i sierżant zdawał sobie sprawę, że pora na składanie wizyt dawno minęła. Tak czy owak będzie to wizyta słońia w składzie porcelany. Nacisnął dzwonek.

Otworzyła mu Rosiakowa. Zimne błękitne oczy, twarz bez uśmiechu. Drzwi ledwo otwarte. Bez słowa. Wiedział, że to tak będzie wyglądało.

– Nie zajmę pani dużo czasu – zaczął jak niezręczny komiwojazer – Chciałem tylko powiedzieć, że pani miała rację. Nie powinienem brać tego psa. Ale go odwiozę. Teraz nie mogłem. Słowo daję, ale odwiozę. Bo jemu nie jest dobrze. Mnie często nie ma. Spacery znaczy i żarcie ma, ale człowieka, żeby z nim pogadał, to nie ma. Ja – ze zdumieniem zobaczył w oczach Rosiakowej jakby isierki śmiechu. Szerzej otworzyła drzwi.

– Po to pan przyjechał do Wagonowa, żeby mi to powiedzieć?

^

– Nie, ja służbowo. Ale to też chciałem. Żeby pani wiedziała, że ja sobie zdaję sprawę. Z odpowiedzialności za niego, ale...

– Doceniam. Proszę, niech pan wejdzie – wpuściła go do kuchni. – Robak śpi, a mąż pracuje, więc nie proszę pana dalej. Kawy?

– Nie, nie, dziękuję, muszę zaraz jechać – stał się cud. Rozmawiała z nim jak z człowiekiem. – Niech mi pani tylko odpowie na trzy pytania: kto odwiedził państwa w ostatnim tygodniu przed śmiercią Sarnawieckiej, kiedy zginęła trucizna i gdzie trzyma pani klucz od mieszkania?

* * *

Istotnie, niedziela wypadła fatalnie. Kuzynka Marta z Krakowa nie przyjechała i podporucznik sam się zdziwił, że sprawiło mu tą taką przykrość. Równocześnie ta przykrość bardzo go ucieszyła, bo znaczyło to, że jest już jest już

całkowicie uleczony z niewczesnych zapałów do Krystyny Sarnawieckiej. Tak więc było mu trochę wesoło, a trochę smutno i żeby mieć pewność, że przeważy wesoły nastrój, umówił się na basen z porucznikiem Pąkiem. Słońce świeciło, Karbolek stwierdził, że pływa lepiej od kolegi, co wydatnie poprawiło mu samopoczucie, a mnogość ślicznych dziewcząt w mini kostiumach przyprawiła o lekki zawrót głowy. Z czasem jednak okazało się, że ceniony na terenie służbowym kolega prywatnie był nie do zniesienia. Podrywał dziewczyny tak bezceremonialnie, że Karbolek, wychowany w atmosferze szacunku dla kobiet, poczuł się niemal osobiście urażony.

– Gdzieś ty się, chłopie, uchował? – śmiał się Pąk. – Naucz się życia! Do celu trzeba iść przebojem!

– Tak, ale nie w ten sposób. Opowiadasz jakieś głupstwa, że jesteś reżyserem filmowym, że szukasz dziewczyn do filmu... Po co to? Czy nasz zawód nie jest dostatecznie piękny i atrakcyjny?

– Ależ jest, jest, oczywiście. Tylko dziewczyny są głupie i wolą filmowców.

Chyba istotnie wolały, bo po niedługim czasie Pąk siedział już otoczony wianuszkami najładniejszych i perorował fachowym filmowym slangiem, a Karbolek coraz dłużej przebywał w wodzie, pływał coraz swobodniej, coraz bardziej stylowo, tylko że nikt nie zwracał na to uwagi. Tak więc podporucznik szybciej, niż miał zamiar, pożegnał wesołe towarzystwo i wrócił do domu. Wszedł do saloniku i oniemiał. Na bocznym stole paliła się lampka rozsiewając łagodne, mleczne światło. Obok niej czerwieniły trzy piękne róże. Mama, opowiadając coś z ożywieniem, nawijała na kłębek wełnę, którą trzymał, na wyciągniętych przed siebie dłoniach, sierżant Fidybus. Siedział on, jakby nigdy nic, w fotelu Karbolka, wyciągnawszy przed siebie długie nogi, słuchał z uwagą i od czasu do czasu zdejmował wełnę z jednej ręki, aby sięgnąć po kruche ciasteczko z konfiturami – specjalność pani Karbolkowej. Na widok podporucznika uśmiechnął się niespieszono i rzekł dudniącym basem;

– Przyszedłem zwrócić pożyczkę. A telefon to na wszelki wypadek wyłączyłem, żeby porucznikowi nie przyszło do głowy

zadzwoń, gdzie trzeba, i oddać mnie w ręce żandarmów.

– Jak wy... Co wy... – bąkał Karbolek. – Skąd wyście się tu wzięli?

– Z podróży służbowej, jak zwykle. Tym razem na własny rachunek. Ale niech się pan nie kłopotce, poruczniku – dodał obłudnie. – Głodny już nie jestem. Szanowna mamusia pana mnie nakarmiła. Tylko strasznie mi się palić chce.

Karbolek w milczeniu położył na stole paczkę papierosów. Postanowił, że żadna bezczelność sierżanta nigdy go już nie będzie w stanie wyprowadzić z równowagi.

– Poza tym przywiozłem porucznikowi w prezencie parę ładnych nagrań. Może się nadadzą?...

– Wy ciągle o tamtej sprawie? Jest już zamknięta. Wystąpiliśmy o sankcję – zawołał pospiesznie podporucznik. Sierżant popatrzył na niego ironicznie.

– Iii tam! Poruczniku, pan naprawdę uważa, że tego, co zamknięte, to już w żaden sposób nie da się otworzyć?... – i brzęknął znacząco wytrychami w kieszeni. Miał już na sobie własne ubranie, którego kieszenie wisały jak zwykle niczym dwa nierówno wyładowane worki.

– Zostawię was samych – powiedziała z promiennym uśmiechem domyślna mamusia. – Proszę, panie Mikołaju, niech pan wełnę łaskawie złożą tutaj. Bardzo mi pan pomógł. Doprawdy jestem wdzięczna. A teraz zrobię kolację. Lubi pan nóżki w galarecie?

Po jej wyjściu Karbolek zirytowany przyskoczył do sierżanta.

– Jak wyście śmieli tu przyjść?! Ja się wam dziwię! Po tym wszystkim, coście narobili! I po tym liście! I w ogóle!

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy, poruczniku. Langsani, langsani, aber gut. Czy to porucznikowi moje błędy w końcu na dobre nie wyszły?

– Jakie błędy? Jakże „na dobre”?

– No z Agnieszką choćby. Rosiakową.

– To może tak... Ale... Nie, teraz już nic z tego. Nie macie mi w głowie! Tym razem wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Żadnych luk! A nagrania i tak nie mają znaczenia, bo taśma, jak zapewne wiecie, jest w procesie bezwartościowym

rekwizytem. Nie może być traktowana jako dowód.

– A czy ja mówię o dowodach? Ja to panu przyniosłem towarzysko. Pamiątka z podróży. Żeby sobie porucznik siadł, posłuchał, pomedytował... Ale zrobi pan z tym, co pan zechce. Może pan na śmietnik wyrzucić albo dzieciom oddać do zabawy. Ale póki co, to posłuchajmy. Tu jest rozmowa w Desie, tu u Rosiaków, tu w muzeum, tu...

– Herbatka na stole – oznajmiła pani Karbolkowa.

– A tych z Białoboku to porucznik sam obsłużył, mam nadzieję?

– Niech was wszyscy diabli porwą! – odpowiedział słowami Dulskiego podporucznik Janusz Karbolek i poczuł miłe podniecenie na myśl, że po herbatce zasiądą jednak przy magnetofonie.

Nie tylko zasiedli, ale spędzili przy nim pół nocy. Pani Karbolkowa, która bardzo nie lubiła, kiedy Januszek się nie wysypiał i biegł do pracy z podkrążonymi oczami, tym razem nie miała za złe. Dwukrotnie parzyła kawę i donosiła kruche ciasteczka. Po czym około północy legła strudzona na kozetce w kuchni. Była zadowolona, że plotki dotyczące tego miłego pana o siwiejących skroniach okazały się nieprawdą. Musiały się okazać nieprawdą, bo przecież widać na pierwszy rzut oka, że pan Fidybus jest człowiekiem statecznym, a te dziecinne nieporozumienia, te konflikty o dziewczynę naprawdę godne były smarkaczy. Pani Karbolkowa cieszyła się szczerze, że syn wrócił znów do współpracy z tym poważnym, doświadczonym funkcjonariuszem, od którego mógłby się sporo nauczyć, mimo że pan Fidybus jest tylko podoficerem. Właściwie powinni by go awansować. Nawet pomimo braku matury. Na pewno zasługuje. A zresztą, mój Boże, czy on byłby pierwszym człowiekiem na stanowisku, który jej nie ma? Januszek jest chyba na tyle taktowny, że stara się nie zadrasnąć ambicji swego starszego kolegi i nie okazywać wyższości. Powinni być naprawdę kolegami. Nie sposób trzymać się ściśle hierarchii. Trzeba to przy najbliższej okazji powiedzieć Januszkowi – postanowiła mama Karbolkowa – bo w jego odezwaniach do pana Mikołaja dają się czasem zauważyć jakieś niemile,

szorstkie tony. Na przykład dziś! Jak można odezwać się do gościa słowami: skąd wyście się tu wzięli? Przecież gdyby to był jakiś ordynus czy postrzelony młodzik, to pani Karbolkowa sama potrafiłaby mu wskazać należne miejsce, ale to był człowiek, który za każdą bytnością przynosił jej kwiaty i całował w rączkę, a w dzisiejszych czasach taki mężczyzna... – uporządkowane myśli rozpląnęły się. Zastąpiły je oderwane obrazy, senne majaki, a w końcu pani Karbolkowa zaczęła z cicha pochrapywać.

Tymczasem w pokoju było ciemno od dymu. Podporucznik Karbołek odpalał papierosa od papierosa, sierżant kończył krusze ciasteczka i wydawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością. Na stoliku szumiał magnetofon.

– ... nie mogę powiedzieć, musiałabym eksponat zobaczyć – mówił jakiś lekko zniecierpliwiony damski głos.

– Ale mniej więcej, w przybliżeniu... – prosił dudniący bas miękko.

– No... gdzieś w granicach dwudziestu tysięcy dolarów... – podporucznik jęknął. – Ale pozwolenia na wywóz pan nie dostanie od nikogo i pod żadnym pretekstem. Proszę sobie to wybić z głowy...

Podporucznik zamknął magnetofon i otarł pot z czoła.

– Taki pieniądz! Teraz rozumiem! Jakżeście na to wpadli? Znaczący na ten zegarek? I gdzie on jest?

– Myślę, że jeszcze w Polsce. Nie miał pan przypadkiem jakiegoś gościa z Anglii?

– Z Anglii? Nie... A co...

– A nic. Właściwie do pana to on nie miałby interesu. Ale można by się dowiedzieć, czy niejaki Tom Rosiak nie przekraczał ostatnio naszej granicy...

– O Boże! Znów inny ślad! Ale ja was pytałem, jakeście do tego doszli?

– Do Toma? Przez te kiełbasy w spiżarni. Za dużo tego było wszystkiego jak na krajowego gościa. Ona się spodziewała jakiejś wizyty ekstra. Skąpa była, a tu się szarpnęła. Zależało jej albo komuś z jej najbliższych. Z kim z rodziny żyła dobrze? Tylko z Lolkiem. No i zgadza się. Lolek chciał jechać do brata.

Na utrzymanie, z dziewczyną, na dość długi okres czasu. Brat się handryczył. Nie chciał się dać podoić. Znaczący trzeba się było do niego zabrać po polsku – napaść, napoić, dobrze usposobić. Tymczasem od Krystyny dowiedziałem się, że Tom miał przyjechać rzeczywiście, a potem coś się pokreśliło i przyjazd został odwołany. Znaczący żarcie zostało, ale...

– Pięknie, tylko że ja was pytałem, jakeście doszli do tego zegarka i w ogóle do tej całej koncepcji osnutej wokół niego. Przecież nikt go nawet nie wspomniął!

– Sam wyszedł. Tak jakoś koślawą drogą. Jak porucznik chce, to mogę snuć od początku. Ale nic darmo. Wyciągnie porucznik z tego szklanego wazonika zapasową paczkę papierosów i da popalić.

– Ależ wy macie oko! – westchnął Karbołek wyjmując paczkę Marlboro. – Z takiej odległości!

– W moim wieku już człowiek dostaje dalekowidztwa, poruczniku. Niezłe, ale kudy im do sportów! No więc to było tak: najpierw zacząłem się zastanawiać, czy to był złodziej, czy morderca. Wyszło mi, że złodziej nie musiałby jej mordować. Pamięta porucznik? Placek był wyłączony, a nikt się do tego wyłączenia nie przyznawał. Najpierw, znaczący, nieboszczka poszła do kuchni. Nie zaskoczyła go. Mógł uciec. Nawet normalnie przez drzwi. Wejściowe są przecież z lewej strony korytarzyka, do kuchni z prawej, a do pokoi w środku. Jak był młody i nie kulawy, toby zdążył. Szczególnie, że Sarnawiecka musiała być przy placku, czyli do drzwi tyłem. Tak więc wyszło mi początkowo, że ta kradzież to był pretekst dla mordercy. Szczególnie, że jak na złodzieja to on za mało wziął, a za dużo pozostawiał. Przypadkowy nie był, a jak na takiego, co mu to mieszkanie i te skrytki nadano, to robota była spartolona.

– Przecież został spłoszony – zauważył Karbołek.

– To też prawda, ale w jakim momencie? Gdzie wtedy był? Zaraz do tego dojdziemy, ale na razie mi się wydało, że jednak będzie to pozorowanie rabunku. Zacząłem szukać, komu ona przeszkadzała na tyle, żeby musiał ją zabić? Nie powiem – Agnieszka pasowała jak ulał. Tylko była jedna niejasność: po co ona zniszczyła przeszłą korespondencję – bo przecież ktoś ją

musiał zabrać i zniszczyć – zostawiając tylko jakieś nieważne pozdrowienia z Buska, ostatni rachunek za światło i list od Marka, który obciąża ją i właściwie tylko ją. Nie, tu już byłem pewny, że to nie ona i że ktoś ją sobie wybrał, żeby nam podsunąć. A jak się dowiedziałem o tych odciskach na kółku, to już mogłem głowę dać, że ktoś szykuje za nas akt oskarżenia. Ale kto? Na to potrzebowałem czasu no i dlatego wtedy tak głupio lapnąłem ozorem i wszystko się namętiło i w ogóle to ja przepraszam, poruczniku, ale co to tam warte moje przepraszanie!

– Dajmy temu spokój – rzekł wielkodusznie podporucznik Karbolek. – Zapomniałem już o wszystkim, więc nie przypominajcie.

– Tak jest! No więc jak nie Rosiakowa, to kto jeszcze miał do Sarnawieckiej taką złość, że przyłomotał? Okazało się, że o nikim więcej nie wiemy. No to był jeszcze jeden dowód, że Rosiakową wrabiają. Teraz trzeba było tylko się dowiedzieć, czy morderca swoją zbrodnię planował i jak. Trucizna zginęła Rosiakom ponad miesiąc temu. Pasuje! Tylko że to podobno w tej fazie nie była trucizna, ale coś w rodzaju środka usypiającego. Żeby się otruć, toby trzeba tego gorzkiego paskudztwa zjeść stołową łyżkę z czubem. No nie, myślę ja sobie, takiego głupiego mordercy nie ma, żeby próbował namawiać Sarnawiecką do zjedzenia tej leguminy. Więc nie tędy droga. I rzeczywiście! Z zapasowych kluczy, co je porucznik znalazł pod progiem, i z różnych takich drobiazgów wynikało, że morderca preparował te fałszywe ślady po morderstwie, a nie przed. Wtedy, kiedy zjechała się tu cała rodzina. Znaczy, że nie planował. A jak nie planował, to był na musiku. A dlaczego był? Bo kiedy Sarnawiecką weszła, to on jeszcze nie miał tego, o co mu chodziło. Czyli nie z nienawiści, tylko z konkretnego powodu. A skoro zabił, żeby znaleźć, to rzecz musiała być grzechu warta. No i to był pierwszy cynk, że nie o żadne tam ruskie pierścionki szło, tylko o coś poważniejszego. I teraz wszystko zaczęło się zazębiać aż do obrzydliwości. Uderzenie było z góry. Prawdłowo, bo stał na krześle za drzwiami. Tylko tu mógł stać, żeby być

niewidocznym dla Sarnawieckiej idącej do kuchni i tylko w tym miejscu uderzona upadłaby nieboszczka tak, jak upadła, co nam sąsiedzi pięknie zademonstrowali. No więc było tak: drzwi musiały być przymknięte, bo inaczej krzesło tam nie wejdzie. Złodziej stoi na nim i szuka pod gzymsem – tam jest taki ozdobny gzyms, porucznik pamięta? Odstający na palec od ściany, głęboki na jakieś piętnaście centymetrów co najmniej. No więc on tam stoi i słyszy, że drzwi się otwierają, a o tej porze nie powinny się otwierać. Zatkaną go pewnie, ale słyszy, że Sarnawiecka pedałuje do kuchni i tam trzaska w pośpiechu garnkami, bo takie maniaki telewizyjne to się zawsze spieszą, żeby im wątek nie uciekł. Więc może w tego złodzieja wstąpiła otucha, że Sarnawiecka placek uratuje i znów poleci na górę. Licho wie, co starą do pokoju poniosło? Jaki miała tam interes? Ale poniosło! Idzie, próbuje otworzyć drzwi, ale coś przeszkadza. Sarnawiecka łeb wsadza, żeby zobaczyć, czemu drzwi nie idą, no i koniec z konspiracją. Złodziej łapie za syfon, który stał mu pod ręką na stole, i wali. Dlatego tak dziwnie leżała – trochę w pokoju, trochę w korytarzyku. Jak się waliła na ziemię, to musiała go, stojącego na tym krześle, zachwiać, bo ciężka baba była i szeroka. Myślę, że on wskoczył na stół i strącił szklankę. To by wyjaśniało, dlaczego jej nie pokaleczyły te okruchy szkła. Pamięta porucznik? Ale to nieważne. Złodziej łapę za gzyms wsadził, swoje wyjął i dał dyla. Nic go więcej nie interesowało. Ani waluta, ani złoto... Wyjął albo i nie wyjął?... A jeśli za gzymsem nic nie było? Jeśli Sarnawiecka zmieniła schowek? A on dał dyla, bo już nie miał nerwów do szukania? O cholera! To będzie szukał teraz! No i nadałem do porucznika depeszę, ale było już za późno. Kryśka się wzięła do malowania.

– To wy tam z Krystyną dla dobra śledztwa na tej drabinie? – zapytał z nadzieją podporucznik,

– Nie – sierżant był bezlitosny – prawdę mówiąc to dla przyjemności. Chociaż nie mogę powiedzieć, żeby mnie nie rupiło, że z nią coś nie w porządku. W końcu kto tam głównie szukał nocą w tej trupiarni? Właśnie ona...

– No więc? A właściwie coście się tam spodziewali znaleźć za tym gzymsem. Przecież gdyby coś było, znalazłaby ekipa.

– Nic nie było, ale mógł być jakiś ślad. Od Krystyny dowiedziałem się, że był.

– I uwierzyliście jej?

– Gdyby mi nie powiedziała, kto im wmówił, że jeden z kilkudziesięciu pierwszych zegarków wykonanych przez firmę Patek jest przedmiotem bezwartościowym, to na pewno bym nie uwierzył. Myślę, że tak naprawdę to nikt w całej rodzinie nie zdawał sobie sprawy z jego wartości. Kiedy sobie zdał, popełniono morderstwo... Tom, który lubi stare rzeczy, który się interesuje rupieciami, miał dostać w prezencie ten zegarek. Matka liczyła prawdopodobnie, że będzie wdzięczny w funtach i że to ona robi na tym złoty interes. To wszystko zrozumiałem dopiero po rozmowie z tą, co ją porucznik słyszał tu na taśmie. Blondyna prima sort, powłóczyście spojrzenie, głowa na karku i willa na Romotowie. Ech, żeby tak kiedy jakie śledztwo i procesik w Desie – rozmarzył się sierżant. – Kulturalni ludzie, eleganckie otoczenie...

– Do rzeczy, sierżancie! Więc Krystyna też nie jest morderczynią. A kto?

– Czy ja porucznikowi powiedziałem, że nie jest? Takich rzeczy to ja, nauczony doświadczeniem, już nikomu nie mówię! Żeby mnie znów do tego swego szpitala Gatunek wsadził? O nie! Co ja jestem? Geniusz detektywistyczny na tranzystorach? Komputer? Czarodziejska różdżka? Ja tylko przywiozłem porucznikowi trochę materiałów uzupełniających, a wnioski to już sobie porucznik sam wyciągnie podczas reszty tej bezsennej nocy, którą ja wreszcie prześpię we własnym łóżku. I psa nakarmię czymś pobożnym, bo doktor to mu tylko kaszanke serwował – podniósł się sierżant.

– Zaczekajcie! Przecież z tego wszystkiego nic nie wynika! Zaraz... Owszem, wynika! Tylko jedna osoba mogła zamienić klucze, podrzucić je tutaj, zabrać Rosiakom truciznę, a potem podrzucić ją Krystynie... Zaraz, zaraz! Ale przecież w żaden sposób ta właśnie osoba nie mogła się zmieścić w czasie morderstwa! Sierżancie, zrobiliście błąd!

– A to już porucznik od tego, żeby go naprawić – odparł beztrząsco sierżant. – Ja jeszcze jestem formalnie na zwolnieniu

albo nawet leżę w szpitalu, mam dziurę we łbie i myślenie mi szkodzi. Dobranoc, panie poruczniku. Proszę rączki ucałować pani dziedzicze. Te nóżki w galarecie to ja będę pamiętał do końca życia! Dziękuję za pożyczenie ubrania i pieniędzy!

Podporucznik Karbolek miał jeszcze mnóstwo pytań na końcu języka, ale na chwilę zamurowała go, jak zwykle, bezczelność sierżanta i jego beztrioskie podziękowanie za „pożyczkę”. Kiedy się odmurował, sierżant dudnił już po schodach z piskiem hamując gumowymi podeszwami na zakrętach.

* * *

– Jakiś zagranicznik czeka na obywatela podporucznika – zameldował kapral Godzikiewicz. – Od siódmej rano tu siedzi.

– A słowo stało się ciałem! – odparł nabożnie, ale trochę bez sensu podporucznik i kapral pomyślał, że zbyt częste przebywanie w towarzystwie sierżanta Fidybusa mści się na ludziach nieodpornych.

Podporucznik tymczasem szedł dostojnym krokiem na górę. Na jego widok podniósł się z krzesła młody mężczyzna w dżinsowym garniturze, tak podobny do Marka Rosiaka, że Karbolek od razu domyślił się, kogo ma przed sobą.

– Nazywam się Tom Rosiak – powiedział z wyraźnym obcym akcentem. – Będę bardzo ucieszony pomóc polskim władzom szukać mordercę, ale będę jeszcze bardziej ucieszony, jeśli się dowiem, dlaczego moja przyrodnia siostra Krystyna została osadzona w więzieniu. – Czy on nie za szybko zapomniał po polsku? – pomyślał podporucznik, a głośno powiedział: – Bardzo się cieszę, że pan przyjechał. Sądzę, że istotnie będzie nam pan mógł pomóc. Proszę – otworzył przed gościem drzwi. – Czy mogę wiedzieć, co pana teraz skłoniło do przyjazdu? Na pogrzeb pan nie zdążył.

– Za późno dostałem wiadomość. Zresztą mój brat Lolek dał wiadomość, że wyjeżdża do mnie zaraz wieczór w dzień pogrzebu, to ja czekałem, ale on nie przyjechał.

– Oczywiście, przecież nie mogliśmy go wypuścić w czasie

trwania śledztwa.

– Ja wtedy nie wiedziałem o śledztwo. Ja myślałem, że sama umarła... no, jak to się mówi? Umarła śmiercią...

– Śmiercią naturalną. Kiedy pan się dowiedział, że to było morderstwo? I w jaki sposób?

– Ja czekałem trzy dni od tej daty, kiedy u mnie miał być Lolek, a potem dałem telefon tutaj, do mieszkania mamy. Rozmawiałem z sąsiad Solnicki. On mi wszystko powiedział.

– Tylko nam nie powiedział, że był telefon z Londynu! – zirytował się w duchu Karbolek. – Mumia przeklęta! To jasne! Nikt nie przyszedł i nie zapytał go o to!

– A potem ja dostałem następny telegram. Tam było, że Krystyna jest osadzona w więzieniu i podpisane „brat”. Ja myślałem, że to też od Lolka, ale jak do niego telefonowałem z Wagonowa, to słyszałem, że on bardzo mnie się dziwi, że ja jestem, i mówi, że żadnego telegrama nie słał. Marek też nie słał.

– Pewno, że nie! – pomyślał Karbolek – bo ci tę depezę wysłał sierżant Fidybus. Tylko że była w niej jeszcze jedna wiadomość, o której nie wspominasz. Ale ja cię zmuszę!

– Wtedy j a się Marka pytam, czy to prawda, że Krystyna jest osadzona. On mówi, że prawda, ale on jej wziął już najlepszego adwokata i ja już tu nic pomóc nie mogę. Mimo to ja sobie pomyślałem, że jak już jestem, to ja przyjdę do inspektora, który prowadzi śledztwo, i dowiem się wszystko, co można ujawnić. A może będę również przydatny, choć ja niewiele wiem. Mnie tu dawno w Polsce nie ma. Ale ja myślę, że to nie jest możliwe, żeby Krystyna zabiła matkę. To jest wbrew naturze.

– Z całą pewnością to jest wbrew naturze, ale obaj wiemy, że takie fakty się zdarzają – powiedział Karbolek. – Musimy zdobyć dowody, że tego nie zrobiła. Pańska pomoc może być dla nas bardzo cenna, ale proszę się zastanowić, czy chce pan zeznawać. Nie ma pan żadnego obowiązku.

– Ja bardzo chcę pomóc, żeby moja siostra Krystyna szybko wyszła z więzienia.

– Więc proszę mi podać dokładnie tekst depezy, z której

dowiedział się pan o uwięzieniu Krystyny. Czy była tam jeszcze jakaś wiadomość?

– Chyba nie. Ja dokładnie ten tekst nie pamiętam, ale chyba nie, Nic ważnego na pewno.

– Akurat! – pomyślał ze złośliwą uciechą Karbolek. – Zaraz cię przycisnę, kapitalisto! Będziesz śpiewał!

– Niech pan sobie dobrze przypomni. Zdaje pan sobie zapewne sprawę, że jesteśmy w stanie odnaleźć tekst tej depeszy i sprawdzić. Przedłuży to sprawę, ale nie jest niemożliwe. Pan może tę procedurę uprościć.

– Tam było jeszcze, że zginął zegarek, ale ja nie zwróciłem uwagi. Wiadomość o jakimś zegarku, przy takiej wiadomości, że Krystyna jest w więzieniu, to jest rzecz, co trudno zapamiętać, pan rozumie?

– Oczywiście – kiwnął głową Karbolek – dla pana ta informacja istotnie może mieć drugorzędne znaczenie – kpił w żywe oczy. – Ale tak się składa, że dla nas to bardzo ważny ślad. Czy pan się orientuje, o jaki zegarek chodziło?

– Niezupełnie...

– Może o złotego Patka?

– Nie wiem – Tom poruszył się niespokojnie. – On się nie znalazł? Naprawdę zaginął?

– Przed chwilą sugerował pan, że sprawa pana nie interesuje.

– Ja tylko mówiłem, że to mniej ważna od sytuacji mojej siostry Krystyny – odparował gładko Tom.

– A więc nie przeczy pan, że jest pan nim zainteresowany?

– Jako rodzinną pamiątką – mówił coraz sprawniej po polsku, popełniając coraz mniej błędów. – Matka jeszcze za życia obiecała go mnie. Wiedziała, że lubię stare, ładne przedmioty.

– Pan sobie zdaje sprawę, że wywóz przedmiotów zabytkowych z Polski jest zabroniony?

– Oczywiście postarałbym się o zezwolenie.

– Nikt by go panu nie dał.

– Przecież to tylko rodzinna pamiątka.

– Po rodzinie Sarnawieckich. Zdaje się, że pan nosi inne nazwisko. A ta pamiątka warta jest około dwudziestu tysięcy

dolarów, to w funtach będzie... No, mniejsza o to! Jak pan sądzi, czy matka zdawała sobie sprawę z rzeczywistej wartości tego zegarka?

– Nie mam pojęcia, ale przecież nie chciałem go za darmo. Obiecałem matce spory ekwiwalent pieniężny, obiecałem dostarczyć różne przedmioty, produkty, których nie mogła tu dostać. Zresztą o tym wszystkim chyba niepotrzebnie panu mówię, bo przecież w takich wypadkach policja zawsze przegląda skrupulatnie korespondencję zmarłego, a myśmy o tych sprawach z mamą często pisali. Ona coraz zmieniała swoje żądania. To zaproszenie Lolka było także, jak się pan pewnie orientuje, z jej inicjatywy – mówił już z całkowitą swobodą. Przestał również gryźć zgasłą fajkę i odłożył ją na popielniczkę. Czyżby przedtem udawał, żeby móc się dłużej zastanawiać nad każdą odpowiedzią? Czyżby teraz zdecydował się mówić prawdę?

– Na jak długo zaprosił pan Leonarda?

– Na miesiąc i nie zamierzam go trzymać ani dnia dłużej. Zastrzegłem to w swoim liście do matki, pan pamięta?

– Nie znaleźliśmy takiego listu. Czy pańska matka miała zwyczaj wyrzucać korespondencję?

– Nie wiem, nie pamiętam. Najlepiej spytać o to Krystynę.

– Dziękuję za dobrą radę – nie mógł powiedzieć Tomowi, że krewka Sarnawiecka odpowiedziała na to pytanie związłym „pocałujcie mnie w dupę”, a ta odpowiedź przecież nie wyjaśniała niczego. – Ale już to zrobiliśmy, a teraz pytam pana.

– Naprawdę nie wiem. Chyba nie. Zawsze dopominała się o kartki z urlopów, z podróży po Anglii. Czyżby jej korespondencja także zginęła?

– Nie – Karbolcowi wydało się, że Tom bardzo by się z tego ucieszył. – Nie, znaleźliśmy i przeczytaliśmy całą korespondencję z ostatnich lat, ale na przykład, jak pan widzi, nie było tam listu na temat wyjazdu Leonarda. Stąd wniosek, że może część została wyrzucona albo...

– Albo zabrana przez kogoś, komu na tym zależało? To pan chciał powiedzieć? – Karbolek skinął głową. Tom znowu sięgnął po fajkę, pociągnął, szukał zapalek. Podporucznik nie

przeszkadzał. Wydawało mu się, że Tom potrzebuje spokojnej chwili namysłu. Jakoż okazało się, że mama miała rację mówiąc, iż najważniejsza jest intuicja. – Czy panowie sądzą, że powodem morderstwa był właśnie ten zegarek? – padło ze strony Toma następne pytanie.

– W każdym razie nie wykluczamy tej możliwości – odparł wstrzemięźliwie podporucznik.

– A więc można przypuszczać, że zależy panom na odnalezieniu tego przedmiotu?

– Widzę, że pan teraz przejął rolę przesłuchującego – uśmiechnął się Karbolek. – Ale proszę bardzo, niech pan pyta.

– Bardzo to uprzejmie z pana strony. Nie, bynajmniej nie chcę wkraczać w tajemnice śledztwa.

Akurat bym ci pozwolił – pomyślał Karbolek.

– Pytam, ponieważ w tej sprawie prawdopodobnie potrafię panom istotnie pomóc. Nie wiem, ile panowie wiedzą z listów, ale mogę trochę do nich dodać.

– Niech pan opowiada tak, jakby ich w ogóle nie było. Od początku do końca tej zegarkowej afery.

– Dobrze. Nie jesteśmy dziećmi i nic nie pomoże mydlenie oczu. Domyśla się pan z pewnością, że doskonale wiedziałem o wartości tego zegarka, jak również zdawałem sobie sprawę, że nikt mi go wywieźć z Polski nie pozwoli. Żaden rzeczoznawca nie da papierka, nawet za dobrą łapówkę. Niech mi pan tylko nie mówi, że w Polsce się nie bierze łapówek, że chciałem oszukać swoją ojczyznę i tak dalej – jego głos nabrał twardych akcentów, a sposób mówienia wyraźnie przypominał Marka Rosiaka. – Wiem, że chciałem oszukać nie tylko ojczyznę, ale i rodzinę, bo nikt z nich nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistej wartości tego przedmiotu. A ja, proszę pana, pracuję w firmie u antykwariusza. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że warto było zdobyć się na popełnienie małego przestępstwa. Upewniłem rodzinę, podczas swojej ostatniej bytności tutaj, że to falsyfikat, że ładne, ale nic nie warte, mimo to matka jeszcze nie była zdecydowana, czy da mi ten zegarek. Pupilkiem był jeszcze wówczas Mareczek. Ale to się skończyło bardzo szybko, a matka przysłała mi rzeczowy handlowy list. Żebym jej

dostarczył taką a taką sumę pieniędzy, a zegarek jest mój. Przywiezie mi go Lolek, którego mam zaprosić do siebie, dać mu mieszkanie i utrzymanie. Rozumie pan, że znalazłem się w kropce. Nie mogłem pozwolić, żeby Lolkowi ten zegarek na granicy odebrano, a tak by się niechybnie stało. Nie mogłem również mamie tego napisać. Odpowiedziałem więc, że Lolka chętnie będzie widział u siebie, ale niech mu przesyłki dla mnie nie daje. Przyjadę niedługo, bo będę chciał przedstawić mamie moją narzeczoną. Zanim to jednak nastąpi, wysłałem zaproszenie na miesięczny pobyt dla Lolka. Tymczasem przyjechał jego kolega i przywiózł mi list. Lolek, który chyba się zorientował, że mi na tym zegarku zależy, pisał, że ma sposób na przewiezienie go przez granicę, ale potrzeba do tego dwóch osób. W związku z tym żebym zaprosił, oprócz niego, jeszcze jakąś Mariolę Hacıur. I nie na miesiąc, ale na rok, bo oni chcą się nauczyć języka. Wściekłem się i napisałem, że owszem, ostatecznie drugie zaproszenie dać mogę, ale nie jestem w stanie trzymać u siebie przez rok dwóch dodatkowych osób. Jeśli pójdą po miesiącu do pracy i wynajmą sobie mieszkanie, to w porządku. Inaczej nie ma mowy. Na to dostałem odpowiedź, już przez pocztę, więc w formie dość enigmatycznej, że jeśli tak, to mogę się nie łudzić, że uda mi się „tę zabawkę” wywieźć. Lolek między wierszami dał mi do zrozumienia, że gotów jest zrobić mały donosik i wtedy na pewno zegarek zostanie w Polsce, a ja obejdę się smakiem. Szantaż był oczywisty. Odpisałem, że wysłałem dwa zaproszenia na miesiąc i zobowiązuję się przedłużyć do roku, jeśli „wszyscy dojadą szczęśliwie”. Mamie dałem znać, żeby nic Lolkowi dla mnie nie dawała, zanim ja sam nie zadecyduję. Ten list czytał pan, prawda?

– Tak, tak – powiedział niecierpliwie Karbolek, ponieważ bardzo nie lubił się przyznawać, że wie o sprawie mniej, niż można by sądzić. – Co było dalej?

– Właściwie to już jest koniec. Odpowiedzi długo nie otrzymywałem. Poza kartką, w której Lolek informował mnie o przybliżonym terminie wyjazdu. Zdziwiło mnie, że nie żądał powiadomienia mamy, że ma mu dać moją przesyłkę. Stąd

wniosek, że wcale z nią jeszcze o tym nie rozmawiał. A ja ciągle nie mogłem się zdecydować, jak postąpić. Zwlekałem tak długo, aż dostałem zawiadomienie o śmierci matki. A potem następną wiadomość, że zegarek zaginął, do której Lolek się nie przyznaje. Kpi ze mnie w żywe oczy. Przecież tylko on musiał ją wysłać. Po co? Nie wiem. Przecież tylko on orientował się, że gra idzie o przedmiot dużej wartości. Zrobiłem błąd zgadzając się na przedłużenie ich pobytu do roku. To go upewniło, że zegarek jest tego wart. Czy naprawdę panowie go nie znaleźli?

– A to już jest jedna z tajemnic śledztwa – uśmiechnął się złośliwie Karbolek. – Bardzo panu dziękuję za pomoc. W nagrodę mam dla pana dobrą wiadomość. Szansę pańskiej siostry Krystyny bardzo wzrosły. Myślę, że... mam pewne podstawy sądzić, że zostanie zwolniona...

Kiedy jednak został sam, mina mu zrzedła. Przesłuchał jeszcze raz zeznanie Rosiaka z taśmy, zastanowił się i już był mniej pewny, że radykalny zwrot w śledztwie właśnie się dokonał. Wszystko wskazywało na Lolka. Wszystko! Był tylko jeden szkopuł! Ani Lolek, ani jego dziewczyna w żaden sposób nie mogli się zmieścić w czasie. Zbyt wiele osób stwierdziło, niezależnie od siebie, że w czasie morderstwa byli daleko stąd.

Chyba że wszyscy kłamią, że zbrodnia została dokonana wcześniej, że Sarnawiecka wcale nie oglądała z Solnickimi telewizji, że Krystyna nie była w domu około 20, tylko dużo wcześniej, że doktor Gatunek się myli określając czas zgonu, że... O Boże, tyle pomyłek na raz! To niemożliwe! – jęknął pechowy podporucznik widząc przed sobą widmo śledztwa, które zaczyna się znów od samego początku...

* * *

– No, widzi pan – rzekł pogodnie sierżant Fidybus – od razu mi się wydawało, że dla krajowego gościa to ona by się tak nie szykowała. Grzybki, kielbasy, peklowana szynka, naleweczka... Bardzo była grzeczna naleweczka... – tęsknie zapatrzył się w okno. – Mam nadzieję, że nas Kryśka poczęstuje, jak jej skończymy te sufity, no nie?

– Komu Kryśka, temu Kryśka – burknął Karbolek. – Dla mnie to jest panna Sarnawiecka po prostu. A w ogóle to póki sprawa nie została zamknięta, to jest ciągle jeszcze podejrzana Sarnawiecka Krystyna i wcale nie wiadomo, czy ona te sufity będzie malować. Niby was nie ma przy tej sprawie, a znowu narobiło się mętliku, jakbyście jej w ogóle z ręki nie wypuścili.

Sierżant się uśmiechnął. Może pomyślał sobie, że istotnie jej przez cały czas nie wypuścił, ale jeśli nawet tak pomyślał, to tego nie powiedział. Biały bandaż, znów namotany pracowicie przez doktora Gatunka, odbijał od jego ciemnej twarzy, błyszcząły w uśmiechu równe, ostre zęby i Karbolek musiał przyznać, że jednak, pomimo podeszłego wieku, sierżant jest na swój sposób przystojny.

– No dobrze już, dobrze! Dopilnuję, żebyście ten bruderszaft wypili, skoro pan porucznik taki niedzisiejszy.

– Nie trzeba – burknął zmieszany Karbolek. – Jak będę chciał, to sam sobie poradzę. Wy się lepiej zastanówcie, czy mamy podstawy, żeby wystąpić o nakaz i zrobić u Lolka rewizję.

– Już się zastanowiłem.

– I co?

– I wyszło mi, że nie trzeba. Lepiej dać mu pozwolenie na wyjazd.

– Nie mogę.

– No to Marioli. Ona nie należy do rodziny.

– Marioli?... Dlaczego? A już wszystko rozumiem! Chryzantemy złociste! O, Boże! – z tym mistycznym okrzykiem podporucznik Karbolek wypadł z separatki Fidybusa, w której ten niepoprawny przestępca oczekiwał na odpuszczenie swoich grzechów. Biegł korytarzem łupiąc niemilosiernie regulaminowym obuwiem w podłogę, wzniecając popłoch wśród nielicznych chorych. Doktor Gatunek wyjrzał z dyżurki siostr, gdzie zwykł był pijać popołudniową kawę.

– Trafiony! – rzekł spoglądając za Karbolkiem. – Zdaje się, że wreszcie będę mógł wypuścić Fidybusa.

Mariola Hacıur przeszła przez kontrolę bagażu, pomachała ręką Lolkowi i zawołała:

– Daj znać, to przyjadę po ciebie na lotnisko! Baj, baj! Leonard Sarnawiecki uśmiechnął się, bo przez gwar nie słyszał jej słów, i wsadziwszy ręce do kieszeni, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Nie zauważył, jak za Mariolą pobiegła młodziutka celniczka i poprosiła ją do rewizji osobistej.

– Ależ ja już przeszłam odprawę! Co to znaczy? Zaraz mam samolot.

– Samolot ma pani za 45 minut – jak spod ziemi wyrosła druga, nieco starsza i bardzo stanowcza. – Proszę ze mną, to długo nie potrwa.

Jednak trochę potrwało. Bagaż, zanim dostał się na lotniczy wózek, został szczegółowo przejrany. Był w porządku. Podręczna torba, torebka... Przedmiot, którego szukano, był, według opisu podanego przez podporucznika MO, dość duży. Nie zmieściłby się za podszewką, ani między szwami ubrań, jak przemycane zazwyczaj drobne kosztowności.

– A to co? – młoda celniczka obracała w rękę medalion malinowego koloru dość tandetnie wyglądający, który Mariola przed chwilą zdjęła z szyi. – To się otwiera – pstryknęła sztyfcikiem. W środku była kolorowa fotografia Elvisa Presleya za szkiełkiem. – To się otwiera jak koperta od zegarka...

Starsza celniczka wzięła medalion do ręki i przybliżyła do niego powiększające szkło. Na gładkiej powierzchni zobaczyła jakby maleńki odprysk farby. Pod spodem prześwitywało chyba złoto... Niewiele myśląc podrapała paznokciem...

* * *

– Oczywiście, że to jest koperta od tego zegarka! Ale gdzie jest werk?! – Tom Rosiak był wzburzony. – Co oni z nim zrobili? Przecież werk był bezcenny! Na nim była cyferka mistrza!

– Znajdzie się, nie ma obawy – powiedział podporucznik Karbolek. – Więc nie ma pan wątpliwości, że to jest ta sama

koperta? Proszę się dobrze przyjrzeć.

– Nie mam wątpliwości. Najmniejszych! Czym oni to pokryli? Jaką ohydną farbą! Barbarzyńcy! Rozebrać taki zegarek!

Podporucznik z trudem powstrzymał się od kąśliwej uwagi, że gdyby zegarek dojechał w tej postaci do Toma Rosiaka, ten pochwaliby brata za pomysłowość. Teraz ział szlachetnym oburzeniem.

– Ciekawe, w czym ten głupiec zamierza przewieźć werk? Mam nadzieję, że go nie zniszczy!

– Czyżby panu jeszcze zależało na całości tego zegarka? – pozwolił sobie wyrazić zdziwienie podporucznik Karbolek.

– Owszem, zależy! – Tom miał złą twarz. – Nie należę do ludzi, którzy wolą zniszczyć przedmiot, jeżeli nie mogą go mieć. Jeśli nie ja, to jakieś muzeum w Polsce będzie miało piękny eksponat. Będę zadowolony, że on zostanie w kraju.

Zadowolony z tego, że nie Lolek – pomyślał podporucznik, którego Tom prowokował do złośliwych myśli. – Że to nie Lolek załatwił ciebie przy wywozie tego cacka, ale ty jego. Tą samą bronią...

* * *

Soczewkowe okulary staruszki z przeciwka okazały się nadspodziewanie skuteczne. Spośród trzech podobnego wzrostu i tuszy blondynek wyłowiła bez wahania Mariolę jako tę, która pamiętnego wieczoru otwierała własnym kluczem drzwi do mieszkania Sarnawieckiej.

– Co pani na to? – spytał triumfująco Karbolek.

– Ja jej nie zabiłam! – zalana łzami Mariola Hacıur podniosła w górę zrozpaczoną twarz. – Ja ją tylko chciałam ogłuszyć. Uderzyłam bardzo lekko! Specjalnie uderzyłam lekko, żeby jej nie zrobić krzywdy.

– Ale widziała pani, że ta stara kobieta upadła. Co pani wtedy zrobiła?

– Ja nie chciałam...

– Proszę odpowiadać na pytania.

– Myślałam, że ona tylko zemdlą! Złapałam ten zegarek z za gzymsu i uciekłam.

– Nie zainteresowała się pani stanem uszkodzonej?

– Tak, ale ja myślałam, że zemdlą. Ja specjalnie tak lekko, żeby...

– To już słyszeliśmy – podporucznik Karbolek nabierał zdecydowania i stanowczości w miarę, jak ogarniało go obrzydzenie na te nieudolne próby wybielania siebie i swego czynu. – Skąd pani wiedziała, gdzie leżał zegarek.

– To Lolek! – powiedziała spieszenie. – On wszystko opracował, podał mi miejsca, w których mogę go znaleźć, opisał go dokładnie i posłużył się mną, bo mnie tam nikt nigdy nie widział i nie znał. To wszystko był jego pomysł... A ja... – pochlipywała coraz ciszej.

– ...a ja byłam głupia, jak każda zakochana dziewczyna... Zgodziłam się, a teraz... a teraz!... – i znów zaniosła się płaczem.

– Klucze w dziupli też przygotował Lolek? – przerwał szorstko podporucznik. To pozowanie na ofiarę perfidnego gangstera było wręcz niesmaczne.

– Tak. I ten proszek na sen także.

– Mówi pani o truciznie, którą ukradliście Rosiakowi?

– Ja nic nie wiedziałam. Ale to nie była trucizna. Lolek miał dać matce na sen i sam poszukać tego zegarka, ale jego tam wszyscy wokół znają i byłoby na niego, i wszystko by się wydało, i... i... No i tego nie można było podsypać do herbaty ani do jedzenia, bo to było ohydne.

– Gdzie jest druga część zegarka?

– U Lolka. On miał przewieźć ją w takiej zwykłej, metalowej kopercie od NRD-owskiego zegarka na dewizce. Taki seryjny zegarek, żeby nie zwrócił niczyjej uwagi.

– Proszę mi opowiedzieć, jak wyglądał naprawdę wieczór w dniu morderstwa.

– Ja nie chciałam!

– Wierzę pani i sąd na pewno weźmie wszystkie okoliczności łagodzące pod uwagę, ale proszę opowiedzieć całą prawdę. Proszę nie ukrywać. To dla pani dobra...

– Przyszłam do Lolka koło piątej – otarła łzy, próbowała się opanować. – Przebrałam się w jego spodnie i kurtkę, a zostawiłam swoją sukienkę. Taką luźną, długą, w której nie widać figury. Jesteśmy prawie równego wzrostu, więc żeby on mógł się gdzieś, komuś z daleka pokazać, kiedy ja będę w Łopatowie. Wyszliśmy od niego około 17.30, ale nie do kina, tylko na dworzec. Na ten pociąg, który przyjeżdża do Łopatowa o 19.47. O 20.05 byłam na miejscu. Ale tam ktoś był. Usłyszałam szelest.

– Ma pani rację. Tam była Krystyna. To pani ją spłoszyła, a nie matka – powiedział głośno Karbolok. Dostatecznie głośno, żeby porucznik Pąk, który przy biurku obok z pozorną obojętnością przeglądał jakieś papiery, usłyszał i zrozumiał. Żeby wreszcie zrozumiał, że nadszedł dzień triumfu podporucznika Karbolka. – W tym czasie Lolek preparował dla was dwojga alibi?

– Tak. Zostawiłam mu pantofle na wysokich obcasach, taśmę z nagraniem piosenki...

– „Chryzantemy złociste”?

– To też... Taka piękna piosenka... Już nigdy nie będę śpiewać! – i znów wybuchnęła płaczem.

* * *

Leonard Sarnawiecki czuł się bezpieczny, jego plan był bezbłędny. Mariola miała tylko połowę zegarka. Musiała czekać. On także mógł spokojnie czekać na zakończenie procesu i zwolnienie paszportu. Otrzymał zezwolenie na wyjazd wcześniej, niż się spodziewał. Kiedy na lotnisku wezwano go do rewizji osobistej, trochę się zaniepokoił. Ale jeszcze nie wierzył w klęskę. Dopiero znajoma twarz podporucznika Karbolka z łopatowskiej komendy upewniła go, że to nie przypadek.

Przewieziony na przesłuchanie przyjął postawę uciśnionej niewinności. Padł ofiarą zachłannej kobiety. Szło tylko o zabezpieczenie się przed skapstwem Toma. Zegarek miał być fantem w grze o roczne utrzymanie w Anglii. O morderstwie dowiedział się dopiero od podporucznika Karbolka. Był

wstrząśnięty. Dlatego nie obeszło go nawet to, że Mariola, jak utrzymywała, zegarka nie znalazła. Próbował go potem szukać. Na własną rękę, przy pomocy Krystyny, ale właściwie to przestało mu już zależeć. Ten fakt, że Mariola nie ujawniła przed nim znalezienia zegarka, niech świadczy, że to ona i tylko ona przeprowadziła ten plan. Nie była jednak w stanie przewieźć sama przedmiotu przez granicę.

Podporucznik Karbolek zrozumiał, że niczego więcej nie uda się Lolkowi udowodnić. Ani współudziału w planowaniu, ani w realizacji morderstwa. Jakkolwiek to on pracował nad zacieraniem śladów i rzuceniem podejrzeń na niewinne osoby. Wszystko to jednak dotyczyło kradzieży i przemytu zabytkowych przedmiotów za granicę. Tylko za te przestępstwa Lolek mógł zostać skazany.

* * *

– No to teraz siadź – powiedział major Kajtys – i opowiedz, kiedy ci zaskoczyło. Dałbym ci kawy i kielicha, ale chyba nie wypada, żebym się rozpijał z sierżantami. Do tego w godzinach pracy.

– Stary, nie bądź dzieckiem. Oni wszyscy wiedzą, że ja tu egzystuję na wariackich papierach tylko dzięki kumoterstwu.

– Co ty mówisz? A ja tak dbałem o zachowanie pozorów! – przeraził się major. – No to co? Jak tak, to może po jednym i do roboty?

Sierżant Fidybus łypnął spod oka, ale nie popędział. Major pokręcił się po gabinecie, wyciągnął butelkę koniaku dla lepszych gości, popatrzył pod światło, schował. Wyjął żytnią i dwie stopki.

– Gadaj!

– Pierwszy raz mi zaskoczyło, jak Lolek przyjechał ostatni. Rosiak zdążył poprzedniego dnia, stary Sarnawiecki z tej swojej puszczy o parę godzin wcześniej, a ten z najbliższego wojewódzkiego miasta aż pod koniec pracy. Mogła poczta nawalić, mógł zlekceważyć, mogło być tysiąc innych powodów, ale mnie tknęło. Sprawdziłem i okazało się, że Lolek jeden

dzień zgubił. Wyjechał tego samego dnia co Rosiak, a przyjechał następnego. I z domu wyszedł nie o tej godzinie, co powinien, żeby dojechać do Łopatowa, tylko na pół godziny przed pospiesznym do Wagonowa. No a dalej to już samo poszło.

– Co poszło? Gdzie doszło? Ja z tobą oszaleję! Czy ty się nigdy nie nauczysz mówić po ludzku?

– Zważywszy, że już dawno przekroczyłem wiek największej chłonności intelektualnej, to można sądzić, że nigdy. Szkoda fatygi. No, więc potem była kłótnia Lolka z Markiem. Lolek był pewny, że w mieszkaniu Sarnawieckiej nie znajdzie się ani jeden odcinek przekazu pieniężnego od Rosiaka. Prowokował go zachwycony własną przewagą. To było z jego strony bardzo nieostrożne.

– Między tymi braćmi były chyba bardzo silne antagonizmy?

– Dostatecznie silne, żeby Lolek nie mógł sobie odmówić przyjemności przytarcia starszemu rogów.

– I rzeczywiście on zniszczył listy?

– Mariola. Miała przykazane zabrać i wyrzucić daleko od domu pudełko z listami i kwitami. Dlatego mimo upału była w obszernej kurtce Lolka. Musiała je gdzieś schować. No a następna poszlaka to była rozbita głowa. Miałeś w sprawozdaniu rozbitą głowę?

– W miesiącu lipcu miałem dwadzieścia dziewięć rozbitych głów, które do mnie dotarły, nie licząc twojej... Tfu! Do diabła! Pod twoim wpływem zaczynam mówić jak kretyń! No więc co z tą głową?

– Nic. Kiedy już zacząłem podejrzewać, że wszystko się tu zgadza, oprócz czasu śmierci Sarnawieckiej, podłożyła mi się Mariola. Niby nic, ale kiedy powiedziałem o tej rozbitej głowie, to ona mi na to, że może Sarnawiecka tylko tak nieszczęśliwie upadła. Jakby wiedziała, że nie rozbita siekierą, nie rozłupana na pół, tylko taka, że można ją było i o krawędź stołu i o drzwi rozbić. Pomyślałem sobie, że ciepło, ciepło, ale na razie jeszcze wcale tak za ciepło nie było. To ty mnie skierowałaś na fałszywy ślad. Ty krzyknałeś, że Sarnawiecka powinna mieć funty, a nie dolary, i ja cały czas w tej walucie szukałem motywu. Jak nam

się zaczęły mnożyć schowki, to musiałem dojść, co w nich chowano. Wtedy się okazało, że Sarnawiecka to nie był sobie taki byle jaki chowacz amator, co wsadzi parę tysięcy do szafy pod bieliznę pościelową i bardzo się dziwi, że złodziej przede wszystkim tam zajrzał. To był fachowiec! Ona dopasowywała skrytkę do przedmiotu, przedmiot do miejsca, w którym mogła go schować. To była łamigłówka. Całkiem zgrabnie pomyślana. Dałem się wciągnąć i...

– I wyszedł ci zegarek!

– No to już wiesz wszystko.

– Jakie wszystko, jakie wszystko? Nadal nie wiem, czy to było morderstwo planowane. Zniszczenie listów wskazywałoby, że tak...

– Gdyby żywej Sarnawieckiej zginął ten zegarek, to również powinien by zginąć razem z korespondencją. Tam była chyba cała epopeja na ten temat. Doszlibyśmy natychmiast. Nie, stary, myślę, że nigdy się nie dowiemy, co było planowane. I wcale nie wiem, czy tak koniecznie chcemy się dowiedzieć?...

– Nie! Oczywiście, że nie chcemy! Ty nic nie chcesz! Ty jesteś w ogóle pozbawiony poczucia sprawiedliwości, pasji odkrywczej, zaangażowania! Niech oni sobie ciebie biorą! Niech biorą! Niech się udławiają!

– Kto?

– Wagonowo – sapnął major i nalał jeszcze po jednym – Podobno jesteś wielki fachowiec od narkotyków. Ciekawe, kiedyś ty zdobył tę specjalizację?

– Wtedy, kiedy ty moczyłeś nogi w Morzu Czarnym.

– Zawsze wszystko, co najważniejsze, robisz pod moją nieobecność. Ale nie mam do ciebie żalu. Jak do umarłego. I mam nadzieję, że cię więcej na swoim terenie nigdy nie zobaczę. Wygłupiłem się przez ciebie i co gorsza powinienem cię jeszcze przeprosić...

– Możesz sobie darować. Kiedy powinienem wyjechać?

– Natychmiast! Czeka na ciebie w sekretariacie bilet i pieniądze. Przeniesienie służbowe dostaniesz w następnej kolejce. A teraz jedź i zachowuj się tam po ludzku, żebym się nie musiał za ciebie wstydzić. E, tam! – machnął ręką – i tak

wiem, że następne lato spędzisz gdzieś na wsi jako posterunkowy gminny. Innej drogi dla ciebie nie ma... W górę albo w dół... Czy ty się kiedy usatkujesz, Mikołaj?

* * *

Spotkali się tuż za rogiem. Sierżant nie bez powodu spacerował ulicą Pratchawca. Krystyna wracała z targu. Świeża i uśmiechnięta podbiegła do niego i, nie bacząc na otwarte okna dookoła, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nie masz pojęcia, jak cudownie jest na wolności! Chodź, zrobię truskawki ze śmietaną. Chyba ostatnie w tym roku.

– Nie mogę – burknął zły i nieszczęśliwy. – Zaraz muszę wyjechać.

– Na długo?

– Przenoszą mnie do Wagonowa.

– To odprowadź mnie do domu.

Szli obok siebie milcząc. Weszli przez furtkę. Po raz pierwszy razem. Stanęli obok siebie na ganku.

– Dalej nie wejdę! – zaparł się sierżant Fidybus. – Bo jak wejdę, to nie wyjdę. A jak nie wyjdę, to... ooo, pomalowałaś sufit!

– Ten twój lalusz mi pomógł. Nieważne!... Rozumiem... Chyba rzeczywiście lepiej nie wchodzić, bo nie wyjdiesz. Masz rację... Ale tu sobie trochę możemy postać, prawda? Tu jest fajnie... – oparła twarz na jego piersi i tak została. Obejmował ją niezgrabnie ramieniem i myślał z żalem, że tak nie można stać wiecznie.

– No to jedź! – oderwała się nagle od niego i zostawiwszy na ganku torbę z zakupami, wskoczyła do domu, Zatrzasnęła drzwi. Sierżant chciał zawołać, podać torbę, ale kiedy się schylił, poczuł, że sweter i koszulę na piersi ma mokrą aż do skóry.

– Ki diabeł? – zdziwił się i spojrzał w niebo, ale nie było ani jednej chmurki. Za to mokrość była. I to spora. Postawił więc torbę na ganku i odszedł zrozumiawszy, że tak będzie lepiej.



60 zł

CZYTELNIK

lesiojot